

ARCHIPELAG

niezależny magazyn bukinistyczny

Numer 8 Wiosna/Lato 2012
ISSN 2082-6664



trzymaj literaturę za rękę

ARCHIPELAG REDAKCJA:

REDAKTOR NACZELNA:

Kamila Kunda, Londyn („Chihiro o świecie”:
chihiro.blox.pl)

ZESPÓŁ:

Anna Bittner, Berlin („Przeczytałam książkę”:
przeczytalamksiazke.blogspot.com)

Renata Borowiak, Poznań („tamaryszkowe pre-teksty”:
tamaryszek.wordpress.com)

Justyna Kowalczyk, Dąbrowa Górnicza („Książko-landia”:
bezoprawy.blogspot.com)

Karolina Kunda-Kuwieckij, Warszawa

Ania Ready, Oksford („Tygiel”:
magamara.blox.pl)

Stefania Szostok, Praga („Notatki z lektur”:
libros.blox.pl)

Joanna Wonko-Jędrzysek, Łódź („Herbatniki”:
mandzuria.wordpress.com)

Anna Maślanka, Rzeszów („Literackie skarby świata całego”:
literackie-skarby.blogspot.com)

KOREKTA:

Aleksandra Pielat

PROJEKT GRAFICZNY I ŁAMANIE:

Monika Drzazgowska, Warszawa
(„Entelepentele”:
entelepentele.com)

ZARZĄDZANIE STRONĄ INTERNETOWĄ:

Emilia Kustra, Warszawa
(„Fragmenty mojego świata”:
elwiria.blox.pl)

WSPÓŁPRACA:

AsiaYa („Wszystkie kolory Indii”:
asiaya.blox.pl)

Czara („Czara w Paryżu”:
rozcynam-pomarancze.blog.pl)

Renata Długołęcka („Moje miasto i mój świat”:
unainvitada.blox.pl)

Aneta Granda, poetka, autorka tomiku wierszy
Listy z innego raj, wyd. Warszawska Firma Wydawnicza

Klaudyna Hebda („Ziołowy Zakątek”:
ziolowyzakatek.com.pl)

Aleksandra Klęczar („Legendum est”:
ninedin.blox.pl)

Anna Małgorzata Kurska („Café littéraire”:
sqra-cafelitteraire.blogspot.com)

Asia Kusy („Zwyczajne pakistańskie życie”:
asjenka.blox.pl)

Lirael („Lektury Lirael”:
lekturylirael.blogspot.co.uk)

Katarzyna Malska

Justyna Marciniak („Justyna Marciniak Ilustracje”:
justynamarciniakilustracje.blogspot.co.uk)

Robert Mróz

Karolina Osowska-Wolińska

Luiza Stachura („Owarinai Yume”:
owarinaiyume.wordpress.com)

Paulina Surniak („Miasto książek”:
miastoksiazek.blox.pl)

Milena Werner

Paulina Yamashita („Kawa po grecku”:
coffeeingreece.blogspot.com)

OKŁADKA ARCHIPELAGU:

oraz stronę tytułową Tematu Numeru wykonała **Agata Dudek**
(„Duditsu, czyli moja sztuka patrzenia”:
duditsu.blogspot.de).

Redakcja „Archipelagu” nie zwraca tekstów niezamówionych
i zastrzega sobie prawo do ich redagowania oraz skracania.
Z zasady nie publikujemy przedruków ani autorskiej prozy i poezji.

KONTAKT:

kamila.kunda@archipelag-magazyn.pl

promocja@archipelag-magazyn.pl

redakcja@archipelag-magazyn.pl

wspolpraca@archipelag-magazyn.pl

konkursy@archipelag-magazyn.pl

SPISTREŚCI:

- 5 **PANTEON:** *Miasto, masa, kobieta* [Katarzyna Malska]
- 9 **W PRZYBLIŻENIU:** *Palestyńsko-izraelskie wędrówki* [Karolina Kunda-Kuwieckij]
- 14 **WOKÓŁ KSIĄŻKI:** *Zapiski z końca pewnego świata* [Robert Jurszo]
- 18 **SPOTKANIE Z AUTOREM:** *Xinran – kolekcjonerka ludzkich losów* [Kamila Kunda]
- 26 **SUBIEKTYWNY PUNKT WIDZENIA:** *A co z tą polską książką?!* [Anna Małgorzata Kurska]
- 28 **POZA FIKCJĄ:** *Kazimierz Nowak – podróżnik, pisarz, zagadka* [Joanna Wonko-Jędryszek]
- 33 *Z pokorą w Indiach* [Emilia Kustra]
- 39 **KSIĄŻKI NASZYMI OCZAMI:** *Recenzje książek wydanych w Polsce*
- 51 **W OBJĘCIACH X MUZY:** *Zbiorowa prywatność objawienia* [Robert Mróz]
- 57 **PRZEZ OBIEKTYW:** *Dzień i noc książki* [Ania Ready]
- TEMAT NUMERU: ILUZJA**
- 66 *Mali wybrańcy na granicy światów* [Anna Maślanka]
- 71 *W labiryncie snów* [Aneta Granda]
- 76 *Nibymagia. Kilka słów o fantastach i iluzji* [Aleksandra Klęczar]
- 80 *Każdy z nas jest Alicją* [Kamila Kunda]
- 86 *Mieszczkańskie iluzje Konstantego* [Karolina Osowska-Wolińska]
- 91 *Konkurs (wio)senny* [Lirael & Tamaryszek]
- 94 **ULOTNIE:** *Alchemia poezji sufickiej* [Karolina Kunda-Kuwieckij]
- 96 **POCZTÓWKA Z...:** *Murakamiego przygoda z Grecją* [Paulina Yamashita]
- 104 **Z OBCEGO PODWÓRKA:** *Recenzje książek niewydanych w Polsce,*
- 109 *Relacja z III edycji pakińskiego Karachi Literature Festival* [Asia Kusy]
- 114 **STOLICZKU NAKRYJ SIĘ:** *Płetwa rekina i syczański pieprz.*
Słodko-kwaśny pamiętnik kulinarny z Chin [Klaudyna Hebda]
- 118 **KSIĄŻKA NA WSZYSTKIE STRONY:** *Kwiaty Orientu – pomost między Polską a Koreą*
[Luiza Stachura]
- 122 *Wśród koreańskich książek* [Luiza Stachura]
- 124 **SPOTKANIA Z KSIĄŻKĄ:** *Biblioteka to mój świat* [Kamila Kunda]
- 131 **KONKURSY I NAGRODY LITERACKIE:** *Nagrody literackie na przełomie zimy i wiosny*
[Justyna Kowalczyk, Karolina Kunda-Kuwieckij]
- 134 *Ryszard Kapuściński – duchowym patronem Warszawskich Targów Książki*
[Karolina Kunda-Kuwieckij]

OD REDAKCJI:

Od czasu do czasu każdemu przydaje się przerwa od literatury. Choćby po to, by uświadomić sobie, jak wspaniałe jest życie z książkami. Na co dzień możemy przemieszczać się między naszym życiem a życiem bohaterów, wnikając do ich światów z łatwością i z łatwością się z nich wycofując. Gdy tego zabraknie – coś znika, jakby ktoś zamknął na klucz wymaginowane drzwi i schował klucz w niedostępne dla nas miejsce. Przez ostatnie tygodnie żyłam bez dostępu do literatury i ogromnie mi tego brakowało. W ferworze zajęć nawet nie zorientowałam się, jak bardzo. Ale teraz, gdy moje życie znów powróciło na normalne tory, dostrzegłam, jak ciężko funkcjonować bez uroków książek. Jak trudno żyć w jednym wymiarze, bez radości i smutków dzielonych z fikcyjnymi bohaterami. Nie nadaję się do egzystencji bez paralelnych światów, bez postaci, które żyją w mojej głowie, swobodnie spotykając się poza kartami powieści. Gdzieś tam poza moją świadomością Raskolnikow rozmawia z chińskimi ofiarami Rewolucji Kulturalnej, bohater *Półbrata* zaprzyjaźnia się z bohaterami *Odkrycia nieba*, stworzone przez Cortázarą postaci piją do późnej nocy mate z Józefem K. i tybetańskimi dysydentami, rozbiegając rzeczywistość na czynniki pierwsze.

Iluzja trzyma literaturę za rękę. Każdy pisarz to iluzjonista, tworzący światy z rozsypanych liter i słów. Nawet literatura faktu jest swoistą iluzją, w końcu przemierzamy kraje, poznajemy obce kultury, zaglądamy w przeszłość, pochylamy się nad biografiami znanych osobistości patrząc na nie oczyma autora. Pisarz ma nad swoim czytelnikiem władzę niezwykłą. Nie jest dyktatorem, przymuszającym do czytania. Działa jak hipnotyzer, podsuwając książkę, a my dobrowolnie poświęcamy wycinek naszego życia, by poddać się iluzji stworzonej przez niego. W bieżącym numerze zapraszamy Was w podróż do światów, których nie ma. Topimy się w iluzji, zasypiamy, pozwalamy naszej wyobraźni krążyć swobodnie między czasem a przestrzenią. Jeśli zechcecie do nas dołączyć, czeka Was wielka przygoda. Wystarczy tylko poddać się jej.

Zapraszamy do lektury i życzymy fascynujących odkryć literackich!



Kamila Kunda

Förster

MIASTO, MASA, KOBIECI.

Młoda kobieta przemierza brukowane ulice, wijące się wzdłuż secesyjnych kawiarni, w których pisarze, psychoanalizyści i artyści dyskutują o histerii. Mija tłum wiwatujący na wieść o wybuchu I wojny światowej, marząc o wielkiej, romantycznej miłości i o tym, by żyć pełnią życia. Pracuje, pyta i dąży do szczęścia. O **Meli Hartwig** i jej *Czy jestem zbędnym człowiekiem?*

Katarzyna Malska

Miasto, masa

„Nie widziałam, ani nie słyszałam nic albo przynajmniej niewiele, przemierzając chwiejnym krokiem, głucha i ślepa, ten sen złożony z ulic, które z gwizdem szeleszcząc i skrzecząc wpadały na mnie, migocząc mi przed oczami (...).” (s. 17)¹ – tak swoją drogę do miejskiego teatru opisuje nastoletnia Luise, której imię czytelnik *Czy jestem zbędnym człowiekiem?* poznał dopiero pół strony wcześniej. Miasto, które dziewczyna chłonie każdym swoim zmysłem, które wydaje się być mroczne, a jednak fascynujące. Pełne ludzi, dźwięków, hałasu, światła i kontrastów.

Czytelnik nie pozna nigdy nazwy tego miasta, może je jednak umiejscowić w bardzo konkretnym czasie (dokonawszy wcześniej dosyć skomplikowanych obliczeń po przeczytaniu powieści do końca) – jest to rok 1913. Autorką tej powstałej na początku lat 30. XX wieku powieści jest Mela Hartwig-Spira, obywatelka austro-węgierska, której nieobcy był miejski artystyczny świat wiedeńskiej kawiarnianej bohemy.

„Wydawało się, że na ulicach obecnych było więcej ludzi niż zwykle o tej porze, wyludnione letnie miasto zdawało się wylewać na ulice wszystkie swe ostatnie rezerwy. Piętrzyły i stapiały się grupy, dopiero co zgromadzonych. Fala ludzkich ciał złapała mnie i porwała ze sobą, by wyhamować przy pewnym skrzyżowaniu w masie poruszonych ludzi (...). Od dawna już nie mogłam się ruszyć, z trudnością oddychałam. Upał był niewyobrażalny, a szum niezliczonej ilości głosów mnie ogłuszał. Nie straciłam świadomości, straciłam świadomość samej siebie. Wtopiłam się w to gigantyczne ciało, które zwie się masą”. (s. 23). Wydarzenie to zapamięta Luise na całe życie nie dlatego, że miało ono ścisły związek z wybuchem I wojny światowej, a dlatego, że było dla niej „błogosławionym uczuciem niknącego ja”. Kilka lat później ucieknie z politycznego zebrania w strachu właśnie przed utratą tego ja. Główna bohaterka nie jest skupioną na sobie egocentryczką, jest osobą będącą świadomą swojego indywidualizmu, który autorka przeciwstawia tłumowi. W wiekach poprzednich indywidualnościami mogli być niemal wyłącznie mężczyźni. Ich ciała oraz ich poglądy li-

czyły się przede wszystkim, kobiety stanowiły niejako jednolitą masę (czy bardziej – chciano, by takową stanowiły). Początek wieku XX oznaczał także zauważenie kobiety jako istoty posiadającej własny rozum, pragnienia i styl. Budziła się świadomość kobiecego ciała i psychiki. Luise, ok. trzydziestoletnia bohaterka, pyta świat o sens swojego istnienia jako jednostki przeciętnej. Z jednej strony zauważenie przez Hartwig indywidualności jednostki, a z drugiej jej przeciętność – czyż to nie paradoks? Nie, lecz zwrócenie uwagi na to, że w pozornej przeciętności kryć się może niezwykła głębia.



Kobieta

Jaką zatem kobietą jest Luise? Poznajemy losy jedynaczki, której matka zajmuje się domem, a ojciec jest pracownikiem poczty. Luise jest z zawodu stenotypistką i sekretarką, w przeciągu dwunastu lat, o których opowiada w książce, zmienia pracę 5-6 razy. Pracuje nierzadko 12-13 godzin dziennie, wieczory lubi spędzać w teatrze, kinie lub w lokalu. Początkowo mieszka z rodzicami, później u ciotki, by ostatecznie wynajmując pokój. Spotyka się od czasu do czasu z mężczyznami, z jednym jest nawet przez jakiś czas zaręczona, a w stosunku do innego odczuwa pewnego rodzaju przywiązanie emocjonalne, z jeszcze innym przeżywa swój „pierwszy raz” w hotelowym pokoju.

Powieść jest analizą życia zewnętrznego i wewnętrznego Luise; bohaterka dokonuje syntezy budzących się w niej na poszczególnych etapach życia uczuć. Wielokrotnie podkreśla, że jedynym celem przyświecającym całemu jej opowiadaniu jest chęć możliwie dokładnego ich opisu. Już na pierwszej stronie pada z jej ust stwierdzenie, że jest przeciętną urody; ta „przeciętność” jest kategorią, przez którą postrzegać będzie ona nie tylko swoją cielesność, lecz także swoje talenty i charakter. Przeciętność idzie w parze z obojętnością. Luise wolałaby już być odrażająco brzydka czy przeraźliwie nieszczęśliwa niż obojętna (a jest to uczucie, które żywi do większości osób, czynności i przedmiotów). Od dzieciństwa czuje się niezauważana i nieważna, nie ma w sobie nic ze stereotypowej jedynaczki. Dzieciństwo upływa jej pod znakiem deficytu zainteresowania ze strony rodziców, uczęszczania do szkoły oraz braku koleżanek czy kolegów, nie wspominając już o braku przyjaciół. Jej ambicja i pracowitość pomagają jej nadrobić ewentualne braki intelektualne. Chciałoby się rzec, że Luise namiętnie – chociaż jest to ostatnie słowo, które pasuje do

¹ Wszystkie cytaty z powieści pochodzą z: Mela Hartwig *Bin ich ein überflüssiger Mensch?* Büchergilde Gutenberg, Frankfurt am Main, Wien und Zürich 2002.

niej – czyta książki, pochłaniając je w ilościach hurtowych; przełomowym dla niej przeżyciem jest wizyta w teatrze. Marzy o tym, by zostać aktorką, by móc na chwilę stać się kimś innym; pociąga ją, mieszczańkę przynależącą jednak raczej do klasy ludzi pracujących, egzotyczne życie świata artystów.

Jej relacje z ludźmi często wymykają się wszelkim ramom. Pierwszym wzorem kobiecości, z jakim ma do czynienia, jest

jej matka. Kobieta zajmująca się domem, raczej gardząca literaturą, ciężko pracująca od świtu do nocy. Dziewczynki w szkole i kobiety w pracy jeżeli już podziwia, to dlatego, że charakteryzują je cechy, których jej brak – przede wszystkim zaufanie do siebie samej. Przez kilka chwil miała „przyjaciółkę” – Elisabeth, studentkę aktorstwa wiedeńskiego konserwatorium, która popełnia samobójstwo z powodu nieszczęśliwej miłości. Ojciec Luise, ranny na froncie I wojny światowej, decyduje o wykształceniu córki i nadaje kierunek jej życiu zawodowemu, który nie pokrywa się z marzeniami dziewczyny. Luise płacze, gdy ojciec opowiada o okopowym życiu, jednak nie wydaje się być z nim szczególnie emocjonalnie związana. Jej późniejsze relacje z mężczyznami cechuje przede wszystkim obojętność – Emil K., Anton W., Księgowy bezimienny. Wyjątkami są tutaj Tajemniczy Nieznajomy, z którym

spędza namiętny wieczór i noc oraz Egon Z. (przez którego Elisabeth postanowiła zakończyć swój ziemski żywot), wzbudzający w niej głębsze uczucia, nie zasługujące jednak, moim zdaniem, na miano miłości.

Co zatem czyni książkę Meli Hartwig wyjątkową, skoro pisze ona o zwyczajności i obojętności? Sposób, w jaki została napisana. Nie wolno zapomnieć, że powieść powstała na początku lat 30. XX wieku, a dzisiaj – po blisko stu latach od opracowania przez Zygmunta Freuda psychoanalizy – nikt nie napisałby jej lepiej. Książka ta jest niewątpliwie analizą psychiki młodej, dorosłej kobiety. Rozterki Luise oraz sposób ubrania ich w słowa przez Hartwig świadczą

o tym, że autorka doskonale orientowała się w psychoanalitycznych trendach secesyjnych salonów. Bohaterka stara się zgłębić motywy swojego działania, szuka przyczyn, dystansuje się do siebie; czasem czytelnik odnosi wrażenie, jak gdyby opowiadała o kimś trzecim. Luise oddaje się refleksjom na temat swojego ciała; zauważa, że z procesem stawania się kobietą, oprócz miesiączki, łączą się zmiany nastrojów. Ma w sobie kobiece pragnienie i tęsknotę za byciem zauważaną i wyjątkową; odnotowuje skrętnie w swojej świadomości wszelkie przejawy męskiego zainteresowania jej osobą. Jest kobietą nowoczesną, której potrzeby wyrastają ponad ramy „kuchnia-kościół-dzieci” i która chce pracować zawodowo. Polityka obchodzi Luise tylko o tyle, o ile dotyka ją osobiście. I wojna światowa obecna jest w powieści Hartwig niejako od

podupadłej mieszczańskiej kuchni; sama Luise trafia, namówiona przez koleżankę z biura, na zebranie socjalistów. Hartwig porusza w tej powieści typowe dla siebie tematy bezrobocia i samotności w nowoczesnym mieście.

Mela Hartwig w *Czy jestem zbędnym człowiekiem?* (ale nie tylko w tej powieści) opisuje swoją terażniejszość, nie uciekając od niepozornych bohaterów i spraw codziennych. Nie atakuje kobiecej natury bohaterki, która pragnie być podziwiana, pożądana

i kochana, podkreślając jednak wagę wolności i niezależności. Luise obce są tradycyjne schematy myślowe, narzucone przez matkę (która w gruncie rzeczy nie jest szczęśliwa szorując podłogę dla polskich emigrantów, mieszkających w ich mieszkaniu w czasie wojny), a w swojej niezależności pozwala sobie na pragnienie „czegoś więcej”. Autorka udaje się w te obszary istoty człowieka, które wymykają się racjonalnemu wytłumaczeniu, a które nierozzerwalnie związane są z jego naturą – opisuje sny, wyobrażenia, indywidualne wrażenia. Zostawia przestrzeń czytelnikowi, by odpowiedział sobie sam, czy Aloisia Schmidt jest rzeczywiście zbędnym człowiekiem. Całą powieścią porusza temat wartości indywidualizmu w obliczu nowoczesności.





Mela Hartwig

Mela Hartwig jest autorką nieznaną w Polsce, żadna z jej powieści czy nowel nie została przetłumaczona na język polski. Urodzona w Wiedniu w roku 1893 (lub 1895) Hartwig pochodziła z rodziny zasymilowanych Żydów, otrzymała staranne wykształcenie. Odnosiła sukcesy jako aktorka teatralna na scenach austro-węgierskich oraz berlińskiej *Volksbühne*. W 1927 roku wysłała swoje opowiadanie *Das Verbrechen* (Przestępstwo) na konkurs rozpisany przez czasopismo „Literarische Welt”, gdzie zostało ono zauważone oraz wyróżnione. Głównym jurorem w dziedzinie prozy był Alfred Döblin, który dwa lata później wydał swą, najśłynniejszą bodaj, powieść *Berlin Alexanderplatz*. Wraz z mężem, żydowskim adwokatem, zmuszona została opuścić Austrię w roku 1938 z powodu swojego pochodzenia. Po podróży przez Czechosłowację, Hiszpanię i Paryż małżeństwo osiedliło się w Londynie, gdzie mogło liczyć na pomoc Virginii Woolf i gdzie Mela Hartwig-Spira zmarła w roku 1967.

Niewiele wiadomo o jej osobowości, wiele jej osobistych rzeczy i zapisków zaginęło, a jedynym znanym zdjęciem jest zamieszczona w artykule podobizna. Źródłem wiedzy o autorce mogą być jej prace (zarówno literackie, jak i malarskie), które wskazują na jej refleksyjną naturę, jak i listy pisane przede wszystkim już z Anglii. *Czy jestem zbędnym człowiekiem?* nie jest pierwszą powieścią Hartwig. Znajdujemy w niej pewne wątki autobiograficzne. Mela Hartwig była z zawodu aktorką, kobietą wychowaną w wielkim

mieście, będącą rówieśniczką głównej bohaterki. Czytając jednak inne prace autorki, czytelnik przekonuje się, że nie pisała ona o sobie – sytuacja jej bohaterów czy bohaterek, jest często zgoła inna od tej, która jej przypadła w udziale. Charakterystyczna jest dla niej wrażliwość i umiejętność wyrażenia sprzeciwu wobec ciemionych osób czy grup społecznych – kobiet, dzieci, bezrobotnych czy Żydów w Austrii w latach tuż przed wybuchem II wojny światowej. Ponadto Hartwig wydawała się być szczęśliwą mężatką – Robert Spira wypowiadał się w listach bardzo czule i z troską o żonę, a kilka dni po jej śmierci, uporządkowawszy wszystkie sprawy, popełnił samobójstwo. Losy kobiet i ich związków z mężczyznami na kartach jej powieści czy opowiadań są natomiast zazwyczaj tragiczne.

W Niemczech twórczość Hartwig przeżywa swoisty renesans, jej powieści wydawane są na nowo (lub po raz pierwszy) przez wydawnictwo Droschl. W opracowaniach główną kategorią, według której klasyfikuje się Hartwig, jest feminizm. Uważam jednak, że jest to znaczne uproszczenie. Nowoczesne społeczeństwo rządzi się, w pewnej mierze, ciągle tymi samymi prawami, spostrzeżenia autorki są ponadczasowe. Hartwig wydawała się być kobietą świadomą swej kobiecości, walczącą o konkrety, nie rzucającą na oślep zarzutów pod adresem mężczyzn. Autorka osądzała społeczeństwo, nie różnicując płci, o powodowanie nieszczęścia własnym lenistwem, czy egoizmem. Występowała przeciwko wszelkiemu zniewoleniu człowieka i jego ograniczeniom. Mówiła językiem prostym i konkretnym, ocenę i wnioski pozostawiając czytelnikowi. Talentem literackim w niczym nie ustępowała Franzowi Kafce – wiele ich spostrzeżeń jest niemal identycznych. Mela Hartwig zarówno swoją biografią, jak i twórczością dowiodła, że była córką swoich czasów, pisała literaturę zaangażowaną społecznie, zachowując przy tym jej wysoki poziom oraz udzielając jej delikatnego kobiecego rysu.

Bardzo dziękuję p. Gerhardowi Dienesowi z Universalmuseum Joanneum w Grazu za pomoc w napisaniu artykułu. Wszystkie tytuły i cytaty w tłumaczeniu autorki tekstu.

Bibliografia:

Mela Hartwig *Bin ich ein überflüssiger Mensch?* Büchergilde Gutenberg, Frankfurt am Main, Wien und Zürich 2002. Siglinde Bolbecher / Konstantin Kaiser (wyd.), *Lexikon der österreichischen Exilliteratur*, Wydawnictwo Deuticke, Wiedeń 2000, s. 285–286.

Christa Cürtler / Sigrid Schmid-Bortenschlager, *Erfolg und Verfolgung. Österreichische Schriftstellerinnen 1918–1945. Fünfzehn Porträts und Texte*, Residenz Verlag, Salzburg-Wiedeń-Frankfurt n. Menem 2002, s. 189–197.

Ernst Schönwiese, *Literatur in Wien zwischen 1930 und 1980*, Wydawnictwo Amalthea, Wiedeń 1980, s. 97–102.

Julia Maier-Lehner, praca dyplomowa *Mela Hartwigs Novellenwerk*. Wiedeń 2009, URL: http://othes.univie.ac.at/4628/1/2009-03-31_0147307.pdf

PALESTYŃSKO-IZRAELSKIE WĘDRÓWKI

Trudno o pozbawiony emocji tekst dotyczący konfliktu bliskowschodniego. Obiektywizm nie wyklucza angażowania się w czyjeś losy i wypowiedzenia po stronie sprawiedliwości. Ocena sprawiedliwości zależy zaś od stopnia wrażliwości i uczciwego wglądu w sytuację każdej ze zwaśnionych stron. Zaangażowanie w poznanie wieloźródłowego spojrzenia na konflikt izraelsko-palestyński pozwala na ocenę i postawienie własnej diagnozy. Chcąc gruntownie zbadać źródło, przebieg i terażniejsze oblicze konfliktu izraelsko-palestyńskiego nie sposób dotrzeć do każdego źródła i przebrnąć przez wszystkie zawiłe historyczno-polityczne książki na ten temat. Jednak warto spróbować i podjąć się tego wyzwania. Wówczas okaże się, że nawet w jednej z najbardziej chłodnych, pozbawionych oceny publikacji na temat konfliktu – naukowym dziele Jamesa L. Gelivina *Konflikt izraelsko-palestyński* natrafiamy na fragment dający obiektywny wgląd w skalę niesprawiedliwości spotykającej Palestyńczyków:

„W następstwie powstania państwa Izrael i nakby¹ członkowie społeczności międzynarodowej zbywali albo ignorowali dążenia narodowe Palestyńczyków, lub też cynicznie nimi manipulowali dla osiągnięcia własnych celów. Palestyński ruch narodowy – ten powiernik palestyńskiej tożsamości – pozbawiony właściwie pomocy na arenie międzynarodowej i stojący naprzeciw potężnego przeciwnika pragnącego go zniszczyć, wobec braku operacyjnej postawy działania i dostatecznej ilości środków, z których mógł korzystać, wydawał się skazany na zagładę”².

Problem w rozmawianiu i pisaniu o konflikcie izraelskim polega na tym, że krytykujący ten kraj, oceniany zostaje zwykle jako antysemita lub ksenofob. A tymczasem, jakże znamienne zdają się być słowa pacyfisty Mahatmy Gandhiego – „Nie jestem antyangielski, antybrytyjski, nie jestem anty – wobec żadnego rządu, lecz jestem anty – wobec nieprawdy, wobec humbugu i wobec niesprawiedliwości”³.

Karolina Kunda-Kuwieckij

Jednym z krajów, w stosunku do którego unika się krytyki jest Izrael. Unikanie tejże krytyki motywowane jest zwykle względami ekonomiczno-politycznymi i lękiem przed posądzeniem o antysemityzm. Krytyka rządów danego kraju oznacza po prostu krytykę rządów danego kraju. Krytyka działań i decyzji politycznych władz danego kraju oznacza jedynie krytykę jego działań i polityki. Nie chodzi o to, by krytykować cały naród i jego mieszkańców. Norman G. Finkelstein, słynny intelektualista amerykański żydowskiego pochodzenia, twierdzi, że najważniejsze, aby nigdy nie tracić sprzed oczu praw człowieka, ludzkiej godności i równości między ludźmi. W swojej książce *Gaza – o jedną masakrę za daleko* podkreśla, że zwycięstwo narodu żydowskiego nie może odbywać się czymkolwiek kosztem, „chodzi o zwycięstwo bez podboju”. I dodaje: „W ostatnich latach coraz trudniej jest bronić postępowania Izraela (..), a inwazja na Gazę oznaczała stoczenie się Izraela na dno barbarzyństwa”⁴.

Od czasu powstania państwa Izrael zbyt wiele niesprawiedliwości spotkało już Palestyńczyków. Bez międzynarodowej krytyki polityki Izraela, powstrzymania rozrastania się nielegalnych izraelskich osiedli na palestyńskich Terytoriach Okupowanych, kraj ten zniknie



Palestynka na gruzach swojego domu
Fot. Maciek i Paulina Jedynak

na zawsze z powierzchni ziemi, a Palestyńczycy stale już zmuszeni będą żyć na uchodźstwie, wygnani z własnego kraju i bez możliwości powrotu do domu.

Wędrowki palestyńsko-izraelskie

W tradycję Palestyny wpisana jest *sarha*, co po arabsku znaczy wędrowka. „Iść na sarhę znaczyło tyle, co wędrować swobodnie, tak jak się chce, bez ograniczeń. (...) Ktoś, kto idzie na sarhę, wędruje bez celu, nie bacząc na ograniczenia czasowe i przestrzenne, idzie tam, gdzie poprowadzi go jego duch, idzie nakarmić swoją duszę i się odnowić”⁵. Spontaniczne *sarhy* potrafiły przekształcać się w wielomiesięczne, mistyczne tułaczki po Palestynie. Dzięki spisanim przez Raję Shehadeha sześciu wędrowkom, poznamy zarówno historyczną Palestynę, jak i jej dzisiejsze oblicze. Spacerujemy z autorem przez liczne wzgórza, chodzimy po porośniętych cyklamenami tarasach, odwiedzamy prawie nieliczne już dziś *kasry*, czyli kamienne konstrukcje, „w których rolnicy przechowywali produkty rolne i na których płaskich dachach spali w czasie zbiorów”⁶. W *Kraju utraconym* Göran Rosenberg również wspomina o wędrowkach. Píše o nich w kontekście tradycji syjonistycznych ruchów młodzieżowych, w których zwyczajem również leżą piesze wycieczki. Wędrowki te miały i do dziś mają za zadanie kształtować tożsamość narodowościową, przywiązanie do ziemi, szacunek

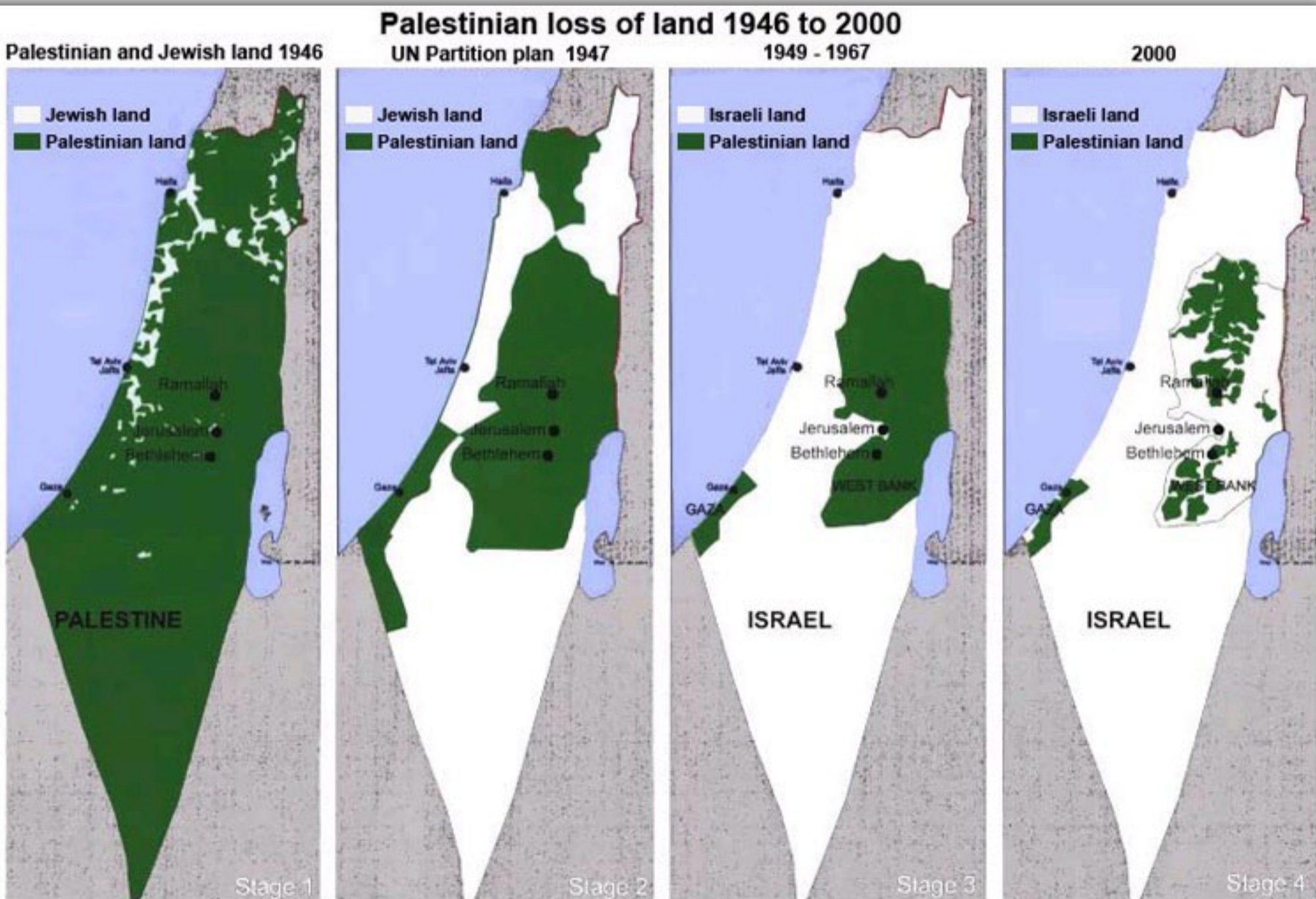
do korzeni żydowskich. Mają wywoływać emocjonalną więź i uczyć miłości do ziemi Izraela. Wędrowki mają różne trasy, trwają zawsze trzy lub pięć dni i są dokładnie zaplanowane. Diametralnie różnią się od wędrowek Palestyńczyków. Izraelskie marsze, nieco mechaniczne, sztywnie trzymające się wcześniej powziętego planu, najwyraźniej nie wypływają z potrzeby duszy. Wyprawy Palestyńczyków brały się z wrodzonej miłości do włości po własnej ziemi, z przywiązania do niej. I nieokiełznanej potrzeby poznawania naturalnych bogactw i skarbów palestyńskiej ziemi.

Śpiew uwięzionego ptaka

Pisarze palestyńscy tworzą literaturę i poezję zaangażowaną społecznie i politycznie. Dzieje się, ponieważ, jak twierdzi w *Na ziemi Izraela* Al-Halili, redaktor dodatku literackiego palestyńskiej gazety „Al-Fajr”: „naród uciskany nie będzie śpiewał jak ptak na drzewie; będzie śpiewał jak ptak w klatce”.

Ghassan Kanafani jest jednym z najbardziej znanych prozaików palestyńskich. Większość życia spędził jednak poza Palestyną, na uchodźstwie w Libanie, Kuwejcie i Syrii. Jego twórczość stanowią w znacznej mierze autobiograficzne opowiadania i miniatury literackie, których motyw przewodni zawsze stanowi tęsknota za utraconą ojczyzną, losy Palestyńczyków, ich tułaczka, marzenia i walka o powrót do domu. Jednym z najznamienszych

Ilustracja ze strony: www.fasttimesinpalestine.wordpress.com



opowiadań Kanafaniego jest tytułowe opowiadanie z tomu *Ziemia smutnej pomarańczy*. Autor przywołuje w nim przerażenie i smutek towarzyszący wygnaniu z palestyńskiej Jaffy do Libanu. Ukazuje w nim okoliczności powstania państwa Izrael w 1948 roku. Było ono okupione pozbawieniem miejsca zamieszkania ponad ośmiuset tysięcy Palestyńczyków, zmuszonych przez izraelskie wojsko do opuszczenia swych domów na terenie Palestyny i rozpoczęcia tułaczki po świecie w poszukiwaniu azylu i nowego domu. „Byłem pewien, że Bóg, którego znaleźliśmy w Palestynie, też ucieka i tak jak my staje się uchodźcą. On nie potrafi rozwiązać nawet własnych problemów. Tymczasem my, uchodźcy, siedzimy na chodniku pod gołym niebem i czekamy na nowego Boga, który przyniesie jakiegokolwiek rozwiązanie. Oczekujemy dachu, pod którym spędzimy najbliższą noc. Ból rozsadzał mały, dziecięcy umysł”⁷. Kanafani zginął w Bejrucie w Libanie, w wyniku zaplanowanego izraelskiego ataku bombowego 8 lipca 1972 roku. Do jego zabójstwa przyznała się izraelska agencja wywiadowcza, Mossad. Pisarz stanowi dziś palestyński symbol życia na uchodźstwie i niesprawiedliwości spotykającej palestyński naród. Swoim opowiadaniom nadaje rangę symboli i metafor o jasnym i czytelnym znaczeniu i przesłaniu. W *Ziemi smutnej pomarańczy* powraca motyw wysuszonej pomarańczy, opuszczonej ojczyzny, ukochanej – pełnej owoców – Palestyny. Będąc na wygnaniu, narrator przebywa „daleko od dzieciństwa, daleko od ziemi pomarańczy, tych pomarańczy, o których pewien fellach powiedział nam, że uschły, kiedy zmieniła się ręka, która je podlewała”⁸.

Wzgórza Syjonu

Powstanie państwa Izrael było wynikiem syjonizmu, a syjonizm zakłada dążenie do stworzenia jednolitej żydowskiej siedziby narodowej na terenie Palestyny. By zatem mogło powstać państwo Izrael, musiało dojść do wypędzenia setek tysięcy Palestyńczyków z kraju. W 1948 roku wiele palestyńskich wiosek zostało zrównanych z ziemią, ich mieszkańcy byli masowo mordowani, wypędzani, a ich mienie przejmowało izraelskie wojsko. Wobec znajomości tych faktów zakrawa na bezwstydną i obłądę twierdzenie Amosa Oza, iż „syjonizm działał zawsze z wielkim

szacunkiem dla rzeczywistości, z cierpliwym realizmem, z szacunkiem dla rzeczywistości, którą tworzymy, ale z nie mniejszym szacunkiem dla rzeczywistości innych sił, potężniejszych od nas”⁹.

Ludzie wciąż dywagują i pełni obaw o przyszłość obu narodów, pytają: Czy kiedykolwiek zapanuje spokój?

Odpowiedzi religijnie podsumowującej rozwiązanie konfliktu izraelsko-palestyńskiego, udzielił Amosowi Oz przed laty pewien Palestyńczyk mieszkający w Ramallah na Zachodnim Brzegu: „Jeśli Bóg da, zapanuje”. W swojej książce *Jak uzdrowić fanatyka*, Oz daje inną receptę, kompromis. „Bolesny kompromis – podkreśla Izraelczyk – Dla mnie kompromis, znaczy życie. A przeciwieństwem kompromisu nie jest idealizm czy poświęcenie, lecz fanatyzm i śmierć. Potrzebujemy kompromisu. Kompromisu, nie kapitulacji. Kompromis oznacza, że ani Palestyńczycy ani Izraelczycy nie powinni nigdy padać na kolana”¹⁰. Po czym dodaje niczym samozwańczy reprezentant narodu izraelskiego: „Jesteśmy propokojowi, ale niekoniecznie propalestyńscy”¹¹.

Ozowi bliska jest bezlitosna i bezkompromisowa idea syjonizmu, a *Jak uleczyć fanatyka* napisał w 2002 roku, nie wiedząc jeszcze nic o kontynuowanej przez izraelskie władze i wojsko czystce etnicznej, bombardowaniu Gazy, nieustannym i bezprawnym wyburzaniu domów należących do Palestyńczyków, nielegalnym osiedlaniu się osadników żydowskich na palestyńskich terytoriach okupowanych, polityce apartheidu. Jednym z radykalnych ugrupowań palestyńskich jest Hamas, religijno-nacjonalistyczny ruch wyzwoleńczy. Niektóre ekstremalne posunięcia Hamasu, takie jak choćby wysadzenie się w powietrze, potępiają sami Palestyńczycy. Ale nawet te okrutne desperackie posunięcia członków Hamasu dobitnie sygnalizującego ruch oporu, podkreślają nierówną walkę z izraelskim systemem obrony i przegrywają z czołgami, bombardowaniami bezzałogowych samolotów czy śmiercionośnymi amunicjami z użyciem nielegalnego białego fosforu rozpylanego wielokrotnie nad Strefą Gazy.



Nadużywanie strachu

W reportażach Pawła Smoleńskiego *Izrael już nie frunie* pojawia się postać Ariego Folmana, byłego żołnierza izraelskiej armii. Folman twierdzi, że niepewne jutro narodu izraelskiego determinuje agresja. Arogancja „bierze się z poczucia braku bezpieczeństwa, z ciągłego zagrożenia. Jeśli czujesz się bezpieczny, nie musisz być agresywny”¹². Sami Izraelczycy nie ukrywają, jak wielką rolę odgry-

wa dziś w polityce Izraela ciągły, nieuzasadniony strach i widmo Zagłady. Powtarzana niczym mantra, nadużywana dla usprawiedliwiania zbrodni, bezlitosnego systemu więziennego. Przywoływana, rozpamiętywana, czczona – Zagłada. Idith Zertal, izraelska historyczka, profesor na Uniwersytecie w Bazylei, nie ma złudzeń. W swej książce

Naród i śmierć. Zagłada w dyskursie i polityce Izraela pisze: „Od chwili powstania państwa Izrael Zagłada i miliony śmierci były stale obecne w mowie i milczeniu narodu, w życiu i koszmarach setek tysięcy ocalonych, a także w krzyczącej nieobecności ofiar. Obecne są w prawodawstwie, w modlitwach, ceremoniach, sądach, szkołach, w prasie, w poezji, nagrobnych inskrypcjach, na pomnikach i w księgach pamięci”¹³. Izraelscy politycy wykorzystywali i do dziś wykorzystują Holokaust jako narzędzie do budowania wiecznego strachu i kreują dzisiejszy świat żydowski w kontekście zagrożenia wizją ponownej Zagłady. Dzięki nadużywaniu przytaczania liczb ofiar wojennych i plastycznym przeinaczaniu faktów, redefiniują obraz dzisiejszego konfliktu z Palestyńczykami. „W tym świecie, gdzie wszystkie znaczenia zostają odwrócone, a wszelkie projekcje są dozwolone, podbite narody stają się zdobywcami, prześladowani zamieniają się w prześladowców, zbrodniarze – w ofiary. Ten odwrócony świat nosi w dodatku na sobie najwyższą pieczęć Auschwitz. Mówimy o okupantach, którzy sami siebie uważają za okupowanych”¹⁴.



👉 Karykatura palestyńskiego rysownika Najiego Al-Aliego

This Wall Will Fall, Fot. Maciek i Paulina Jedynak

Zanikający krajobraz

Raja Shehadeh pisze: „Jakże ponura okazała się przyszłość: kraj zasiedliło już blisko pół miliona izrael-



skich Żydów, mieszkających w setkach osiedli rozsianych po wzgórzach i połączonych ze sobą szerokimi drogami przecinającymi uedy. A niedawno *bloki osadnicze* opasano murem, który zniweczył piękno naszych wzgórz, oddzielił od siebie nasze wioski i miasta i dostarczył Izraelczykom pretekstu do zaanektowania jeszcze większej części naszej ziemi, rujnując nadzieje na prawdziwy pokój¹⁵.

Konflikt izraelsko-palestyński ma skomplikowaną strukturę, choć jego praprzyczyna nie jest niemożliwa do zbadania. Złożoność problematyki nie powoduje jednak, że można go beztrudnie ignorować i pozostać obojętnym na krzywdę tysięcy ludzi. Tragedia spotykająca dziś obydwie strony przeraża, porusza i wzrusza. Gdy Izrael bombarduje Strefę Gazy, Palestyńczycy odpowiadają atakiem. Ludzie giną w atakach po obu stronach konfliktu. Krajobraz dawnej Palestyny przecinają dziś autostrady stworzone na potrzeby dojazdu do izraelskich osiedli, setki izraelskich punktów granicznych oraz ponad siedmusetkilometry, nielegalny izraelski mur separacji. Krajobraz drzewek cytrynowych i gajów oliwnych na Zachodnim Brzegu Jordanu sukcesywnie, konsekwentnie i permanentnie rujnowany jest przez setki jednakowych, bezosobowych osiedli izraelskich. W całym zakłamaniu swej polityki i propagandy syjonizmu Izrael zapomina, że chodzi o ziemię, która dziś, jak słusznie ze smutkiem zauważa Raja Shehadeh, staje się „zanikającym krajobrazem”. I powstałe kosztem Palestyńczyków państwo Izrael powinno zdać sobie sprawę, że krajobraz ten może któregoś dnia na zawsze zniknąć z powierzchni ziemi. A Göran Rosenberg zdaje się wtórować Shehadehowi podkreślając, że „bez godziwej przyszłości dla Palestyńczyków, nie ma też godziwej przeszłości dla Żydów”¹⁶.

Przypisy:

¹ Nakba – dosł. „katastrofa”; palestyńskie określenie wojny z 1948 roku. (Źródło: James L. Gelvin, *Konflikt izraelsko-palestyński*).

² James L. Gelvin, *Konflikt izraelsko-palestyński*, przeł. Tomasz Teszner, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2009, s. 237.

³ Mahatma Gandhi, *Najważniejsze pisma*, redakcja, wstęp i przypisy Judith M. Brown, Oksford 2008, s. 349.

⁴ Norman G. Finkelstein, *Gaza – o jedną masakrę za daleko*, przeł. Paweł Michał Bartolik, Instytut Wydawniczy Książka i Prasa, Warszawa 2010, s. 178.

⁵ Raja Shehadeh, *Palestyńskie wędrówki. Zapiski o znikającym krajobrazie*, przeł. Anna Sak, Wydawnictwo Karakter, Warszawa 2011, s. 28.

⁶ Tamże, s. 35.

⁷ Shakir Kitab, *Twórczość Ghassana Kanafaniego jako martyrologium Palestyńczyków*, Wydawnictwo Al-Kitab, 2002, s. 140.

⁸ Tamże, s. 143.

⁹ Amos Oz, *Na ziemi Izraela*, przeł. Monika Czerniewska, Wydawnictwo SuperNOWA, Warszawa 1996, s. 120-121.

¹⁰ Amos Oz, *Jak uzdrowić fanatyka*, przeł. Danuta Sękalska, Wydawnictwo Prószyński i S-ka, Warszawa 2006, s. 54-55.

¹¹ Tamże, s. 56.

¹² Paweł Smoleński, *Izrael już nie frunie*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2011, s. 67.

¹³ Idith Zertal, *Naród i śmierć. Zagłada w dyskursie i polityce Izraela*, przeł. Jan Maria Kłoczowski, Universitas, Kraków 2010, s. 14-15.

¹⁴ Tamże, s. 325.

¹⁵ Raja Shehadeh, *Palestyńskie wędrówki. Zapiski o znikającym krajobrazie*, przeł. Anna Sak, Wydawnictwo Karakter, Warszawa 2011, s. 94.

¹⁶ Göran Rosenberg, *Kraj utracony. Moja historia Izraela*, przeł. Milena Haykowska, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2011, s. 9.

Bibliografia:

Norman G. Finkelstein, *Gaza – o jedną masakrę za daleko*, przeł. Paweł Michał Bartolik, Instytut Wydawniczy Książka i Prasa, Warszawa 2010.

James L. Gelvin, *Konflikt izraelsko-palestyński*, przeł. Tomasz Teszner, Wydawnictwo Uniwersytetu Jagiellońskiego, Kraków 2009.

Ewa Jasiewicz, *Podpalić Gazę*, Wydawnictwo WAB, Warszawa 2011.

Shakir Kitab, *Twórczość Ghassana Kanafaniego jako martyrologium Palestyńczyków*, Wydawnictwo Al-Kitab, 2002.

Amos Oz, *Jak uzdrowić fanatyka*, przeł. Danuta Sękalska, Wydawnictwo Prószyński i S-ka, Warszawa 2006.

Amos Oz, *Na ziemi Izraela*, przeł. Monika Czerniewska, Wydawnictwo SuperNOWA, Warszawa 1996.

Göran Rosenberg, *Kraj utracony. Moja historia Izraela*, przeł. Milena Haykowska, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2011.

Raja Shehadeh, *Palestyńskie wędrówki. Zapiski o znikającym krajobrazie*, przeł. Anna Sak, Wydawnictwo Karakter, Warszawa 2011.

Paweł Smoleński, *Izrael już nie frunie*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2011.

Ben White, *Apartheid izraelski*, przeł. Paweł Michał Bartolik, Instytut Wydawniczy Książka i Prasa, Warszawa 2010.

Idith Zertal, *Naród i śmierć. Zagłada w dyskursie i polityce Izraela*, przeł. Jan Maria Kłoczowski, Universitas, Kraków 2010.



LEKTURY
REPORTERA

Recenzja miesiąca:
grudzień 2012

ZAPISKI Z KOŃCA PEWNEGO ŚWIATA

Robert Jurszo

W 1831 roku, młody i dobrze zapowiadający się francuski prawnik, Alexis de Tocqueville, wyruszył do Ameryki. W podróż – wraz z przyjacielem, także jurystą i arystokratą, Gustavem de Beaumont – został wysłany przez Ministerstwo Sprawiedliwości. Obaj panowie mieli za zadanie zbadać amerykański system więziennictwa i przedstawić go w raporcie. Opracowanie napisał Beaumont, natomiast literackim owocem podróży Tocqueville'a stała się – dziś już klasyczna – książka *O demokracji w Ameryce*. Ale nie tylko. Młody myśliciel popełnił jeszcze jedno dziełko – zaledwie kilkudziesięciostronicowy opis ich wspólnej eska-

pady w mało zamieszkałe przez białych osadników rejony Ameryki Północnej. Reportaż z podróży nosi tytuł *Piętnaście dni w pustkowiu*.

„Jedną z rzeczy” – pisze podróżnik – „która najbardziej pobudzała naszą ciekawość, kiedy przybyliśmy do Ameryki, było przekraczanie skrajnych granic cywilizacji europejskiej, a nawet, jeśli czas nam na to pozwalał, odwiedzenie niektórych spośród owych plemion indiańskich, które wolały uciec w najbliższą samotność, niż przystosować się do tego, co biali nazywają rozkoszami życia społecznego”. Stąd, w myśl powyższych słów, książka skupia się przede wszystkim na dziewiczej amerykańskiej przyrodzie i zamieszkujących ją autochtonach.

Prawie jak zwierzęta

Tocqueville'a – jako fascynata powieści Coopera i Chateaubrianda – Indianie rozczarowali. Dosłownie. Rzeczywistość nie sprostała jego – wyhodowanym na literaturze przygodowej – wyobrażeniom. Już na drugiej stronie daje upust swojej goryczy: „spodziewałem się, że ujrzę w tubylcach Amerykę dziką, na której obliczu natura pozostawiła ślad niektórych z owych wzniosłych cnót, jakie zrodził duch wolności. Wierzyłem, że spotkam w nich ludzi, których ciała zostały ukształtowane polowaniem i wojną i które nic nie traciły widziane nagie”. A jacy byli „prawdziwi” Indianie w jego oczach? „Indianie, których owego dnia ujrzałem, byli mizernej postury (...). Ich (...) wyraz twarzy – nikczemny i zły. Fizjonomie zwiastowały owo głębokie zdeprawowanie, które mogło być jedynie rezultatem długotrwałego nadużywania dobrodziejstw cywilizacji. (...) W przywarach, które od nas pobrali, mieszało się coś barbarzyńskiego i niecywilizowanego, co czyniło ich stokroć bardziej odpychającymi”. (...) Na pierwszy rzut oka można było zobaczyć w każdym z nich nic więcej jak tylko leśne zwierzę, któremu edukacji dostarczyć mogło pojawienie się człowieka, ale które przez to nie stawało się w mniejszym stopniu zwierzęciem”. Trudno tę charakterystykę uznać za łaskawą. Ale – oddajmy jednak Tocqueville'owi sprawiedliwość – pod wpływem doświadczeń drogi jego postrzeganie Indian nieco zmieniło się na ich korzyść. Zaświadcza o tym choćby opis niespodziewanego spotkania w leśnej głuszy z czerwonoskórym, który rozładował napiętą atmosferę przez to, że... uśmiechnął się do dwójki strwożonych urzędników. „Po raz pierwszy mogliśmy wówczas obserwować, do jakiego stopnia wyraz wesołości kompletnie zmienia fizjonomię tych dzikich ludzi. (...) Indianin poważny i Indianin uśmiechający się, to dwaj zupełnie różni ludzie. W bezruchu pierwszego króluje dziki majestat wywołujący mimowolne uczucie przerażenia. Kiedy zaś ten sam człowiek się uśmiecha, jego postać nabiera wyrazu naiwności i życzliwości, który czyni go prawdziwie uroczym”. W tonie pisarza mieszają się strach przed odmiennością i pobłażliwy paternalizm. Zawsze to jednak lepsze niż wrogość, czy otwarta nienawiść.

Wymierająca rasa

Ponury czy uśmiechnięty – tocquevillowski Indianin ma kilka cech charakterystycznych. Przede wszystkim – nie jest cywilizowany. „Cywilizacja – pisze filozof – w ogóle nie ma nad nim władzy. Nie zna jej powabów i gardzi nimi”. Jego schronieniem jest przyroda. „Zanurzony w głębokich ciemnościach cywilizowany człowiek porusza się po omacku (...). Wśród takich właśnie ciemności triumfuje dziki. Dla niego las nie ma żadnej tajemnicy, odnajduje się w nim jak w swojej ojczyźnie (...)”. Także jego codzienne nawyki odległe są od ludzkich, co czyni go bardziej podobnym do zwierząt: „Indianin nie wie, co to regularne pory spożywania posiłków; opycha się pokarmem, kiedy może,



a następnie pości, aż znajdzie coś, co zaspokoi jego głód. Podobnie zachowują się w takich okolicznościach wilki”.

Wszystko to sprawia – Tocqueville pisze o tym bez ogródek – że Indianie są skazani na zagładę. Jeden z rozmówców podróżnika mówi: „to wymierająca rasa, oni nie są stworzeni do cywilizacji, która ich zabija”. „Ten świat należy do nas” – dorzuca inny. „Bóg z góry przeznaczył ich na niechybną zaturę”. Francuz nie może się powstrzymać od ironii względem kolonizatorów: „W społeczeństwie tak dumnym ze swojej moralności i filantropii spotyka się kompletną nieczułość, rodzaj niebywałego zimnego egoizmu, ilekroć chodzi o amerykańskich tubylców”.

Zaledwie jedna postać – spośród kilkunastu spotkanych przez Tocqueville'a i jego kompana na szlaku – ma życzliwy stosunek do Indian. Więcej – uważa ich za ludzi szlachetniejszych i bardziej prawych od kolonizatorów. Jest nim myśliwy żyjący poza terenami zamieszkałymi przez białych. Pytany o to, czy nie obawia się czerwonoskórych, odpowiada: „Bać się Indian! Wolę żyć wśród nich niż w społeczeństwie białych”. Pouczający dowód na to, że najlepszym nauczycielem jest doświadczenie. Być może Tocqueville wśród rozległych lasów północnej Ameryki terminował zbyt krótko.

Melancholijna przyjemność

Jak wspominałem wcześniej, przyroda to drugi ważny wątek tej skromnej objętościowo książeczki. Tocqueville nie pozostaje nieczuły na ogrom oglądanej w podróży przyrody. Zawarte w *Piętnastu dniach w pustkowiu* opisy ekstatycznych stanów wewnętrznych wywołanych różnorodnością form życia są popisami kunsztu literackiego francuskiego pisarza. „Czy ktoś odmaluje wiernie owe (...) chwile życia, kiedy dobre samopoczucie fizyczne przygotowuje nas do moralnego spokoju i kiedy staje przed naszymi oczyma niczym doskonała równowaga wszechświata”, zapytuje, opisując wrażenia z przeprawy w canoe przez jedno z jezior. Przyroda nastraja do kontemplacji, więcej, spontanicznie ją wywołuje i prowadzi do głębokiego pogodzenia się ze światem.


Pisarz ze zdumieniem zauważa, że nowi Amerykanie są kompletnie niezdolni do przeżywania podobnych stanów. „Zamieszkując pustkowie Amerykanin ceni wyłącznie twory człowieka. Chętnie pokaże nam drogę, most, ładne miasto, ale przywiązywać wagę do wielkich drzew (...) jest dla niego czymś absolutnie niezrozumiałym”. Przyroda jest dla kolonizatora przeszkodą, którą trzeba pokonać, by w jej miejsce mogła zakwitnąć cywilizacja. Pozostaje on zamknięty na to, co ona może w nim obudzić.

To prowokuje Tocqueville'a do konkluzji: przyroda podzieli los Indian. Wszystko co dzikie musi zostać ucywilizowane. Sam autor przyjmuje wobec tego postawę osobliwie estetyczną. Patrzy nań – jak sam to ujmuje – z „melancholijną przyjemnością”. (Przy całym wyczuwaniu podróżnika na piękno przyrody jego postawa jest zdumiewająca, by nie napisać – szokująca.) To właśnie widmo zniszczenia nadaje amerykańskiemu pustkowiu piękno o specyficznym odcieniu, którym tak egzaltuje się młody pisarz. „Myśl o tej naturalnej i dzikiej wielości” – pisze – „która się właśnie kończy, miesza się ze wspaniałymi obrazami powołanymi do życia przez marsz cywilizacji. Czuję dumę z bycia człowiekiem, a jednocześnie gorzki żal z powodu władzy, jaką Bóg przyznał nam nad przyrodą”. Wyrok więc już zapadł. Można tylko asystować przy jego egzekucji, upajając się nadchodzącym końcem starożytności i jego mieszkańców, niczym antycznym eposem. Indianom, niestety, zabrakło klasycznego wykształcenia, by mogli w pełni poddać się urokowi własnej agonii...

Budulec zachodniego świata

Piętnaście dni w pustkowiu to interesujący portret peryferii kolonizowanej Ameryki XIX wieku. To szkic granicy, która dzieliła dwa porządki: cywilizację białych osadników i



Benjamin West, *Układ Penna z Indianami, 1771-2* 

świat kultur indiańskich. Linia ta wyznaczała również przestrzeń nieuchronnego konfliktu pomiędzy dwoma sposobami życia oraz rozumienia rzeczywistości.

Tocqueville jednoznacznie opowiada się po jednej ze stron, nietrudno zgadnąć po której. Co prawda, jest życzliwy Indianom, ale sympatią podszytą lękiem i poczuciem wyższości. Wyraźną trudnością jest dla niego uznanie ich za istoty w pełni ludzkie. Dla niego przynależą już do przeszłości – nawet jeśli istnieją, to tylko na mocy odroczonego wyroku historii. Muszą odejść, bo nie nadążyli za postępem i wloką się w ogonie dziejów, bez szansy na wysunięcie się na czoło peletonu. Trafnie pogląd pisarza ujmuje w przedmowie tłumaczka książki, Irena Grudzińska-Gross: „Rozumie, że Indianie są ofiarami bezwzględnej i nieustępliwej polityki eksterminacyjnej, mimo to ich klęskę przypisuje słabości ich rasy, którą widzi w każdym spotkanym jej przedstawicielu”. Niemal otwarcie przyjmuje postawę rasistowską, choć rasizm był przed-

miotem jego ataków w listach do intelektualnego ojca tej idei, Arthura de Gobineau.

Za to podziwia kolonizatorów, choć nie bezkrytycznie. Razi go ich nastawienie na czysto materialny sukces, interesowność, a nawet hipokryzja w traktowaniu autochtónów. Ale jednocześnie zachwyca go dynamizm młodej kultury i jej nienasyconie. Jest wyraźnie pod wrażeniem kształtującego się nowego narodu, nawet jeśli jego arystokratyczny polityczny gust jest drażniony przez amerykański egalitaryzm.

Ostatecznie – pytanie, czy możemy mu dzisiaj robić z tego wyrzut – Tocqueville okazuje się być typowym przedstawicielem dziewiętnastowiecznej mentalności europejskiej, która cywilizację białego człowieka postrzegała jako najbardziej wartościową i najdoskonalszą. Ta „doskonałość” w praktyce oznaczała odmówienie prawa do istnienia wszystkim „mniej doskonałym”. Z kolei przyroda mogła być zaledwie surowcem, który stanowi budulec białego imperium. W tej perspektywie, wartość natury ostatecznie wycenia się w kwocie za metr sześcienny drewna czy tonę węgla.

Nie będzie przesadą napisać, że w takiej postawie wyraziło się w pełni wyobcowanie zachodniej kultury względem przyrody. Gdy Tocqueville pisał swoją książkę, w Anglii pieć maszyn parowych pożerały całe lasy. W Australii trwała rzeź innych „nie-ludzi” – Aborygenów. Potęga cywilizacji Zachodu – w jej obecnym kształcie – zbudowana została na instrumentalizacji i negacji natury: roślin, zwierząt i „dzikich”. *Piętnaście dni w pustkowiu* boleśnie nam o tym przypomina.

Alexis de Tocqueville, *Piętnaście dni w pustkowiu*, tł.: Irena Grudzińska-Gross, wyd. „Polityka” Spółdzielnia Pracy, 2003



George Catlin, *Buffalo Bull's Back Fat, wielki wódz Krwistego Plemienia*, 1832



A portrait of Xinran, a Chinese author, with short dark hair, wearing glasses and a black top. She is sitting at a table with her hands clasped. The background shows a room with a glass display case and a framed picture on the wall.

XINRAN

KOLEKCJONERKA LUDZKICH LOSÓW

Xinran to chińska pisarka, którą od lat zajmuje sytuacja rodaczek. Od kilkudziesięciu lat zbiera ich historie, jeździ po całych Chinach, wysłuchując kobiet starszych i młodszych, zamożnych i biednych, tych, które osiągnęły sukces i tych żyjących na marginesie społecznym, w miastach i na wsiach. Pisze o nich książki, to one zajmują jej myśli. Opowiada nam o swoich lękach, pracy i chińskiej kulturze.

Z Xinran rozmawia Kamila Kunda

Podczas swojej kilkudziesięcioletniej pracy jako dziennikarka i pisarka wysłuchała Pani setek historii. Udzieliła też Pani niezliczonych wywiadów. Jak to jest być po drugiej stronie mikrofonu? Czy rozmowy o życiu innych ludzi sprawiły, że łatwiej jest mówić o własnym?

Nie, to jest zawsze dla mnie najtrudniejsze. Wiele osób – moi wydawcy, przyjaciele, a także członkowie mojej rodziny – prosili mnie niejednokrotnie, bym napisała książkę o moim życiu. Ale to jest dla mnie bardzo, bardzo trudne, przede wszystkim dlatego, że przeszłam naprawdę wiele. Moje życie w Chinach było dla mnie niezmiernie ciężkie. Tak naprawdę nigdy nie wypowiadam się publicznie w Chinach. Zanim skończyłam dwadzieścia lat miałam za sobą cztery próby samobójcze, nie mogłam znieść dłużej mojego życia. Mój mąż, który jest starszy ode mnie, wciąż mi powtarza, że chciałby poznać moją przeszłość, bo nigdy o niej nie opowiadam. Mówi: „Jesteśmy ze sobą od ponad dziesięciu lat a ty nigdy nie mówisz o przeszłości, o swoim życiu w Chinach”. Widzi, że pochodzę z obcego dla niego środowiska, za każdym razem gdy jedziemy do Chin widzi reakcje ludzi na mnie, obserwuje moje zachowanie, które bardzo się różni od mojego zachowania w Londynie. Wciąż mi mówi: „Naprawdę chcę wiedzieć, kim jesteś i co stworzyło ciebie – osobę, którą dziś jesteś”. Często budzę się w nocy, myśląc o tym. Ale boję się pisać o sobie. Boję się, że nie będę mogła potem ciągnąć tego życia dalej. Choćby wczoraj, gdy nadeszło tyle życzeń do mnie [rozmowa miała miejsce dzień po nadejściu Chińskiego Nowego Roku] myślałam o tym, jak trudno jest żyć, gdy pewna część mego życia jest ciągłym sekretem, o którym nikt nie wie. Czekam, aż nadejdzie dzień, gdy będę gotowa, by o tym sekrecie mówić.

Z drugiej strony, uważam, że mój syn, który ma dwadzieścia cztery lata, nie jest jeszcze w stanie zrozumieć tego wszystkiego, przez co przeszłam. To, co napiszę, mogłoby go teraz skrzywdzić. Nie tyle bowiem boję się samego pisania, ile tego, jaki efekt może ono mieć na ludzi w moim otoczeniu.

Czy przeszłość wraca do Pani w snach?

To nie takie proste. Mój mąż jest świadkiem: niemal każdej nocy budzę się zrana potem, trzęsę się ze strachu. Pyta mnie: „Jak możesz tak żyć?” A to jest życie, które znam, odkąd skończyłam siedem lat. Moja mama wie, że coś mi się przydarzyło, ale nigdy się tym nie zainteresowała. Pewnie sama obawia się poznać prawdę.

A nie sądzi Pani, że pisanie o innych pozwala choć odrobinę zdjąć ten ciężar z ramion? Niektórym pisanie przynosi ulgę...

Owszem, to przynosi pewną ulgę, ale nie całkowicie. O sobie nie mogłabym pisać, gdyż zbyt silnie wpłynęłoby to na życie innych. Do tego nie mogę dopuścić. Pisałam kiedyś pamiętnik, ale ponieważ w Chinach nie było wolności słowa, zakopałam go. Bardzo się bałam, że ktoś go przeczyta,

a musiałam chronić mojego syna. Odrobinę własnej historii przemycam w moich książkach, jako rodzaj ucieczki dla siebie samej, ale muszę chronić innych przed moją przeszłością. Mój syn Pan Pan często mnie pyta: „Mamo, odniosłaś w Chinach taki sukces, byłaś znaną dziennikarką, wykładałaś na uniwersytecie, dlaczego nie opowiadasz o tym wszystkim?”.

Uważam, że jeśli mówisz o przeszłości, to musi to służyć twojej przyszłości. Łatwo jest opowiadać innym historie, ale wybaczyć sobie i innym – to już nie jest takie proste. Myślę o tym każdej nocy. Wczoraj zadzwoniła do mnie moja dobra przyjaciółka z Kanady i chciała wiedzieć, o czym myślałam dokładnie w tym momencie, w którym odebrałam telefon. Odparłam: „Myślałam o tym, co znaczy przebaczenie i jak się przebacza”. Łatwo mówić o przebaczeniu, ale jak się to robi? To pytanie towarzyszy mi stale w życiu.

Wiele razy pisała Pani, że nigdy nie zaznała Pani ciepła od matki, że ona nigdy Pani nie przytulała ani nie całowała, gdy była Pani dzieckiem. Czy zgodziłaby się Pani z teorią, że Pani matka wychowywała Panią według tego samego modelu, co Amy Chua, autorka bestsellerowej książki *Bojowa pieśń tygryscy*, opublikowanej w 2011?

Nie sądzę, by był to ten sam model. Model Amy Chua oparty jest na chińskiej filozofii, a przede wszystkim na dewizie: „Jeśli nie znasz trudnych czasów, nie będziesz w stanie docenić tych szczęśliwych”. Mój syn przybył ze mną do Wielkiej Brytanii gdy miał jedenaście lat. Moje dzieciństwo było trudne, nie spędzałam w ogóle czasu z moimi rodzicami. Pracowali bardzo ciężko i inne sprawy były dla nich ważniejsze niż rodzina, a trzeba pamiętać, że wychowywałam się tuż przed Rewolucją Kulturalną i w trakcie jej. Podczas rozmów z ludźmi, o których pisałam w książkach, dotarło do mnie, jak wiele osób praktycznie nie znało swoich rodziców, nie doświadczyło życia rodzinnego. Nie dlatego, że Chińczycy nie cenią rodzinnego życia, ale dlatego, że w ciągu ostatnich kilku dekad zgubiliśmy gdzieś ten koncept. Niedawno nawet napisałam artykuł dla BBC o tym, jak bardzo lubię życie tu w Anglii, właśnie m.in. przez szacunek i szczerze zainteresowanie drugim człowiekiem, jakie tu obserwuję, tak wyraźne w porównaniu z Chinami.

Fakt, że Chińczycy mają kogoś takiego jak Bojowa Tygryśka, jest kwestią kultury. Chiny przeszły tak wiele – wiele wojen, skrajne zmiany sytuacji politycznej. Lata zamknięcia spowodowały, że ludzie nie znali innego świata, nie posiadali wiedzy o innych modelach życia. Żaden ruch polityczny ani żadna partia nie mogą jednak zmienić kultury, jakkolwiek by chciały. Kultura jest zakorzeniona w pokoleniach. Teraz jest czas na ważne zmiany.

Amy Chua urodziła się w USA, wychowywana była przez chińskich rodziców, przybyłych do Stanów Zjednoczonych z Chin, którzy najprawdopodobniej wierzyli, że surowe wychowanie zapewni jej dobre życie. Chua powtórzyła ten model w dobrej wierze. Jej obie córki, w porównaniu z większością zachodnich nastolatków, osiągnęły bardzo wiele. Świadomość, że ich dzieci osiągnęły sukces, jest niezmiernie ważna dla chińskich rodziców.

Moje życie różniło się od życia Amy Chua, gdyż ja nigdy nie miałam okazji, by spędzać czas z moją mamą. Podobne doświadczenia widzę często w oczach i na twarzach ludzi z mojego pokolenia – ten ból wynikający z trudnych więzów rodzinnych.

Jin Shuai, jedna z dziewcząt, których historie zawarte są w książce *Dobre kobiety z Chin*, powiedziała: „Dobre chińskie kobiety są przyzwyczajone zachowywać się w łagodny sposób i przenosić to zachowanie do łóżka”. Green Mary z *Message from an Unknown Chinese Mother* zaś rzekła: „Chińskie kobiety są najmniej samolubne ze wszystkich na świecie. Zrobią wszystko dla swych mężów i dzieci, przecierpią każdy ból, przeleją własną krew i łzy, by się nimi opiekować!”. Czy to się zmieniło w ostatnich latach? Co to znaczy być dobrą Chin-ką w XXI wieku?

To jest bardzo dobre pytanie. Właśnie skończyłam pisać moją nową książkę, o kobietach z pierwszego pokolenia polityki jednego dziecka. Wszystkie te kobiety mają dziś po 30-32 lata. Prowadząc badania do książek i rozmawiając z kobietami na przestrzeni ostatnich dziesięciu lat, zdawało mi się, że je znam. A jednak zbierając materiały o kobietach z całych Chin, by zrozumieć, czemu zachowują się w pewien sposób i czemu uważają, że są tak inne od swoich matek, przeżyłam szok. Przepaść między pokoleniami jest olbrzymia, to mnie najbardziej zaskoczyło. W Chinach panują wielkie różnice między osobami, między którymi odstęp wiekowy wynosi zaledwie 2-3 lata. Kobieta dwudziestoosmioletnia ma kompletnie inną mentalność od trzydziestodwulatki. Tylko kilka lat robi niewiarygodną różnicę. Jednym z powodów tego są błyskawicznie zachodzące zmiany w Chinach. To odnosi się do podejścia do seksualności i spraw damsko-męskich, zainteresowania zachodnią kulturą i jedzeniem, celebrytami, gadzetaми elektronicznymi i wieloma innymi rzeczami. Postęp gospodarczy w Chinach bardzo zmienia kraj i sposób,



Old Woman
Fot. Izzet Keribar 

w jaki ludzie myślą. Rozmawiałam dziś rano z mamą, a ona powiedziała mi: „Dawniej, gdy chciałam porozmawiać z siostrą, mój list do niej szedł trzy miesiące. Dziś jest to kwestia jednej wysłanej wiadomości, jednego telefonu; mogę z nią porozmawiać natychmiast przez Skype”. Życie przyspieszyło, ale nie wszyscy sobie z tym dobrze radzą. Nikt nie przygotował starszego pokolenia na zmiany. Rozmawiałam z jedną dziewczyną, o której piszę w najnowszej książce, która miała problem z komunikacją ze swoją babcią. Nie ma między nimi ciepła, widują się rzadko. Dziewczyna narzekała, że babcia nigdy do niej nie dzwoni, że zawsze to ona musi pierwsza nawiązywać kontakt. Narzekała, że babcia ma telefon komórkowy, mogłaby choć wysłać wiadomość. Ta babcia przyznała mi się, że nie potrafi korzystać z telefonu komórkowego, że nikt jej nie wytłumaczył, jak to się robi. Wielu Chińczyków jest tak zabieganych, że nie ma czasu, by usiąść wspólnie przy stole i próbować rozwiązać problemy komunikacyjne.

Znam chińską studentkę w Santa Fe, kiedyś zadzwoniła do mnie i powiedziała, że kupiła mi siedemnaście książek. Spotkałam się z nią, a ona miała małą torebkę. Pytam ją: „Gdzie te książki?”, a ona wyjmuję Kindle’a i mówi: „Mam tu tysiąc książek, które chcesz?”. Przepaść między nami jest tak duża, młodsze pokolenie nie może zrozumieć naszego punktu widzenia, a nam trudno jest zrozumieć ich.

A wracając do twojego pytania – nie sądzę, by ktokolwiek mógł udzielić na nie dobrej odpowiedzi. Wciąż zbyt mało wiadomo, za mało się wnika w te kwestie. Chiny są ciągle w procesie transformacji. To, co inne kraje osiągały w sto lat, my osiągnęliśmy w dziesięć, ale nie potrafimy oszacować całego wpływu tych kolosalnych przemian na społeczeństwo.

Jak bardzo różnią się młodzi ludzie ze wschodniej części Chin, zdecydowanie bardziej rozwiniętej, od ludzi żyjących na zachodzie kraju?

Różnice są ogromne. Ludzie w dużych miastach są dłużej niezależni. Rozmawiałam z dziewczyną, trzydziesto-dwuletnią, mieszkającą w dużym mieście, która jeszcze nie chce wychodzić za mąż. Mówi, że czeka na właściwego mężczyznę. Nie ma dla niej znaczenia, jak mówi, czy będzie rozwiedziony i ile będzie miał lat – najważniejsze dla niej jest to, by był dla niej odpowiedni. Wierzy, że znajdzie kogoś takiego. Taka postawa jest na wsiach nie do pomyślenia. Ta dziewczyna wykonuje, jak mówi, pracę charytatywną. Z okazji chińskiego Nowego Roku każdy odwiedza swoją rodzinę. Ona odgrywa rolę dziewczyn swoich kolegów, którzy faktycznie nie mają partnerek. Rodzina musi bowiem pokazać sąsiadom, że ich syn, będący już w wieku, w którym należałoby się żenić, jest „normalny”, tzn. nie jest gejem. Syn chce pokazać swoim rodzicom, że nie mają się czym martwić. Ta dziewczyna mówiła mi, że nawet gdy rodzina widzi, że wszystko jest ukartowane, robi dobrą minę do złej gry i dla zachowania pozorów traktuje ją jak członka rodziny.

Ludzie w rozwiniętych miastach i na prowincji prowadzą kompletnie inny styl życia, mają odmienne priorytety, inne wartości. Zebrałam mnóstwo fascynujących historii do mojej książki. Mój wydawca kazał mi w pewnym momencie przestać pisać, bo nie mogłam się opanować, by nie dodać jeszcze jednej opowieści, i jeszcze jednej. To młode pokolenie jest tak ciekawe i tak bardzo różnorodne...

Jin Shuai, którą wspomniałam wcześniej, powiedziała też, że okazywanie miłości i czułości jest poniżej godności chińskiego mężczyzny. Mieszkając w Londynie widzę na co dzień dziesiątki chińskich studentów i obserwuję, że są wobec siebie publicznie bardzo czuli – chłopcy poprawiają dziewczynom szaliki, noszą za nie zakupy, trzymają za ręce, obejmują, całują, głaszczą... Czy to się tak bardzo zmieniło?

O tak! To samo można zaobserwować wśród młodych ludzi w Szanghaju czy Pekinie. Mnóstwo jest młodych par otwarcie bardzo czułych wobec siebie. Ale wystarczy wyjechać na wieś i człowiek ma poczucie, jakby znalazł się



Red caps at Tiananmen
Fot. Izzet Keribar

w innej epoce. Ma się wrażenie, jakby się cofnęło w czasie o 200-300 lat. Dlatego wciąż mówię, że w Chinach można zaobserwować całą historię tego kraju, od wschodu na zachód. Jeśli podróżujesz wzdłuż rzeki Jangcy to jest tak, jakbyś podróżowała przez tysiąc lat chińskiej historii. To naprawdę fascynujące doświadczenie. W czasach dzisiejszych wciąż niewielu Chińczyków podróżuje po własnym kraju i wielu z nich naprawdę nie ma pojęcia, jak żyją ludzie w rejonach Chin oddalonych od ich rodzinnych stron. Jedną z moich młodych przyjaciółek, studentka, właśnie wróciła z Chin. Pochodzi z Kantonu, trzeciego co do wielkości miasta w Chinach. Mówiła mi, że wybrała się na wycieczkę na wieś trzy godziny od miasta. Była w szoku. Opowiadała mi, że tam ludzie nie mają nic: nie mają telefonów komórkowych, wystarczająco jedzenia, porządnych ubrań. Uważała zawsze, jak wiele młodych ludzi w Chinach, że ja wymyślam moje historie. Teraz wyznała mi: „Widziałam to na własne oczy”. A ja jej odparłam: „A wiesz, jak wiele osób w Chinach żyje w ten sposób?”



 *Mao Memorabilia*
Fot. Izzet Keribar

Ostatnim razem, gdy byłam w Chinach, usłyszałam opowieść, którą wykorzystałam w mojej najnowszej książce. Rozmawiałam z dziewczyną, którą ojciec porzucił i wysłał na wieś do babci. Były bardzo biedne, jak wielu wieśniaków nie miały prawdziwej toalety, tylko dziurę w ziemi. Musiały obie ciężko pracować w polu, także moja rozmówczyni jako mała dziewczynka. Opowiadała, że było jej tak ciężko, że czasem uciekała z pola i zamykała się w tej toalecie, gdzie obserwowała robaki wspinające się po ścianie i wiecznie upadające z powrotem na ziemię. Było jej ich żal. Za każdym razem, jak odrabiała pracę domową, myślała o tych robakach i przyrzekała sobie, że nie będzie jak one. I uczyła się ze zdwojoną energią. To bardzo silne wspomnienie i dało mi do myślenia, jak wiele kobiet w Chinach jest niczym te małe robaki – usiłują osiągnąć coś, a wciąż upadają. Niektóre osiągają w końcu sukces, ale tak wiele z nich jest ograniczonych przez kulturę, z jakiej się wywodzą, społeczeństwo, własne rodziny.

Czy pracując w Chińskim Radiu kiedykolwiek bała się Pani, że Pani program zostanie zdjęty z anteny, jeśli

przekroczy Pani pewne granice, co zdarzało się dość często, i zarówno Pani jak i Pani syn będą w niebezpieczeństwie?

Tak, bez wątplenia. Kiedy zaczęłam pracę wszystkie audycje musiały być nagrywane zanim zostaną puszczane na antenie i sprawdzone przez Biuro Bezpieczeństwa Narodowego. To ja pierwsza wprowadziłam program radiowy, w którym ludzie dzwoniли i opowiadali o różnych sprawach na antenie na żywo. Wielokrotnie mówiono mi, bym nie przekraczała granicy, a ja pytałam: „Ale jakiej granicy? O czym wy mówicie?”. Nikt nie mógł mi udzielić odpowiedzi na moje pytanie, tylko powtarzano, że mam mieć się na baczności. Ale nikt nie wyjaśnił, o jaką granicę chodzi. W Chinach niemożliwe jest dowiedzenie się, co jest dozwolone, a co nie. Są niepisane zasady, ale nikt ich nie zna. Generalnie ryzykowne jest kwestionowanie polityki rządu i systemu sprawiedliwości. Tak wiele jednak polega na wyczuciu. Nie mamy niezależnego systemu sprawiedliwości i to jest wielki problem. Mówiono mi, że muszę kontrolować, co mówią moi rozmówcy, dzwoniący do radia. Argumentowałam, że jeśli wywiera się nacisk na ludziach i mówi im, czego nie mogą powiedzieć, tylko zwraca się w ten sposób uwagę na kontrowersyjne kwestie. Np. kiedy opowiadałam o homoseksualizmie wykorzystywałam swoją wiedzę. Mówiłam o historii homoseksualizmu na Zachodzie i w Chinach i przekonywałam, że to nie jest jakieś współczesne zjawisko, którego w naszym narodzie nigdy nie było. Że homoseksualizm znany jest na świecie od tysięcy lat. Mimo to ukarano mnie.

Pracowałam w Chinach przez dwadzieścia lat, a nigdy nie zapisałam się do Partii Komunistycznej. Chciało mnie w niej widzieć i proszono, bym się przyłączyła wiele razy, ale zawsze odpowiadałam, że nie mam wystarczających kwalifikacji. I dodawałam, że chiński system nie jest komunistyczny, że jest imperialistyczny, że nie ma wolności, ludzie nie są równi.

Mówiła im to Pani wprost?

Jasne, dobrze mnie znano! Byłam znana z porywczego temperamentu. Zawsze wyklócałam się z urzędnikami: „Mówicie mi ciągle, bym nie przekraczała granic, bym trzymała się prawa, ale pokażcie mi, według jakich zasad mam pracować”. Nie byli w stanie tego zrobić. Mówiłam: „Daliście mi ten zawód, kazaliście pracować dla chińskiego narodu, a teraz mówicie, że nie wolno mi właściwie wykonywać mojej pracy”. Dla mnie ich żądania nie miały sensu. Urzędników z kolei szokowało, że podważałam ich zdanie, ale musiałam to robić! Zawsze mówiłam mojemu synowi i moim studentom, by zdobywali wiedzę z ulicy, z codziennego życia, z rozmów z innymi, a nie tylko z chińskich mediów i podręczników. To życie nauczy ich jak myśleć, nie podręczniki.

Czy kwestionowała Pani też chińskie szkolnictwo?

Zdecydowanie. W Chinach są trzy rzeczy, z którymi miałam zawsze problem: system prawny, edukacja i wolność słowa. Muszę jednak przyznać, że w porównaniu z systemami szkolnictwa z wielu innych krajów chińscy uczniowie uczą się bardzo wiele o sprawach międzynarodowych i mają o wiele szerszą perspektywę. O wiele szerszą niż ich zachodni rówieśnicy, którzy poznają głównie zachodnią historię, literaturę, sztukę, osiągnięcia nauki i kulturę. Chińskie podręczniki, aczkolwiek bardzo ograniczone jeśli chodzi o dwudziestowieczną historię naszego kraju, mówią wiele o kulturach innych krajów. Myślę, że to wynika z umysłu obywatela dużego kraju, gdyż chiński krajobraz, geografia są wielkie. Nie jest możliwe zrozumienie, poznanie kraju tak dużego jak Chiny. Chińskie dzieci już gdy są małe uczą się, że ludzie żyjący w jednym kraju mogą być bardzo różni, że ludzie z gór są inni od tych z południa. Małe kraje nie są tak kompleksowe.

Czy dziennikarze w Chinach wciąż są nazywani „królami bez koron” (co oznacza, że mają wolny wstęp do niemal każdej organizacji w kraju), jak wspomniała Pani w jednej ze swych książek? Co z zagranicznymi dziennikarzami? Jaka jest między nimi różnica, gdy chodzi o zdobywanie ciekawej historii?

Tak, nadal jest tak jak pisałam. Zagraniczni dziennikarze traktowani są w Chinach tak samo jak chińscy. Nie mają innych praw. Czasem jedynie wolno im więcej i bywa że zagraniczni dziennikarze traktowani są lepiej niż zagraniczni politycy.

We wstępie do *China Witness* pisze Pani: „Chińczykom nie jest łatwo szczerze mówić o tym, co naprawdę myślą i czują”. Dlaczego, Pani zdaniem, tak jest? Czy zmieniło się to odkąd zaczęła Pani pracę jako dziennikarka w latach 80.?

Jest ogromna różnica między tam, jak było wtedy i teraz. Ludzie stali się odważniejsi, rząd się zmienił i można mówić bardziej otwarcie na ulicy czy w gronie rodziny, co się myśli. Przeszto się tak obawiać donosicieli. Ludzie kwestionują rząd i mają większy wpływ na innych niż kiedyś. Niemniej jednak różnice są głównie pokoleniowe. Starsze pokolenie, np. mojej mamy, wciąż nie jest otwarte, wciąż bardzo przejmują się tym, co inni powiedzą i pomyślą. Pochodzą z przeszłości i wciąż żyją w jej cieniu. Moje pokolenie jest bardziej otwarte, a młodsze – jeszcze bardziej. Choć problemem młodego pokolenia jest z kolei brak wiedzy na temat Chin i chińskiej historii. Młodzi ludzie nie doświadczali jej sami, nie poznają jej w szkołach (przynajmniej jeśli chodzi o XX wiek), a ich dziadkowie i rodzice nie rozmawiają z nimi o tym. Właściwie ci młodzi nawet nie wiedzą, czego nie wiedzą. Jeśli nigdy nie używasz do jedzenia pałeczek, jeśli nie wiesz, że niektórzy używają pałeczek, nie możesz nagle zachcieć, by posiadać wiedzę odnośnie ich używania. To odnosi się do historii. Jeśli nie masz pojęcia, że coś takiego jak Rewolucja Kultu-

ralna miało miejsce, nie wiesz nawet, co powinnaś na jej temat wiedzieć.

Media społeczne mają w Chinach wielki wpływ na wymianę myśli wśród młodych Chińczyków, zwłaszcza chińska wersja Facebooka, która nazywa się Renren. Opowiadają się za wolnością słowa, co w Chinach wciąż ryzykowane, bo na tych serwisach trzeba się zarejestrować pod prawdziwym imieniem i nazwiskach i podać dane swojego dowodu tożsamości.

A czy łatwiej jest Chińczykom wypowiadać się otwarcie poza granicami Chin?

Na pewno, dystans dodaje ludziom odwagi i sprawia też, że pewne rzeczy widzi się wyraźniej. Z mojego doświadczenia wiem, że nawet w obrębie Chin, gdy ludzie podróżują i wyjeżdżają poza swoje rodzinne strony, wypowiadają się z większą szczerością i otwartością. Dość często do moich rozmów do książek zapraszałam rozmówców do Szanghaju czy Pekinu. Już po krótkim czasie otwierali się i mogłam lepiej dostrzec ich uczucia. Dystans od domu zdejmował z ich twarzy maski.

Wiele starszych osób, z którymi rozmawiała Pani, mówiło, że nie opowiadają o swojej przeszłości, bo młodzi ludzie nie są zainteresowani słuchaniem historii starszych pokoleń. Jakie jest Pani zdanie na ten temat?

Tak, to dość powszechny pogląd. Teraz, w ciągu ostatnich pięciu lat, nieco się to zmieniło. Starsi ludzie umierają i młodzi dostrzegają, że to ostatnia szansa, by poznać historie sprzed kilkudziesięciu lat, bo niedługo nie będzie świadków tamtych czasów, np. sprzed objęcia rządów przez Mao. Ale kiedy zaczęłam nagrywać opowieści starszych ludzi, każdy z nich dziwił się: „Jesteś szalona!”.

Szalona, ponieważ sądzono, że nikogo te opowieści nie zainteresują? Nikt nie będzie chciał czytać o doświadczeniach starszych osób?

Właśnie. Potem rozmówcy pytali: „Po co to jest? Kto to będzie czytał?” Dziś Chińczycy zaczęli interesować się osobistymi historiami swoich rodaków, ich życiem. Zauważyli, że nigdy nie dbali szczególnie o historię, nie myśleli o niej. Nawet mój wydawca w Chinach przyznał mi się, że nigdy nie słyszał o mnóstwie rzeczy, o których pisałam. Ludzie pytali mnie, czy to wszystko prawda, co pisałam np. o chińskich obozach pracy, np. w Shihezi. Odpowiadałam im: „Oczywiście, pół miliona ludzi tam żyło, jak mogłabym to wymyślić?” Ale przez wiele lat to ludzi nie obchodziło, nauczono ich, by się tym nie interesowali i nie pytali o trudne kwestie. Obecnie obserwuje się wzmożone zainteresowanie historiami, o których mało kto słyszał i coraz więcej dziennikarzy zajmuje się odkrywaniem ludzkich losów, które pozostawały przez lata tajemnicą.

Czytelnik może się bardzo wiele dowiedzieć z Pani książek o różnych chińskich wierzeniach i przesądach. Np. w *China Witness* jeden z Pani rozmówców, Lin Xiangbei, opowiada, jak jego dwuletnia córeczka zmarła na zapalenie płuc po tym, jak kazano jej jeść ziemię – wieśniacy w jego rodzinnych stronach wierzyli, że jedzenie ziemi z grobu dobrego obywatela może wyleczyć choroby i kazali jej jeść ziemię z grobu stolarza, który był za życia podziwiany. Jakie wierzenia zaskoczyły Panią osobiście? Czy wymierają one obecnie wraz ze starszym pokoleniem czy dawne tradycje wciąż są praktykowane?

Wiele wierzeń mnie szokowało. Nawet w najuboższych rejonach lokalne zwyczaje i wierzenia różnią się z region na region. Wiele ziem nigdy nie zostało ucywilizowanych i zastanawiałam się, jak te tradycje przetrwały. My Chińczycy mamy zwyczaj utożsamiać określenie „kultura” z edukacją i poziomem cywilizacji, a nie rozumieć kulturę jako zestaw wierzeń i tradycji. Dla nas kultura równa się cywilizacji. O niewykształconej osobie mówi się w Chinach, że jest niekulturalna. Ale jest coś niewłaściwego w tak jednostronnym postrzeganiu kultury. Analfabeci i biedacy wciąż jednak przynależą do pewnej kultury, która pozwoliła im przetrwać trudności, mają swoją medycynę i swoje obrzędy. Teraz zaczyna się wierzyć, że każdy przynależy do jakiejś kultury. Usiłuje się wreszcie darzyć szacunkiem różne kultury w obrębie Chin i przestaje mieszać kulturę z cywilizacją.

Pięć lat temu martwiłam się, że ludzie przyjeżdżający do dużych miast zapominają o swoich tradycjach i stają się zuniformizowani. Jeszcze niedawno wszyscy chcieli wyglądać tak samo na ulicy. Ale zauważyłam, że to się zmienia, że ludziom zależy teraz na zachowaniu swojej odrębności kulturowej. Weźmy np. Xian. To miasto rozwijało się tak jak każde inne nowoczesne miasto chińskie. Zaczęło w pewnym momencie tracić swój charakter. Obecny nacisk na zachowanie odrębnych kultur wiąże się też do pewnego stopnia z poprawą polityki odnośnie kultur mniejszościowych w Chinach. Dawniej ludzie pochodzący z mniejszości byli traktowani bardzo źle, ale ostatnio zaczęło się to troszkę poprawiać, ludzie odważnie domagają się równych praw i mają swój głos.

Czy rodzice opowiadali Pani bajki albo prawdziwe historie, gdy była Pani mała?

Pamiętam wiele opowieści z dzieciństwa. Mimo że nie spędzałam wiele czasu z rodzicami, miałam szczęście przebywać dużo z babcią, która kierowała moje zainteresowania w stronę przyrody, nauki, nauczyła zwracać uwagę na zmiany sezonów. Nie opowiadała mi tak dużo o ludziach, ile właśnie o przyrodzie. Moja rodzina wiele ucierpiała w czasie Rewolucji Kulturalnej, przeżyliśmy ciężkie sześć i pół roku. Później, kiedy zaczęłam pracować jako dziennikarka, moje doświadczenia pomogły mi właściwie oceniać ludzkie emocje i odczytywać ich zachowa-



 *Almost a portrait*
Fot. Izzet Keribar

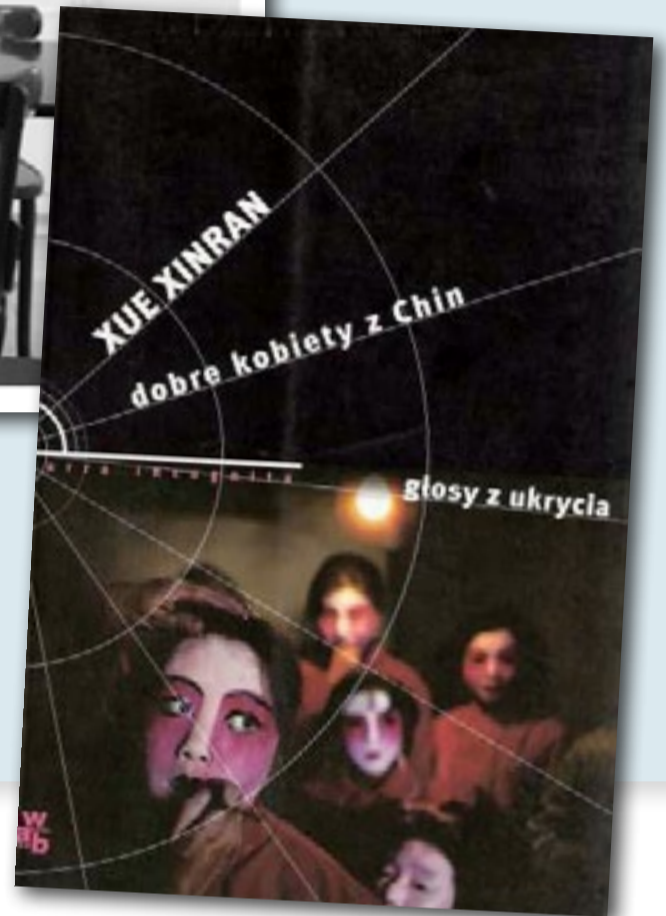
nie. O wiele lepiej rozumiałam ludzkie uczucia niż koledzy z redakcji i czasem jak przychodził list (a przychodziły ich dziesiątki dziennie), koledzy mówili: „Xinran, to do ciebie, ty będziesz wiedziała, o co chodzi”. Pamiętam historię dziewczyny, którą opisałam w *Dobrych kobietach z Chin*, która pisała mi o swym lęku i doświadczeniach związanych z wykorzystywaniem seksualnym. Kiedy czytałam jej słowa: „Tak bardzo boję się, gdy słyszę odgłos kroków na schodach”, wiedziałam, co ma na myśli. Koledzy dziwili się: „Czego tu się bać?” Brakowało im tej empatii, ale ja dobrze wiedziałam, o co chodziło tej dziewczynie.

Które opowieści z usłyszanych wywołały u Pani największy ból? Na mnie największe wrażenie zrobiły historia kobiet opisana w *Kobietach ze Wzgórza Wołania* w książce *Dobre kobiety z Chin* oraz książka *Sky Burial o Chince*, która szukała przez kilkadziesiąt lat swego męża w Tybecie, nie wiedząc gdzie i kiedy zniknął i co się z nim stało.

Wszystkie historie wpłynęły na mnie niesamowicie, tak myślę. Dlatego też nie mogę pisać o swojej przeszłości, to boli zbyt mocno. Jestem ukształtowana przez te historie. Myślę o wielu z nich bardzo często, wracają do mnie

XINRAN

(wł. Xuē Xīnrán, ur. 1958) – chińska pisarka i dziennikarka. W latach 80. i 90. pracowała dla Chińskiego Radia i była jedną z najbardziej znanych chińskich dziennikarek. Od 1997 mieszka w Londynie, gdzie początkowo pracowała jako sprzątaczką, zanim zajęła się pisaniem. Jest autorką sześciu książek: *Dobre kobiety z Chin*, *Sky Burial*, *What the Chinese Don't Eat*, *Miss Chopsticks*, *China Witness: Voices from a Silent Generation* i *Message from an Unknown Chinese Mother*. W 2004 założyła fundację The Mothers' Bridge of Love (MBL), która przybliża kulturę chińską dzieciom z Chin adoptowanym przez rodziców z krajów zachodnich. Często wypowiada się w mediach na tematy związane z porozumieniem między Chinami a Zachodem.
www.mothersbridge.org



w najbardziej nieoczekiwanych momentach. Idę ulicą, spoglądam na obcą osobę i nagle któraś z historii, któraś z poznanych osób wraca do mnie. Wszystkie one dotknęły mnie tak mocno, że nie mogę już się od nich uwolnić.

Na zakończenie chciałabym spytać Panią o najpowszechniejszy stereotyp dotyczący Chin, z którym zetknęła się Pani w krajach zachodnich. Jaki on jest?

Najmniej zrozumiały dla ludzi Zachodu jest chiński styl życia. Europejczycy często się śmieją, że Chińczycy jedzą wszystko. Znane jest nawet przeciwieństwo: „Chińczycy jedzą wszystko, co ma cztery nogi za wyjątkiem stołów, i wszystko co lata za wyjątkiem samolotów”. Tymczasem ludzie na Zachodzie też mieli zwyczaj jedzenia większej liczby zwierząt, gdy panowała tu większa bieda, a czasem i teraz jedzą zwierzęta, których Chińczycy nie jadają. Zresztą uważam za kwestię kulturową, jakie zwierzęta postrzegamy za odpowiednie do jedzenia. Nie jestem wegetarianką, ale nie mogę np. jeść ryb – jest mi zawsze strasznie żal, gdy widzę, jak łapią powietrze i myślę: one też mają prawo żyć.

Czasem myślę, jak bardzo nasze wykształcenie niszczy zrozumienie i współczucie względem innym. Przestajemy dostrzegać uniwersalne doświadczenia i emocje...

Mam wrażenie, że wielu osobom zdarza się przeczytać jedną, dwie książki o Chinach i nabrać przekonania,


że wiedzą wszystko o tym kraju, nie dostrzegając, że to, co przeczytali, to tylko mały wycinek bardzo bogatego i kompleksowego obrazu. Sporo wydaje się książek w Polsce o Azji, napisanych przez osoby, które podróżowały po różnych krajach Azji, ale żadnego nie znają dobrze. Sporo w nich stereotypów i ślizgania się po powierzchni.

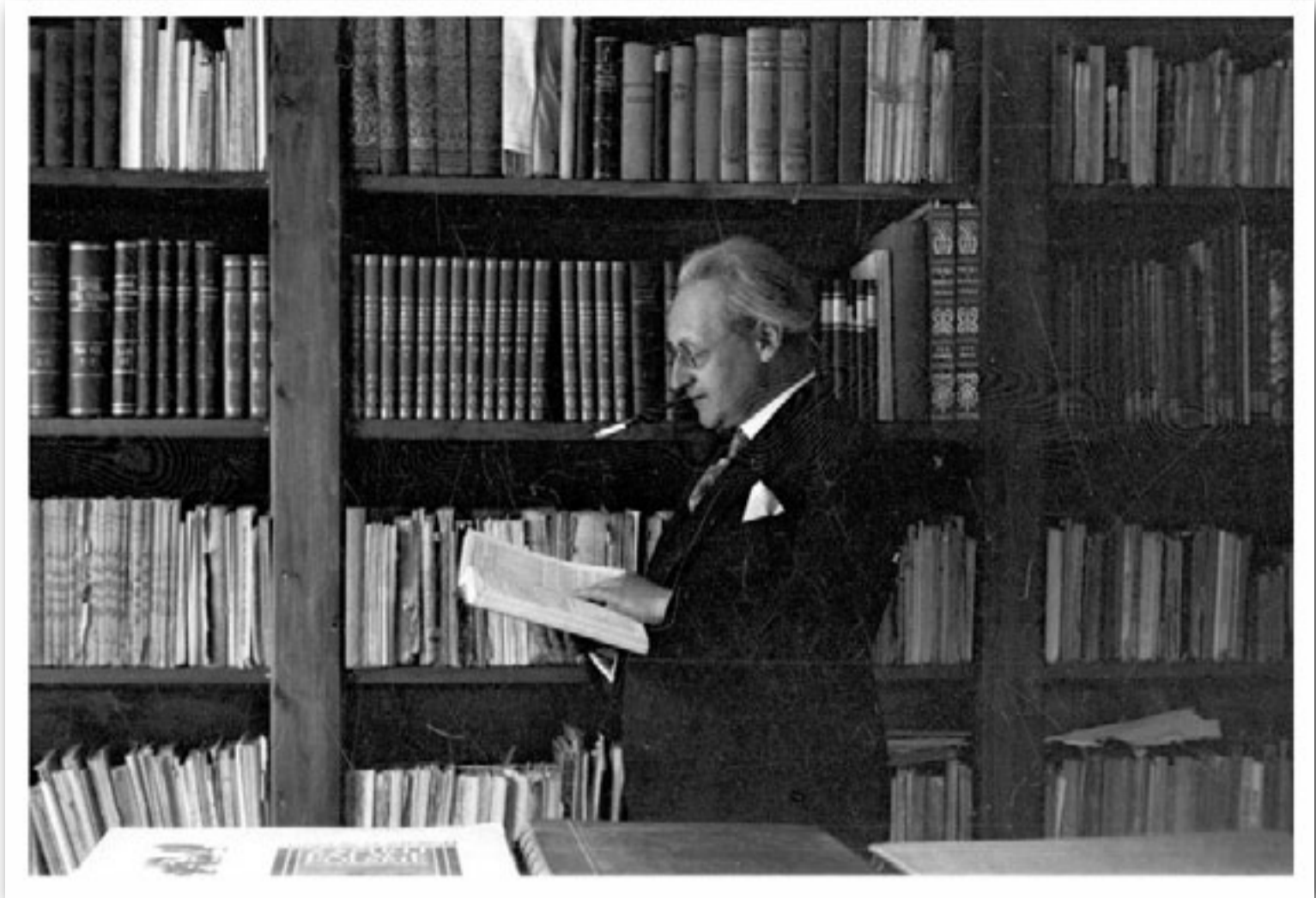
Tak, masz absolutną rację. Tak samo jest z chińskimi podróżnikami/turystami. Niektórzy spędzają osiem dni w Wielkiej Brytanii i piszą o tym kraju książkę! Mnóstwo jest chińskich wycieczek typu „Europa w trzy tygodnie”. A potem pojawiają się książki o europejskiej kulturze, pisane przez osoby, których znajomość Europy opiera się przede wszystkim na uczestnictwie w takiej wycieczce. Nie mogę uwierzyć, jak wielką ignorancją odznaczają się ci ludzie i jak nie mają wstydu, by pisać o czymś, o czym nie mają pojęcia.

A wracając do Chin, chciałabym jeszcze na koniec powiedzieć: zbyt wiele osób ocenia Chiny zanim choć trochę je zrozumie.

Dziękuję bardzo za rozmowę.

Autorem fotografii jest turecki fotograf *Izzet Keribar*, www.keribar.com. Fotografie autorki: **Kamila Kunda**.

 *Emil Zegadłowicz (1888-1941) w swoim mieszkaniu w Gorzeniu Górnym, województwo krakowskie*
Fot. Wikimedia Commons



A CO Z TĄ POLSKĄ KSIĄŻKĄ?!

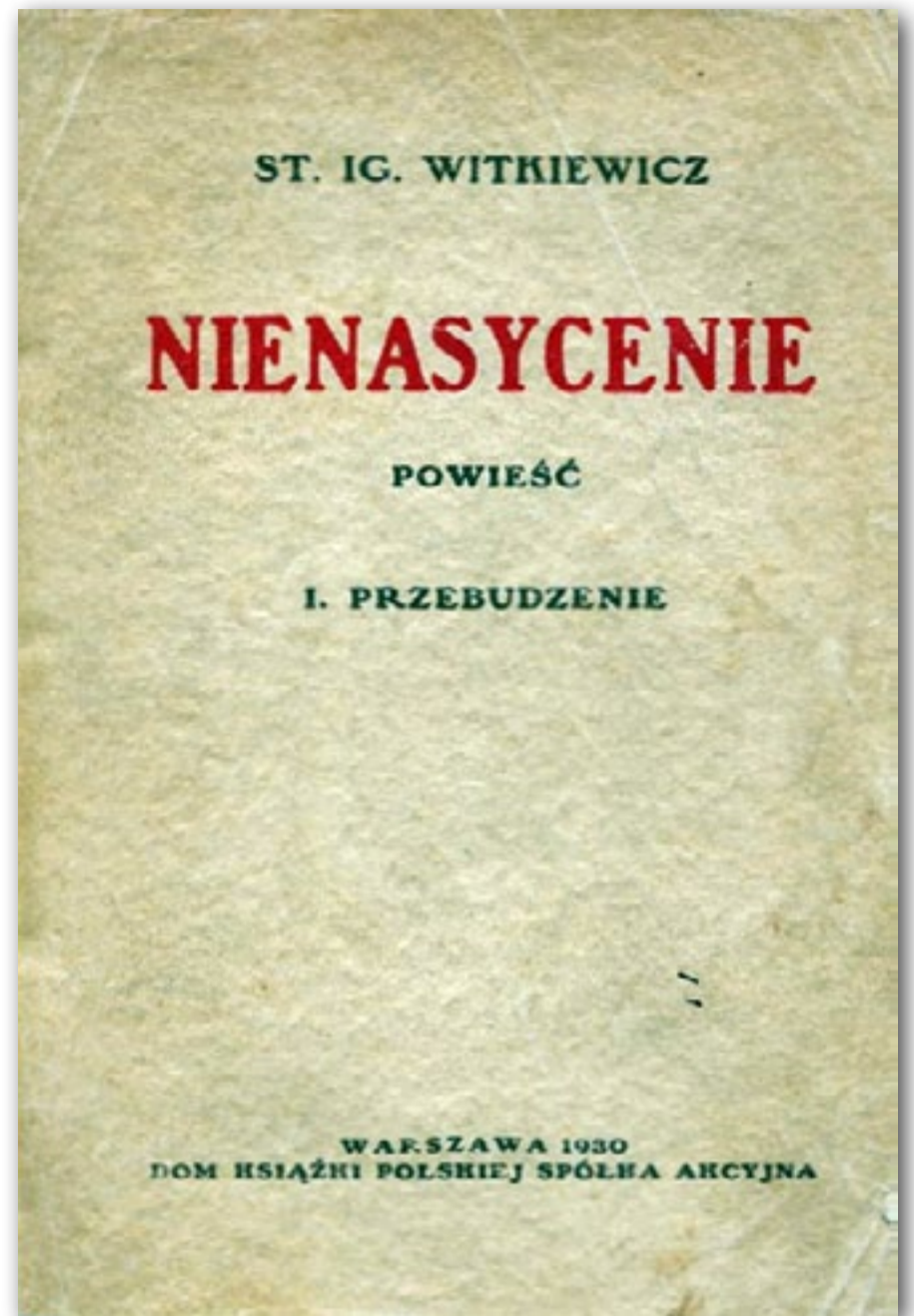
Jako wielbicielkę książek cieszy mnie wzrastająca liczba akcji propagujących czytelnictwo. Każda, nawet najmniejsza zachęta do sięgnięcia po lekturę jest powodem radości, bo oznacza, że wbrew pesymistycznym prognozom czytanie staje się formą rozrywki zarezerwowaną dla wybrańców. Co jednak podoba mi się już zdecydowanie mniej, to fakt, że promocja czytelnictwa w większości przypadków dotyczy literatury zagranicznej, a literatura polska traktowana jest po macoszemu. Nie chcę umniejszać roli literatury powszechnej, jej wpływu na polskich twórców ani jej walorów, bo te są niewątpliwe, ale moim pragnieniem jest, by polscy czytelnicy częściej, ale też bardziej świadomie wybierali pozycje rodzimych autorów.

.....

Anna Małgorzata Kurska

Niechęć do literatury polskiej widoczna jest już w dyskusjach dotyczących list lektur szkolnych. Główny zarzut dotyczy niewielkiej liczby tytułów literatury powszechnej, która rzekomo góruje nad literaturą polską tym, że jest ciekawsza i sprawniej napisana. Zgadza się, że liczba zagranicznych pisarzy, których czyta się w szkołach, jest mała, ale należy pamiętać o ograniczeniach wynikających z liczby godzin języka polskiego oraz o tym, że jest to właśnie język polski, na którym powinno się przede wszystkim poznawać twórczość naszych rodzimych pisarzy (poetów, z racji ograniczonej objętości tekstu, pomijam). Faktem jest jednak, że proponowane uczniom książki zamiast zachęcać do dalszych poszukiwań, zniechęcają ich do lektury. A przecież literatura polska ma się czym pochwalić. *Lalka* Bolesława Prusa, która odstrasza wielu swą objętością, jest niedocenionym odpowiednikiem naturalistycznych powieści Zoli. *Dzieje grzechu* Żeromskiego powinny zaciekawić wielbicieli intryg, erotyki i literatury na wysokim poziomie. Wiercie mi lub nie, ale ten pisarz to nie tylko wałkowany bez końca *Ludzie bezdomni*. Dwudziestolecie międzywojenne obfituje w pozycje, które powinny cieszyć się sympatią czytelników. Wszyscy słyszeli o Witkacym, ale ilu z nas czytało coś więcej niż *Szewców* lub *W małym dworku*? Warto sięgnąć także po jego powieści, nie bać się *Pożegnania jesieni* lub *Nienasycenia*. To lektury dla wytrwałych, ale warte poświęconego im czasu. Iwaszkiewicz i jego opowiadania oraz powieści to prawdziwa uczta dla czytelnika. Książek sprzed II wojny, po które warto sięgnąć, jest wiele. Niech nie ocenia pochopnie literatury polskiej ten, kto nie czytał *Zmór* Emila Zegadłowicza. Jestem przekonana, że duża część zacznie pytać, o co w ogóle chodzi. Niektórzy, być może, zaczną szukać w internecie (bo przecież nie w czytelnich i bibliotekach) informacji, kim ów Zegadłowicz był. Liczę, że zainteresowani ulegną jego osobie i sięgną po dzieło nad dziełami naszej literatury, po jedną z najbardziej magicznych powieści, jakie czytałam, po książkę, która ambitnego czytelnika jest w stanie doprowadzić do literackiej ekstazy.

A jest przecież jeszcze literatura wojenna i powojenna, tzw. współczesna i najnowsza i na tym polu również nie mamy się czego wstydzić. Włodzimierz Odojewski, Andrzej Kuśniewicz, Stanisław Dygat czy Tadeusz Konwicki to tylko niektóre z nazwisk, po które warto sięgnąć. Jerzy Krzysztoń i jego *Obłąd* to pozycja niemal obowiązkowa. Sądzę, że nie muszę namawiać do czytania powieści Wiesława Myśliwskiego, bo na szczęście pod urokiem jego prozy znajduje się wielu. Ale niech żałuje ten, kto nie czytał *Niskich łąk* Piotra Siemiona. Miłośnicy literackich eksperymentów nie powinni pomijać Magdaleny Tulli i przeczytać jej *Sny i kamienie*; Masłowskiej, mam nadzieję, nie muszę reklamować. Młode pokolenie polskich pisarzy również ma wiele do zaoferowania. Tu na szczęście jest trochę lepiej, jeśli chodzi



👉 Wydanie *Nienasycenia* Stanisława Ignacego Witkiewicza z 1930 roku.

o promocję, i takie nazwiska jak Kuczok, Dehnel, Łoziński nie wymagają przypomnienia. Z mniej znanych warto sięgnąć choćby po Radosława Kobierskiego. Chciałabym wspomnieć także Tokarczuk, Pilcha, Huellego, Liberę oraz wielu innych, dla których zabrakło mi miejsca. Chcąc bowiem wymienić wszystkich wartych uwagi polskich pisarzy, tekst ten powinienem zamienić w listę nazwisk. Co nie jest tak do końca szalonym pomysłem, bo w widoczny sposób mogłoby uzmysłowić bogactwo naszej literatury. Przy założeniu, że wymieniałabym pisarzy, po których książki warto sięgnąć.

Mam wielką nadzieję, że ci, którzy zdecydowali się na przeczytanie niniejszego tekstu, podejmą też próbę i zaczną częściej sięgać po rodzimą literaturę. Naprawdę, nie mamy się czego wstydzić, a wręcz przeciwnie. Bo jedyne, czego nam brakuje to dobra promocja, ale to już oddzielny temat...



KAZIMIERZ NOWAK

- PODRÓŻNIK, PISARZ, ZAGADKA

Z Jackiem Y. Łuczakiem rozmawia Joanna Wonko-Jędrzysek.

Jest Pan autorem książki *Polska Kazimierza Nowaka*. Skąd Pana zainteresowanie postacią tego wybitnego polskiego podróżnika?

Jest kilka powodów, które nałożyły się na siebie. Po pierwsze: to, co zrobił Kazimierz Nowak, było niezwykle. Czasami przez myśl nie chce przejść, że przejechał Afrykę, że na rowerze, w dodatku dwukrotnie, i to charakter jego podróży był i jest – nawet dzisiaj – wycyzymem. Po drugie: dowiedziałem się o Nowaku, kiedy byłem jeszcze dziennikarzem „Gazety Wyborczej”, a więc sam pisałem. Gdy przeczytałem jego reportaże – oniebiałem. Nowak był świetnym reportażystą, co zresztą

docenił nieżyjący już dziś „król” polskiego reportażu, Ryszard Kapuściński. W redakcji zajmowałem się także szeroko pojętą turystyką, więc od razu mnie to zainteresowało. Po trzecie: Nowak, choć pochodził spod Lwowa, jest uważany za poznaniaka, którym ja także się czuję. Po czwarte: również jestem rowerzystą, więc wydaje mi się, że potrafię docenić wysiłek Nowaka. Po piąte: także trochę jeżdżę po świecie, na dodatek niejako w stylu Nowaka. Nie bawię się w zorganizowane wycieczki, wolę samodzielnie poznawać kraje i ludzi. Uważam, podobnie jak Nowak, że to o wiele cenniejsze doświadczenie.

Wszystkie te czynniki się zązębiły, stąd zainteresowanie, można nawet powiedzieć – fascynacja. Zresztą jest coś takiego w Kazimierzu Nowaku, że po przeczytaniu jego reportaży czytelnik wsiąka w tę postać, wciąż chce więcej. Na dodatek aura, która się wytworzyła wokół tego podróżnika od początku była tajemnicza. Kiedy pojawiła się pierwsza książka, niemal nikt ze współczesnych nic o Nowaku nie wiedział. Nowak został zapomniany, bo nie dość, że szybko umarł, niespełna rok po powrocie z Afryki, to w kulturowaniu jego osiągnięć przeszkodził wybuch II wojny światowej. A w Polsce Ludowej władza nie była zbyt przychylnie nastawiona do opowieści o kapitalistycznych latach międzywojennych. Jednak, jak się okazało, Nowak był wtedy bardzo znany, pisały o nim prawie wszystkie gazety, jego teksty publikowały najbardziej poczytne czasopisma. Można powiedzieć, że Polska międzywojenna wręcz żyła Nowakiem. I właśnie to odkrywanie Nowaka „na nowo” również stało się fascynujące.

Kiedy i w jakich okolicznościach powstał pomysł napisania książki? Czy był Pan od początku przekonany, o czym chce Pan pisać i który etap życia Nowaka omówić w swojej pracy?

To zabawna historia. W 2009 roku znałem już „nowakowe” reportaże. Wiosną tamtego roku pisałem przewodnik rowerowy po Poznaniu. Ustaliliśmy z wydawcą, że miło by było stworzyć choć mały rozdział poświęcony kilku miejscom związanym z Kazimierzem Nowakiem po to, by uhonorować tego wielkiego, ale wciąż mało znanego poznańskiego podróżnika. Było już jedno takie miejsce, gdyż trzy lata

I tak się zaczęło. Już wtedy, po pierwszej rozmowie wiedzieliśmy, że trzeba Nowaka pokazać światu, odkryć go tak, jak on odkrył dla nas Afrykę swoimi reportażami. Jakkolwiek „afrykański” etap życia Nowaka był już odkryty, to wszystko, co działo się przed i po tej wyprawie, wciąż było zagadką. Dlatego skupiliśmy się na rozwiązywaniu tej zagadki.

Książka nosi podtytuł *Przewodnik rowerzysty* i taką też przyjmuje formę. Nie jest to typowa biografia. Nie miał Pan ochoty napisać szczegółowej, klasycznej biografii Nowaka dotyczącej jego polskich wypraw?

W zasadzie nie, dlatego, że już po pierwszej rozmowie wiedzieliśmy, że będzie to przewodnik po miejscach związanych z Kazimierzem Nowakiem. Dopiero później, w trakcie odkrywania kolejnych faktów z jego życia okazywało się, że wychodzi z tego biografia. Jednakże biografia w nietypowej formie. Postanowiliśmy kontynuować pracę w ten sposób. Poza tym nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek czytał biografię w formie przewodnika. W jakiś sposób było to nowatorskie podejście do pisania, a ja strasznie lubię robić rzeczy, których nikt dotychczas się nie podjął. No i bardziej wolę tworzyć, niż odtwarzać.

Jak przebiegały prace nad książką?

Początkowo bardzo szybko, bo pisanie pochłonęło mnie całkowicie. Zwłaszcza kiedy zobaczyłem ile materiałów, pamiątek i zdjęć pozostało po Nowaku. Przesadzę pewnie, jeśli powiem, że tony. Ale było tego naprawdę dużo.



Jacek Y. Łuczak – dziennikarz i entuzjasta osiągnięć Kazimierza Nowaka, również podróżujący na rowerze. Poza książką *Polska Kazimierza Nowaka. Przewodnik rowerzysty* napisał także *Spacerownik poznański*.

wcześniej na poznańskim dworcu kolejowym odsłonięta została tablica pamiątkowa. Jednak chciałem poznać więcej szczegółów. Zadzwoiłem więc do Łukasza Wierzbickiego, z którym się znałem, a który zebrał wcześniej reportaże Nowaka do książki *Rowerem i pieszo przez Czarny Łąd*. Łukasz podał mi namiar do pani Teresy Szmajdy, współwłaścicielki wydawnictwa Sorus, które dysponowało nieznanymi dotąd materiałami dotyczącymi Nowaka. Zadzwoiłem więc do niej. Nawet nie zdążyłem dokończyć tłumaczenia w jakim celu dzwonię, kiedy padło brzemiennie w skutki pytanie: A nie napisałby Pan czegoś takiego dla nas?

Wydawnictwo otrzymało od rodziny Nowaka do dyspozycji dosłownie wszystko, co się zachowało, wśród nich były także artykuły z przedwojennych gazet, fotografie, nierzadko jeszcze w formie negatywów na płytkach szklanych. Tak, tak! To te czasy, kiedy aparaty z kliszą były dopiero fantastyką naukową! Okazało się, że rodzina Nowaka zachowała także, wydawałoby się, nic nie znaczące przedmioty, jak notesiki, notatki, listy i kartki pocztowe. Wszystko trzeba było przejrzeć, przeczytać, spisać, a z płytek szklanych zrobić odbitki fotografii. Początkowo chciałem sam wszystko zrobić, ale z pewnością nie dałbym rady. Poza tym nie chciałem

zabierać materiałów do domu, żeby ich nie poniszczyć, nie pogubić. Były zbyt cenne. A niektóre także bardzo delikatne. Dlatego największy udział przy powstawaniu biografii miała pani Teresa Szmajda, która u siebie w domu i w siedzibie wydawnictwa wyszukiwała interesujące nas fakty z życia Nowaka. A wiedzieliśmy doskonale, czego szukamy. Byliśmy na bieżąco w kontakcie, codziennie pojawiały się nowe informacje.

W pewnym momencie uznaliśmy, że już można układać je w całość. Pierwsza wersja książki była ukończona w sierpniu 2009 roku, czyli trwało to zaledwie cztery miesiące. Materiał był wówczas jednolitym tekstem, który okazał się mało przejrzysty. Pan Piotr Szmajda, właściciel wydawnictwa i mąż pani Teresy, rzucił znakomitą sugestią, że jednak lepiej by było, aby książka miała charakter typowego przewodnika.

I wtedy musiałem całą konstrukcję książki przewrócić do góry nogami, a w zasadzie napisać ją jeszcze raz, tylko inaczej. Wówczas pojawiły się informacje praktyczne dla rowerzystów oraz zostały wyodrębnione ciekawostki z lat międzywojennych, oddzielone zostały informacje współczesne od historycznych. Trwało to też krótko, bo do końca września. Wtedy mieliśmy już trzon opowieści, ale potrzebowaliśmy jeszcze uwiarygodnienia naszych informacji. Dlatego zaczęliśmy jeździć we wszystkie opisywane miejsca, także na dzisiejszą Ukrainę, gdzie Nowak się urodził i wychował. I tak przez ponad pół roku. Tam, gdzie się dało, jeździliśmy wspólnie z panią Teresą, gdzie indziej jechałem sam, a gdzie indziej pani Teresa wyruszała sama, jeśli ja nie mogłem. Dzięki temu uzu-

pełniliśmy materiał o naprawdę ważne informacje. Wiele z nich było zupełnie nowych, które trzeba było dołączyć do tekstu.

W międzyczasie próbowaliśmy odgadnąć, jakież to miejsca utrwalił Nowak na zachowanych fotografiach i dotrzeć do miejsc, które opisywał w listach, które pisał do żony. Na tej podstawie przybyło kilkanaście nowych rozdziałów.

A z niektórymi rzeczami mieliśmy prawdziwy problem. Na przykład z fotografią, na której Nowak stoi z rowerem przed jakąś fontanną. Była ona tak piękna, że myśleliśmy początkowo, że zdjęcie zostało wykonane w Rzymie, może we Florencji albo Neapolu. Okazało się, że jest to zdjęcie z Poznania, a fontanna już w tym miejscu nie stoi, a jest jedynie pomnikiem w innym parku. Fascynujące!

To jeszcze nie wszystko. Latem 2010 roku u krewnych Nowaka odnalazł się jego pamiętnik. Niezwykły przedmiot, który dokumentował wszystkie odwiedzane przez niego miejsca podczas wcześniejszych wypraw po Polsce i Europie! Odkrycie tego pamiętnika drugi raz przewróciło do góry nogami konstrukcję książki. I znów trzeba było niemal napisać ją od nowa.

Mniej więcej co tydzień lub co dwa tygodnie pojawiały się jakieś nowe fakty, nowe miejsca, które obowiązkowo trzeba było włączyć do biografii. Wreszcie wiosną 2011 roku doszliśmy do wniosku, że trzeba gdzieś w tej książce postawić kropkę. I tak doszło do wydania *Polski Kazimierza Nowaka* z początkiem września ubiegłego roku.

Kazimierz Nowak – urodzony 11 stycznia 1897 roku na Zakarpaciu, zastąpił samotną podróżą po Afryce, podczas której przemierzył cały kontynent z północy na południe i z powrotem. Znaczną część trasy przebył na rowerze. W swoich reportażach nie tylko uwiecznił osobiste przeżycia, lecz także kulturę oraz przyrodę afrykańskich krajów.



Wszystkie fotografie zostały udostępnione nam przez Jacka Y. Łuczaka.

Co ciekawe, wciąż napływają nowe wiadomości, ciągle odkrywamy nieznane dotąd fakty. Można więc powiedzieć, że – choć książka jest dostępna w księgarniach – prace nad biografią Kazimierza Nowaka nieustannie trwają.

Jaki portret Kazimierza Nowaka wyłania się z zachowanych materiałów, wspomnień znających go ludzi? Czy był to człowiek podążający za marzeniami, czy raczej praktyczny reporter szukający oryginalnego materiału, który zapewniłby mu przyzwoity dochód?

Paradoksalnie i taki, i taki. Na wczesnym etapie pisania książki rozbawiło mnie już odkrycie, że Nowak był księgowym w banku. Nasunęło się więc naturalne skojarzenie ze skeczem *Latającego cyrku Monty Pythona*, w którym do biura pośrednictwa pracy przychodzi księgowy, chcący zostać poskramiaczem lwów. Lecz Kazimierz Nowak był nieco inny. Był romantykiem, ale twardo stąpającym po ziemi, był niemalże marzycielem-realistą, co wydaje się absurdalnym połączeniem. Ale taki był. Z listów wynika, że podróże, rower, samotność i odkrywanie świata były jego przeznaczeniem. Źle się czuł w tłoku. Wolał dżunglę naturalną od miejskiej, ludzkiej. Nie potrafił usiedzieć zbyt długo w jednym miejscu. Coś ciągle gnało go w świat. Na pustkowiu czuł się sobą, w podróży był kimś ważnym. Poza tym kochał i umiał fotografować. Wydaje się, że aparat fotograficzny był przedłużeniem jego ręki.

Ale z drugiej strony był bardzo odpowiedzialny jako mąż i ojciec. Kiedy stracił pracę w banku postanowił zarabiać fotografowaniem i pisaniem. Trzeba mieć niezwykłą odwagę i determinację, żeby opuścić żonę i dwójkę dzieci, udając się w pięcioletnią podróż w nieznane. Wiele osób, poznając biografię Nowaka, ma mu to za złe, zwłaszcza kobiety, które pytają: jak on mógł to zrobić rodzinie? Niewiele jednak osób wie, że zrobił to za przyzwoleniem żony Marii, że przed wyjazdem wszystko dokładnie uzgodnili. Nowak nie zostawił żony, jak myślą niektórzy. Realizacja marzeń Nowaka była przemyślana i zaplanowana. Na jego sukces w mediach pracowali oboje. Nie tylko sam Nowak. Cóż, czasem bywało ciężko, ale początki zawsze są trudne.

Poza tym Nowak mógł realizować marzenia, bo miał talent i wiedzę. Talent oczywiście do fotografowania i pisania. Zaś wiedza z zakresu stosunków międzynarodowych, geografii i biologii pozwalała mu poruszać się swobodnie po świecie. Na dodatek porozumiewał się po angielsku i włosku, co ułatwiało podróże po kolonialnej wówczas Afryce.

Nie ulega wątpliwości, że ten polski podróżnik postużył za inspirację dla wielu ludzi. W tym także dla grupy entuzjastów, którzy zainicjowali projekt „Afryka Nowaka – Sztafeta śladami Kazimierza Nowaka 2009–2011”. Ekipa młodych ludzi udała się rowerami w podróż po Afryce, pokonując trasę, którą Kazimierz Nowak pokonał samotnie kilkadziesiąt lat temu. Czy myślał Pan

o udziale w tym przedsięwzięciu?

Ależ oczywiście, że myślałem. Tym bardziej, że sam chętnie wsiadam na rower. W każdym sezonie pokonuję około dwóch tysięcy kilometrów. Przy Kazimierzu Nowaku wypadam okrutnie blado, ale wydaje mi się, że bym sobie jako tako poradził na takiej wyprawie. Jednak dwuletnia sztafeta przypadła akurat na okres, kiedy powstawała książka, więc jeździłem w inne, o wiele mniej egzotyczne miejsca, ale także związane z Nowakiem, więc trochę czuję się tak, jakbym uczestniczył w pewnego rodzaju sztafecie śladami tego podróżnika. Gdybym pojechał do Afryki, powstanie książki by się na pewno mocno opóźniło. Pisanie to moja praca, więc muszę dbać o to, po trosze tak, jak Nowak, by przynosiło jakiś, choćby minimalny dochód.

Jednak losy sztafety śledziłem przez cały czas i mocno w duchu dopingowałem jej uczestników. Mam dla tego pomysłu i jego wykonania wielki szacunek. Co więcej, sztafeta pokazała tak naprawdę, jakim wyczynem była przedwojenna wyprawa Nowaka. Proszę zauważyć, że w sztafecie zawodnicy zmieniali się co kilka tygodni, a każdy odcinek pokonywał inny zespół rowerzystów. Nowak całą tę trasę przebył sam!

Polska Kazimierza Nowaka określana jest jako Pana debiut. Znalazłam jednak informację, że już wcześniej pisał Pan przewodniki. Czy to obszar książkowy, w którym najlepiej się Pan czuje? Myślał Pan o napisaniu powieści?

Tak, debiut, ale też w pewnym sensie tylko. Wcześniej były już inne przewodniki: *Wielkopolska*, *Spacerownik poznański*, *Skarby powiatu poznańskiego* i *Przewodnik rowerowy po Poznaniu*, do lektury których serdecznie zachęcam. Tworzę też audycje w formie gawęd o tematyce turystycznej dla Polskiego Radia. Teraz przyszedł czas na promocję Kazimierza Nowaka. Nie myślę tu o promocji książki, ale samej postaci. Okazuje się, że jeszcze wiele osób nic o nim nie wie. Natomiast w tym roku w marcu, specjalnie na Euro 2012 ukaże się pięć albumów, do których pisałem teksty i częściowo robiłem zdjęcia. Będą to albumy o Poznaniu, Gdańsku, Wrocławiu, Warszawie i Krakowie.

Pisanie przewodników nie jest szczytem moich marzeń, ale czuję się w tym dobrze, w miarę swobodnie. Jako turysta od dziecka chciałem, żeby przewodniki były przyjemne w czytaniu, bo z tym w przeszłości było różnie. Brałem przewodnik do ręki i miewałem niedosyt. Suche fakty przytłaczały, nadmiar dat i specjalistycznych terminów architektonicznych wcale nie pomagały w zwiedzaniu. Brakowało mi fajnych, zwiewnych historii. Dlatego moją ambicją jest to, by wreszcie przewodniki dobrze się czytało. Mnie nie zależy, żeby zadowolić architektów, historyków i dyrektorów muzeów. Dla mnie najważniejszy jest zwykły czytelnik, zwykły turysta, który tak jak ja kiedyś, chce coś samodzielnie poznać, zobaczyć. Chodzi o to, by go do tego zachęcić, a nie odstraszyć.

Natomiast o pisaniu powieści myślałem już od szkoły podstawowej. Co więcej, już w szóstej klasie zacząłem dwie. Jednak później ze względu na szalone, zakręcone życie, w którym łączyłem funkcje radiowca, dziennikarza gazety i artysty kabaretowego, te marzenia musiałem odłożyć. Po prostu na ich realizację nie było czasu.

Ale teraz jest. I nie ukrywam, że się ostro do tego zabrałem. Komedia filozoficzna w konwencji horroru science-fiction *Tylko nie śpij 2* leży już w wydawnictwie i czeka na druk. Marzę o tym, by w tym roku pojawiła się w księgarniach. To będzie tak naprawdę mój debiut, przynajmniej tak to traktuję. Na pewno nie jest to literatura piękna, raczej zaliczyłbym ją do kategorii „literatura śmieszna”. W przygotowaniu jest kolejna.

Czy myśli Pan o napisaniu jeszcze jakiejś książki związanej z Kazimierzem Nowakiem? Czego mogłoby wówczas dotyczyć?

Ja o tym nie myślę, ja już to zrobiłem. W ubiegłym roku odnalazła się kolejna cudowna pamiątka po Kazimierzu Nowaku – listy, które pisał do syna ze swoich wypraw po Polsce, Europie, no i Afryce. Od wydawnictwa Sorus dostałem zadanie, by te listy ułożyć, spiąć w całość i opatrzyć komentarzami. Więc to już zostało zrobione. Teraz trwają prace redaktorskie i korekta. Jest wielce prawdopodobne, że jeszcze w tym roku dowiemy się czegoś nowego o Nowaku! Lecz tym razem o Nowaku nie jako podróżniku i reportażyście, tylko o Nowaku jako o czułym ojcu.

Nie ukrywam, że wspólnie z wydawnictwem myślimy także o stworzeniu osobnej książki o europejskich podróżach Nowaka. Ale to są już nieco dalsze plany. Co z nich wyjdzie, czas pokaże.

Polska może się poszczycić pokaźną liczbą znaczących podróżników zarówno w przeszłości, jak i dziś. Kiedy opowiada Pan o Kazimierzu Nowaku, w Pana głosie słychać pasję. Czy poza nim sylwetka któregoś z polskich podróżników zainspirowała Pana na tyle, by odczuć chęć przeprowadzenia badań nad życiem tej osoby?

Jasne, że tak! Na początku był oczywiście Arkady Fiedler, którego książki fascynowały mnie w dzieciństwie. Lecz o Fiedlerze wiemy już tyle, że chyba nie ma sensu się powtarzać. Natomiast praca nad postacią Kazimierza Nowaka uświadomiła mi, że było mnóstwo innych osób, które są godne napisania o nich książek. Jedną z takich postaci był Tadeusz Perkitny z Poznania, który wsławił się podróżą dookoła świata. Wrócił z niej w 1930 roku, zanim Nowak wy-

jechał do Afryki. W tamtych latach fantastycznym wyczynem popisali się dwaj inni poznaniacy, wioślarze, którzy ze stolicy Wielkopolski popłynęli rzekami do francuskiego Le Havre. Gotowy scenariusz na książkę, a nawet film to życiorys zapomnianego Emina Paszy, dziewiętnastowiecznego, pochodzącego z Nysy badacza Afryki. Chętnie się tym zajmę, jeśli ktokolwiek będzie chciał wydać efekt mojej pracy. A z tym, wbrew pozorom nie jest zbyt łatwo.

Na koniec pytanie bardziej osobiste: czy mógłby Pan wyjaśnić naszym Czytelnikom tajemnicze „Y” w Pana nazwisku?

To pseudonim artystyczny. Po odejściu z „Gazety Wyborczej” zastanawiałem się, czy pisać pod swoim nazwiskiem, czy przybrać jakiś pseudonim. Miałem nawet zeszyt, do którego wpisywałem pomysły. Jednak ostatecznie do głosu doszło zacięcie kabaretowe. Czytając różne artykuły, książki zauważyłem pewną tendencję: autorzy, którzy chcieli, żeby ich nazwisko brzmiało poważnie, dumnie, wręcz hrabiowsko, zaczęli dodawać inicjał. W ten sposób zamiast pospolitego Bogdana Wiśniewskiego mamy Bogdana T. Wiśniewskiego. Niby nic, ale jak brzmi?! Wydało mi się to zabawne, więc postanowiłem, że też tak zrobię. Z tym, że uznałem, iż powinien to raczej być żart. No i ten inicjał jest właśnie formą żartu. Nie znajduję w języku polskim imienia na „Y”. Poza tym nie mam

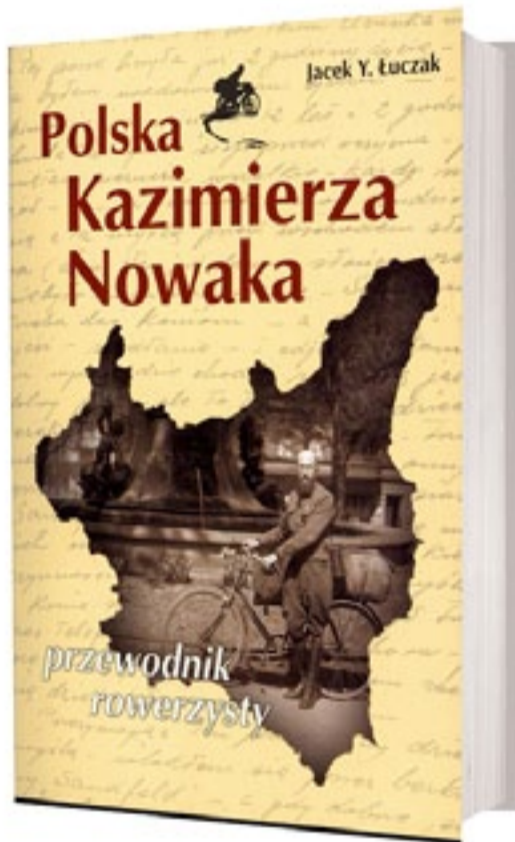
drugiego imienia w ogóle. Zdarzało się w moim życiu, że w urzędach pytano mnie o imiona odpowiadałem: – Jacek. Wtedy urzędnicy próbując wydusić ze mnie drugie imię, tak śmiesznie pytająco zawieszali głos: – Jacek... yyy... Odpowiadałem wtedy: – Łuczak. Po prostu Łuczak.

Przypomniałem sobie ten fakt i uznałem, że to będzie najbardziej odpowiednie. I, jak się okazało, słusznie, gdyż zauważyłem, że inicjał ten intryguje czytelników, a mnie z kolei bawi, to, że ich intryguje. I kółko się zamyka.

Ale jest jeszcze jeden powód. Moje nazwisko jest, jakby to powiedzieć, żeby nikogo nie urazić... jest banalne. Więc zabieg z inicjałem wprowadziłem w celu odróżnienia się od całej rzeszy Jacków Łuczaków, którzy żyli przede mną, istnieją w czasie rzeczywistym i od tych, którzy po mnie nadejdą.

Już samo to pytanie na koniec rozmowy świadczy o tym, że żart się udał.

Serdecznie dziękuję za rozmowę.



Z POKORĄ W INDIACH

Fot. Paweł Skawiński

Paweł Skawiński skończył ekonomię, jednak częściej zajmuje się niezależnym dziennikarstwem dotyczącym Azji. Jego przygoda z Indiami rozpoczęła się od stażu w jednej z korporacji w Pune. Od tamtego czasu częściej jest w Indiach i Nepalu, a do Polski wraca tylko na chwilę. Jest twórcą i autorem portalu mandgaon.pl, autorem filmu dokumentalnego poświęconego Gadhimai – największej rytualnej ofierze ze zwierząt i jedną z osób zaangażowaną w społeczną pracę na rzecz „Piekarni w Nepalu”, inicjatywy mającej na celu pomoc tybetańskim uchodźcom w Nepalu. Obecnie przebywa w Kathmandu, gdzie zbiera materiały do kolejnego reportażu.

Gdy nie nadejdzie jutro to jego pierwsza reporterska książka, poruszająca problemy społeczne w Indiach i Nepalu. Obecnie Paweł przebywa w Kathmandu, gdzie zbiera materiały do kolejnej książki. W wywiadzie dla „Archipelagu” mówi o sytuacji społeczno-gospodarczej obecnych Indii, procesie zbierania materiałów i doborze tematów do książki, poleca kilka reportaży dotyczących subkontynentu i zdradza plany na przyszłą publikację.

Z Pawłem Skawińskim rozmawia Emilia Kustra

W swojej książce piszesz, że do Indii trafiłeś przypadkiem, bez dużej wiedzy o tym kraju. Czy możesz opowiedzieć czytelnikom „Archipelagu”, kiedy pojawiło się u Ciebie na tyle duże zainteresowanie subkontynentem i jak to się stało, że postanowiłeś tam wracać?

To jest miłość od pierwszego wejrzenia. Kolory, zapachy, kuchnia, hałas, muzyka – uwielbiam ten cały harmider! Żeby się tu odnaleźć, trzeba zaakceptować ten chaos, ale już żeby coś z tego zrozumieć, trzeba poznać jego reguły. Dlatego dostrzegam te wszystkie brzydkie rzeczy, które się tu dzieją i piszę o slumsach, burdelach, przemocy.

Zresztą Slavoj Žižek, słoweński filozof, powiedział kiedyś, że prawdziwa miłość nie jest idealizowaniem ukochanej. Akceptujesz osobę, ze wszystkimi jej wadami i niedosko-

nałościami. Bo miłość jest właśnie znajdowaniem doskonałości w niedoskonałościach. Tak powinniśmy uczyć się kochać świat!

I co tu dużo mówić – Azja, a zwłaszcza Indie i Chiny, to obecnie najciekawsze miejsce dla reportera. Na naszych oczach powstają nowe potęgi! Żeby je dobrze poznać i opisać, trzeba tu mieszkać. Nie wystarczy jeździć tam co roku na kilka tygodni, bo wtedy jest się skazanym na rolę podróżnika, turysty, który z definicji jest gościem, zatrzymuje się na chwilę i jedzie dalej, prześlizgując się po powierzchni rzeczywistości.

To nie jest jakaś odkrywcza myśl. Najlepsi reporterzy mieszkają lub mieszkali w krajach, o których piszą. Ostat-

nio czytam książkę Katherine Boo o bombajskich slumsach. Boo pisała dla „New Yorkera” o biedzie w USA i w Indiach nie poszła na łatwiznę – ponad trzy lata mieszkała w jednym z tamtejszych slumsów. Wszystko po to, żeby uczciwie opisać miejsce i ludzi. Żeby nie skrzywdzić ich jakimś nieostrożnym zdaniem, napisanym pod wpływem chwili.

To jest sposób pracy, ideał, do którego dążę. Tu nie ma kompromisów, dlatego raczej odwiedzam Polskę, a wracam na subkontynent.

We wstępie do książki wyrażasz zdanie, że od XIX wieku w postrzeganiu Indii nic się nie zmieniło i nadal kraj ten jest kojarzony i przedstawiany w mediach czy chociażby poprzez kino Bollywood jako bajkowa, mistyczna kraina. Jednak obecnie w Polsce wydawanych jest coraz więcej książek, które przedstawiają bardziej realny obraz Indii. Dlaczego Twoim zdaniem warto o tym pisać?

Ponieważ budzi się gigant, który, nie mam żadnych wątpliwości, wkrótce będzie decydował o kształcie świata. Te narodziny jeszcze trwają, właśnie teraz Indie przechodzą ogromne zmiany, nie tylko ekonomiczne, ale również społeczne.

Zrozumieć te procesy, motywacje, mentalność Azjatów, to warunek przetrwania we współczesnym świecie. Dlaczego Amerykanie ponieśli porażkę w Iraku i Afganistanie? Porażkę, która kosztowała Amerykę kryzys gospodarczy? Nikt nie zadał sobie trudu zrozumienia tamtejszej kultury, tamtejszych realiów. Wygląda na to, że biały człowiek wcale nie zmienił się od czasów, gdy kolonizował, podbijał naszą planetę. Wciąż traktuje obcych z góry i pod sztandarami niesienia demokracji, niesienia pomocy rozwojowej, przemocą wciska barbarzyńcom swoją wizję świata. A kiedy zanika ciekawość innych, kiedy mieszkańcy imperium zaczynają uważać siebie za centrum świata, wtedy imperium chyli się ku upadkowi. Tak było kiedyś z Chinami, czyli „państwem środka”, z wielkimi państwami subkontynentu indyjskiego, które uznały, że właśnie tam ludzkość osiągnęła szczyt rozwoju.

Azjaci odrobili lekcję historii, są ciekawi świata i czytają na potęgę. Powstają nowe tytuły, gazety zwiększają nakłady. Zupełnie odwrotnie niż u nas. Nasze media żywią się krótkimi, płytkimi informacjami, które tylko wzmacniają stereotypy. Nie ma czasu na odkrywanie, zrozumienie innych.

Jak zmienił się Twój odbiór Indii odkąd wylądowałeś pierwszy raz na lotnisku w Bombaju? Czy udało Ci się zaobserwować jakieś wyraźne zmiany, które zaszły w Indiach na przestrzeni ostatnich kilku lat?

Zmiany są ogromne, ale tylko w miastach, bo wsie wyglądają tak samo jak wcześniej, tak jakby były uodpornione na sukces gospodarczy Indii. Te wszystkie biurowce, autostrady, metro w Delhi, satelity wysyłane w kosmos, luksusowe samochody, drogie kluby, piękni i bogaci ludzie w szale zakupów przemierzający sterylne, iskrzące się złotem centra handlowe, są wielką błagą. Bo na wsi syf i malaria, przedwcześnie postarzała młodzież pracująca ponad siły tylko po to, żeby przeżyć kolejny dzień.



Paweł Skawiński podczas kręcenia filmu „Gadhimai”
Fot. Charles Xelot

Gdzie jest ten postęp? Gdzie ten sukces? Na wsi wciąż żyje 70-80 % Hindusów, a ci, którzy przenieśli się do miasta, gniją w slumsach. Co prawda wielu z nich pracuje, ale za głodowe stawki.

Z sukcesu gospodarczego skorzystało niewielu. Wyraźnie widać, że teoria tzw. strumyka dobrobytu (ang. *trickle down theory*), który z wyżyn biznesu miał spłynąć na biednych, kompletnie się nie sprawdziła. Najuboższym nic nie skapnęło. Oczywiście władza nie może pogodzić się z rzeczywistością i twierdzi coś zgoła przeciwnego. Żeby podtrzymać atmosferę sukcesu, manipuluje statystykami. Wystarczy ustalić granicę ubóstwa na poziomie dwudziestu kilku rupii dochodu na dzień i *voilà!* Mamy kilkaset milionów mniej biednych w Indiach!

Tymczasem nie trzeba się nawet powoływać na badania różnych agend ONZ, według których np. prawie połowa indyjskich dzieci jest chronicznie niedożywiona, a jedna trzecia nie potrafi czytać, co jest wynikiem na poziomie krajów subsaharyjskich, żeby zorientować się, że coś jest nie tak. Wystarczy wejść do slumsów albo pojechać na wieś.

To nie jest tak, że totalnie krytykuję zmiany, które zaszły w Indiach. Że w Indiach żyło się kiedyś lepiej. Na początku lat 90. zrezygnowano z tzw. królestwa pozwoleń (ang. *Permit Raj*), czyli gospodarki centralnie sterowanej, w której przedsiębiorcy musieli dostosowywać się do absurdalnych wymogów urzędników, kompletnie nie mających pojęcia o biznesie. Oczywiście za tym szły ogromne łapówki i teraz w bardziej otwartej gospodarce wciąż trzeba walczyć z tą korupcyjną hydrą. Ale już samo ograniczenie pozwoleń uwolniło niesamowite pokłady przedsiębiorczości w tym społeczeństwie. To jest na pewno spory sukces pielęgnowany przez kolejne rządy. Łatwo można zrozumieć, dlaczego Hindusi są tak spragnieni sukcesu. Przecież nikt nie chce być wytykany palcami jako biedak, a już zwłaszcza przez obcokrajowców. Ale bezgraniczna wiara, że sam wzrost gospodarczy załatwi wszystkie problemy Indii, że biedni nagle staną się bogatsi, była bardzo naiwna.

Teraz biedni nie wierzą już rządowi, który wciąż im wmawia, że wszyscy wokół się bogacą. Jak to wszyscy, skoro nie my, nasi krewni, czy sąsiedzi? I ludzie się buntują. Paradoksalnie to, co jest teraz piękne w Indiach to, jak pisał V. S. Naipaul, milion buntów (chodzi o książkę *India: A Million Mutinies Now*). W krótkim czasie ludzie uwierzyli, że mają prawo żądać lepszego życia. Że ich przeznaczeniem nie jest klepanie biedy, a awans społeczny, mimo że wciąż trudny, jest teraz o wiele łatwiejszy niż kilkadziesiąt lat temu. Stąd wysyp organizacji pozarządowych, koopera-

tyw, związków zawodowych. Ruch Anny Hazarego przeciw korupcji. Ta rzeka powoli wzbierała, już teraz może porwać ludzi w całym kraju.

W książce mówisz o tym, że Indie trudno jednoznacznie opisać, żeby nie wpaść w pułapkę. Co stanowiło największe wyzwanie w pisaniu reportażu o subkontynencie?

Najtrudniej spojrzeć na obcy kraj nie interpretując rzeczywistości z naszej, europocentrycznej perspektywy. Pewnie nie jest to w pełni możliwe, ale samo zdanie sobie sprawy, że będąc nawet najbardziej otwartą osobą wciąż jest się produktem własnego środowiska, swojej cywilizacji, bardzo pomaga. Pozwala wczuć się w sytuację tych Innych, weryfikować oceny i odczucia, zadawać odpowiednie pytania, cierpliwiej szukać przyczyn.

Jak wyglądał proces zbierania materiałów do książki? Czy docierałeś do niektórych osób z myślą, że o tym napiszesz, czy też najpierw zgromadziłeś informacje podczas pobytu w Indiach, a dopiero potem postanowiłeś to opisać?

Zbierałem materiały pod kątem tematów, które sobie wcześniej wymyśliłem, ale dużo było w tym przypadku i rzeczywistość weryfikowała moje pomysły. Na przykład pojechałem do Kaszmiru nie tylko dlatego, że słyszałem, że coś tam się cały czas dzieje, ale dlatego, że poznałem Tamima, muzułmanina, którego ostre poglądy mocno kon-



trastowały z ubiorem i codziennym, raczej wyluzowanym, zachodnim sposobem bycia. Potem w Kaszmirze okazało się, że to tamtejsze kobiety są ciekawsze i na nich warto się skupić. Z kolei wchodząc do slumsów nie wiedziałem, że znajdę związek zawodowy zbieraczek złomu. Te kobiety, ich praca, upór, sprzeciw wobec rzeczywistości były wielką niespodzianką.

W ogóle Azjatki są niesamowite. Cały czas spotykam tutaj kobiety z charyzmą, idące pod prąd konserwatywnego społeczeństwa. One mają o co tu walczyć, ale też wiele ryzykują. W końcu jakoś tak samo wyszło, że większość bohaterów moich reportaży to kobiety.

Próbując przybliżyć Indie polskiemu czytelnikowi, poruszasz bardzo różnorodne zagadnienia.

Czym kierowałaś się dobierając tematy poszczególnych rozdziałów książki?

Nie czuję się jeszcze na siłach, żeby opisać Indie jako całość, tak jak zrobił to Patrick French w znakomitej pozycji *India: A Portrait*. Po prostu musiałbym mieć jakieś dwadzieścia lat więcej doświadczeń, mieszkania w tym regionie świata i sporo odwagi, aby autorytatywnie wypowiadać się o tak skomplikowanym kraju. A French jest mistrzem nie tylko reportażu, obserwacji, ale też mądrej oceny tego, co tutaj się dzieje.

Moim pomysłem było więc pokazanie fragmentów, odprysków rzeczywistości współczesnych Indii i Nepalu. Często są to intymne, bolesne historie, ale chyba sporo mówią o ludziach, którzy tu mieszkają. I przede wszystkim są to tematy trudne i niewygodne – burdele, handel ludźmi, slumsy, związki zawodowe, głośna sprawa morderstwa w Kaszmirze, rebelia na prowincji, konflikt religii z nowoczesnością. Wszystko podlane historią i statystykami, ale w umiarkowanych ilościach. Bardzo zależało mi na tym, żeby nie dopowiadać wszystkiego, żeby czytelnik znalazł przestrzeń na własną interpretację wydarzeń, o których piszę.

O Twoim reportażu można przeczytać, że przedstawia Indie przepełnione biedą, przemocą, niesprawiedliwością. Z drugiej strony dużo piszesz o niezależnych działaniach i inicjatywach oraz aktywistach, którzy próbują zmienić swoje otoczenie na lepsze. Co według Ciebie wysuwa się na pierwszy plan?

Na łożu śmierci Beethoven powiedział kiedyś: „Nauczyłem się patrzeć na świat w całym jego złu, ale wciąż go kochać”.

Skala problemów Indii jest ogromna, ale ci anonimowi ludzie, którzy walczą z biedą, przemocą, niesprawiedliwością, pozwalają patrzeć na świat w cieplejszych barwach. Aktywnie walczę ze zgorzkniałymi cynikami, którzy twierdzą, że nic się nie da. Męczy mnie taka postawa, dosyć powszechna w Polsce. Po prostu trzeba przestać narzekać, zakasać rękawy i walczyć o swoje.

Poruszam trudne i bolesne tematy, ale taka jest rzeczywistość. Naprawdę lepiej jest ją poznać, żeby ją zmienić, niż udawać, że żyjemy w idealnym świecie lub że ten świat nas nie dotyczy. To my go stworzymy, a nie jakieś abstrakcyjne, magiczne siły, na które nie mamy wpływu.

W pisaniu o biedzie najbardziej wkurzający jest obraz bezwolnych, pasywnych, bezsilnych, a przede wszystkim głupiotkich biednych, których traktuje się z góry, bo są „zacfani”. Koniecznie trzeba ich edukować, uczyć życia. Tylko, że my właściwie nie wiemy jak im pomagać, czego uczyć, bo mało kto podejmuje wysiłek zrozumienia ich świata.

W jednym z rozdziałów przedstawiasz idealistyczne i nie zawsze udane pomysły różnych osób z zachodniego świata na poprawę sytuacji ludzi w Indiach lub Nepalu. Sam zaangażowałaś się w projekt budowy piekarni w himalajskiej wiosce Syabru Bensi w Nepalu. Czy mógłbyś trochę o nim opowiedzieć? Czy jest to też taki pomysł, który wyrósł z marzeń i co zadecydowało o jego powodzeniu, bo wiem, że piekarnia już zaczęła działać?

Dołączyłem do projektu, kiedy zorientowałem się, że ludzie, którzy go prowadzą, mają trochę oleju w głowie, są bardzo otwarci na krytykę i nie tak znowu naiwni. Oprócz tego Piekarnia w Nepalu nie jest kolejnym projektem białych kolonizatorów traktujących Nepalczyków jak żebraków bez inicjatywy. Po pierwsze pomysł wyszedł od nich samych – dokładnie od Nyimy Tamanga, lokalnego akty-

*Poruszam bolesne tematy,
ale taka jest rzeczywistość.
**NAPRAWDĘ LEPIEJ JĄ POZNAĆ,
ŻEBY JĄ ZMIENIĆ, NIŻ UDAWAĆ,
że żyjemy w idealnym świecie lub
że ten świat nas nie dotyczy.***

wisty. Otóż wymyślił on sobie, że zbuduje piekarnię dla turystów w jego rodzinnej wiosce, starej części Syabru Bensi. Cały zysk z piekarni miał iść na projekty związane z wioską. I to lokalna społeczność, a nie biali darczyńcy, mieli decydować, na co zostaną wydane zarobione pieniądze. Fantastyczny pomysł, bo skąd my, ludzie żyjący na bogatym Zachodzie, mamy wiedzieć, czego oni potrzebują? A co więcej, nie dajemy im pieniędzy jak żebrakom, co jest poniżające, ale dajemy im lekkiego kopa do przodu, możliwość decydowania o sobie. To jest mały projekt, trzydzieści tysięcy złotych z groszami. Przy tych ogromnych, szalenie ambitnych i szczytnych projektach wielkich organizacji i ONZ-tu, Piekarnia jest Calineczką. Ale śmiem twierdzić, że to w tych wielkich projektach ogromne pieniądze wy-



rzucone są w błoto. Na administrację, na nieprzyzwoicie wysokie pensje białych nadzorców. My pracujemy za darmo, dostajemy zwrot tylko części naszych kosztów.

Najfajniejsze jest to, że Piekarnia, która działa kilka miesięcy, już teraz rozwija się w sposób całkiem zaskakujący. Ponieważ na razie do piekarni nie trafia aż tak dużo turystów, Nyima sam z siebie obniżył ceny i tym samym w Piekarni pojawili się miejscowi. Teraz przesiadują tam turyści i ludzie z wioski. Stolik w stolik! Stąd już tylko krok do interakcji między tymi grupami, które na szlakach turystycznych mają swoje określone role. Czyli turysta jest bogaczem i zatrudnia Nepalczyka, a ten haruje za grosze i jeszcze dostaje po głowie. Ile razy widziałem jak biali turyści siedzą we własnym gronie, a tragarze gdzieś daleko, na uboczu.

Na kartach książki przytaczasz rozmowę z Heleną Norberg-Hodge, która uważa, że masowa turystyka jest przyczyną negatywnych zmian zachodzących w Ladakhu. Czy podobne zjawisko da się zaobserwować również w himalajskich wioskach, takich jak Syabru Bensi?

Niestety wraz z pieniędzmi pojawia się chciwość. Ceny jedzenia na szlaku wołają o pomstę do nieba, miejscowym coraz częściej chodzi tylko o dutki, tak jak naszym „autentycznym” góralom z Krupówek. Nie chciałbym zostać źle zrozumiany – nie jestem przeciwny turystyce jako

takiej, ale na turystach podróżujących w krajach Południa ciąży wielka odpowiedzialność. Powinniśmy szanować tamtejszą kulturę, starać się ją zrozumieć i do niej przystosować, w końcu jesteśmy tam gośćmi, a nie próbować przykroić rzeczywistość do naszych wyobrażeń i przyzwyczajęń. Widziałem turystów w schroniskach na czterech tysiącach metrów krzyczących na Nepalczyków, że standard pokoju nie odpowiada europejskiemu, że woda jest za zimna lub jej nie ma, że trzeba długo czekać na jedzenie. Płacę, co prawda grosze, ale płacę, to wymagam i nie popuszczę!

Albo krew mnie zalewa jak ktoś niemal wchodzi z lufą aparatu na stos pogrzebowy. Trwa ceremonia, ludzie stracili kogoś bliskiego, a ten koniecznie musi mieć egzotyczne zdjęcie. Ciekawe jakbyśmy się czuli, gdyby grupa Japończyków nagle wpadła na nasz pogrzeb i zaczęła pstrykać foty ile wlezie? I co miejscowi o nas wtedy myślą? Że bogaci, zepsuci, niewychowani barbarzyńcy...

Czy masz swoich ulubionych twórców reportażu, którymi się inspirujesz podczas pisania?

Uwielbiam Kapuścińskiego chociaż jego książki czytałem dosyć dawno – nie chcę imitować jego stylu. Ale poglądy na świat, na ludzi, są mi bardzo bliskie. Z kolei Wojciech Jagielski to wzór profesjonalizmu, skromności, dystansu do rzeczywistości.

Teraz czytam częściej po angielsku, raczej z musu, ponieważ o subkontynencie pisze się głównie w tym języku. Mark Tully, Patrick French, William Dalrymple – ci Brytyjczycy są nie tylko dobrymi obserwatorami, świetnymi merytorycznie, ale też mają oryginalne pomysły. Palagummi Sainath i jego książka *Każdy kocha dobrą suszę* (*Everybody Loves a Good Drought*) to przykład dziennikarstwa bliskiego ludziom. Facet latami siedział na wsi, docierał do miejsc, gdzie diabeł mówi dobranoc. Lubię też Basharata Peera, który napisał świetną książkę o Kaszmirze. To temat zazwyczaj przemilczany przez media albo przedstawiany jako konflikt między Indiami i Pakistanem, co jest jakimś kompletnym nieporozumieniem.

na, normalna, rozmówcy są naturalni. Bardzo ważna jest relacja, niż porozumienia z człowiekiem. To, że siedzimy sobie razem, poznajemy się, ponarzekaemy wspólnie na pogodę, ceny w sklepach, czy korki na ulicach. Nie ma tej presji czasu, oka kamery, które patrzy z wyrzutem: „bo się właśnie coś nagrywa”.

Jeśli jest taka możliwość rozmawiam najpierw bez kamery. Ostatnio nagrywałem zeznania nepalskich dziewczynek uprowadzonych do Indii przez handlarza żywym towarem. Zeznania będą dowodem w sądzie, pracowałem z prawniczką zadającą pytania z listy. Było bardzo trudno, przede wszystkim dla dzieci. Jeden wywiad musiałem

przerwać, bo dziewczynka panicznie bała się kamery. Odpuściliśmy, zmieniliśmy otoczenie, a i tak było ciężko.

Dobłą stroną robienia jednocześnie dokumentów i pisania książek, a ja zdecydowanie wolę pisać, jest wymuszanie na twórcy myślenia obrazami i redukcja materiału. Zostaje to, co naprawdę ważne.

Jakie masz plany na przyszłość? Czy myślisz o napisaniu kolejnej książki?

Pracuję teraz nad książką o handlu ludźmi w południowej Azji. Tym razem

postanowiłem skupić się na jednym temacie o wielu wątkach. Tutaj na miejscu, w Azji, zbieram właśnie materiały, potrwa to jeszcze przynajmniej rok. Mam już bardzo mocne, zaskakujące historie, niektóre z nich właśnie teraz się dzieją i aż boli mnie, że muszę na chwilę wrócić do Polski. Jest tu między innymi wątek adopcji między Nepalem a Hiszpanią, gdzie pod przykrywką szczytnych adopcji międzynarodowych trwa w najlepsze handel dziećmi. Przyznam, że akurat ta sprawa, nad którą pracuję dobre trzy lata, bardzo mocno zmieniła moje poglądy na świat i ludzi.

Dziękuję za rozmowę.



Fot. Paweł Skawiński

Ach, no i oczywiście mistrz Tiziano Terzani! Kiedyś będę musiał zabrać się za Chiny, a tam bez Terzaniego ani rusz.

W Nepalu nakręciłeś film dokumentalny o święcie poświęconym bogini Gadhimai, podczas którego dokonuje się rytualnego uboju zwierząt. Poświęciłeś temu również jeden z rozdziałów książki. Jaka jest różnica między tworzeniem reportażu filmowego a książkowego?

Różnica polega na sposobie pracy nad materiałem. Dokument wymaga większej skrótowości, bardzo łatwo stracić kontrolę nad całością i zabić bardzo dobry temat. Ludzie też inaczej rozmawiają, gdy w pobliżu jest kamera; rozmowa bez udziału elektroniki jest bardziej intym-

KSIĄŻKI WYDANE W POLSCE

Karen Gillece – *Dryft*

Tłumaczenie: Natalia Kossakowska

Stopka, 2012

Na rozdrożu

Paulina Surniak

Ciche irlandzkie wybrzeże, domek z werandą i moskitierą na plaży, blisko związana społeczność niewielkiej miejscowości, pogrążona w rozpacz młoda kobieta i jej ukochany z czasów szkolnych. Okoliczności te stanowiłyby doskonały punkt wyjścia dla stereotypowego romansu, jednak powieść Karen Gillece zmierza w bardziej ambitnym i zdecydowanie zaskakującym kierunku.

Lara jest wolnym duchem. Po ukończeniu szkoły wyjechała do Ameryki Południowej, gdzie latami podróżowała w towarzystwie przygodnie poznanych trampów. Związała się z równie niezależnym Alejo, a ich beztruską egzystencję odrobinę skomplikowało pojawienie się dziecka. Nadal jednak przemieszczali się z miejsca na miejsce, a ich synek spędził cztery pierwsze lata życia w drodze. Pewnego dnia jednak, na jakimś zatłoczonym brazylijskim bazarze, mały nagle znika bez śladu. Przez kolejne dwa lata Lara przemierza kontynent w rozpaczliwym, beznadziejnym poszukiwaniu synka, by w końcu poddać się zwątpieniu. Opuszczona przez Aleja, który wcześniej już stracił nadzieję, decyduje się wrócić do domu swojego dzieciństwa i spróbować zacząć życie od nowa.

Po powrocie nic jednak nie jest proste. Lara ogarnięta jest wciąż niepokojem, odnawia i przemeblowuje dom, znajduje pracę, ale to nie wystarcza. Gdy spotka Christy'ego, swojego ukochanego z czasów szkolnych, obecnie szczęśliwie żonatego ojca dwójki dzieci, jej niepokój jeszcze się pogłębia. Jednak proste i oczywiste rozwiązania fabularne w tej książce nie występują, dlatego to nie Lara, lecz właśnie Christy zapomni o całym świecie, rzucając się w wir romansu z dawną ukochaną.

Autorka zgrabnie lawiruje między pozornie oczywistymi zwrotami akcji, zaskakując nas z każdą stroną coraz bardziej. Trójka bohaterów dramatu – Lara, Christy i jego żona, Sorcha, dostają kolejno głos w przeplatających się rozdziałach. Żadnego z nich nie da się obdarzyć sympatią – są albo samolubni, zadufani i zamknięci w sobie, albo krótkowzroczni i pozornie nudni. Trudno im jednak nie współczuć, a przede wszystkim trudno z każdą przewracaną stroną nie czuć się mocniej związanym z ich losem.

Gillece znakomicie portretuje ludzi nieszczęśliwych, zagubionych, którzy stają nagle na rozdrożu. W przełomowych momentach życia zmuszeni są dokonywać wyborów, a potem mierzyć się z konsekwencjami. Powieść pokazuje,

jak łatwo postawić jeden błędny krok, który wywołuje potem lawinę wydarzeń, której nie potrafimy, a przede wszystkim nie chcemy zatrzymać. Lara wypuszczająca na chwilę rączkę synka z dłoni. Christy zatrzymujący wzrok na długich, nagich nogach swojej dawnej ukochanej. Chwile, które zmieniają ścieżkę naszego życia.

Początkowo to Lara najmocniej przykuwa naszą uwagę, wkrótce jednak Christy i Sorcha zyskują własny, mocny głos. Każda postać jest opisana wielostronnie, dogłębnie zanalizowana, stając się przez to prawdziwa i bliska. Z coraz większym niepokojem i zaangażowaniem przewracamy kartki, z przerażeniem i fascynacją obserwując niszczycielską siłę uczuć Christy'ego

i ich wpływ na życie wszystkich zaangażowanych. A gdzieś w tle, stale obecny, czai się niepokój o synka Lary, niepewność, czy żyje gdzieś i czy kiedykolwiek uda się go odnaleźć, i czy jego matka zdoła sobie wybaczyć.

To niezwykle emocjonalna, poruszająca powieść, którą czyta się z lekko ściśniętym gardłem, niespokojnie, a zarazem z niezwykłą przyjemnością, taką, jaką potrafią dać tylko wielobarwne, dobrze napisane, mądre powieści. Nagroda European Union Prize for Fiction jest w pełni zasłużona. ■



Konkurs!

Dla naszych czytelników mamy dwa egzemplarze powieści Karen Gillece pt. *Dryft*, które ufundowało wydawnictwo Stopka. Wystarczy wysłać list na adres:

konkursy@archipelag-magazyn.pl, podając w tytule e-maila „Dryft”, a w treści odpowiedź na pytanie: *Jaką nagrodą została wyróżniona powieść Gillece?*

Termin nadsyłania e-maili mija **15 lipca**. Wśród autorów poprawnych odpowiedzi wylosujemy zwycięzców, których powiadomimy o wygranej drogą e-mailową.

red. Krzysztof Tomasik – *Mulat w pegeerze*.
 Reportaże z czasów PRL-u
 Wydawnictwo Krytyki Politycznej 2011

PRL w reportażu

Anna Bittner

Dziesięć dowodów na to, że życie w PRL nie było jednolite, zaplanowane i zdominowane przez ZOMO, stan wojenny i ucisk. Dziesięć dowodów, że PRL to nie tylko przyjemny folklor, z którego można się pośmiać czy powspominać. Dziesięć dowodów, że każda z historii zawarta w tym zbiorze, mogła wydarzyć się także dziś.

PRL przewija się w tle opowiadań – szarzy ludzie, kolejki i niedostatki rynku odgrywają rolę poboczną, rozplywają się na dalszym planie. Na pierwszym stoi człowiek i jego historia – uniwersalna, poruszająca tak samo teraz, jak i trzydzieści lat temu.

Krzysztof Tomasik wybrał dziesięć reportaży, które ukazały się w latach 1976-1990 w serii *Ekspresu Reporterów* – co miesiąc w kiosku dostępna była niewielka książka z trzema reportażami. Redaktor pragnął szczególnie ukazać obyczajowość schyłkowego PRL-u, uciec od dwóch głównych trendów, jakie dominują w narracjach dotyczących tamtych czasów – koncentracji na ucisku społeczeństwa lub stylizacji w stylu Barei.

Gama tematów poruszanych w reportażach jest bardzo szeroka. Pierwszy z nich przenosi nas do Argentyny – na statku reporter spotyka starszą kobietę, która regularnie przemierza drogę między Polską a Buenos Aires, nie mogąc odnaleźć swojego miejsca na ziemi. Tęsknota za ojczyzną każe jej brać na swoje barki niedogodności rejsu, jednak niesnaski z rodziną, oczekującą wsparcia finansowego, oraz wygoda życia w Argentynie mają znaczny wpływ na zmianę decyzji.

Tytułowy reportaż przyciąga komizmem tytułu. *Mulat w pegeerze* to ciemnoskóry chłopiec, który jest owocem jednego wspólnego wieczoru skromnej licealistki i obojętnego jej Nigeryjczyka. Dziewczyna ulega presji rodziny, środowiska i narzeczonego i oddaje synka do domu dziecka. Decyzji tej jednak wkrótce pożałuje, ale gdy będzie próbowała odzyskać dziecko, trafi na niezrozumiały opór dyrektora placówki.

Poruszająca jest również historia samotnej, biednej kobiety, po której śmierci nagle pojawia się dalsza rodzina, szukająca ukrywanego przez nią skarbu i podejrzewająca opiekującą się staruszką sąsiadki o kradzież.

Szczególnie dotyczą jednak losy zakatowanego Daniela, który mieszkał z ojcem i kochającą macochą. Źle pojęta miłość i sposób wychowania doprowadziły chłopca do śmierci.

Najbardziej peerelowska wydaje się być historia ruchu nudystów oraz ich perypetii w znanych z hitu *Wodeckiego Chałupach*. Teraz golasy już tak nie dzielą opinii publicznej, a ostry proces mieszkańców wiosek położonych w pobliżu plaż, uczęszczanych przez naturystów, wydaje się być wręcz komiczny.

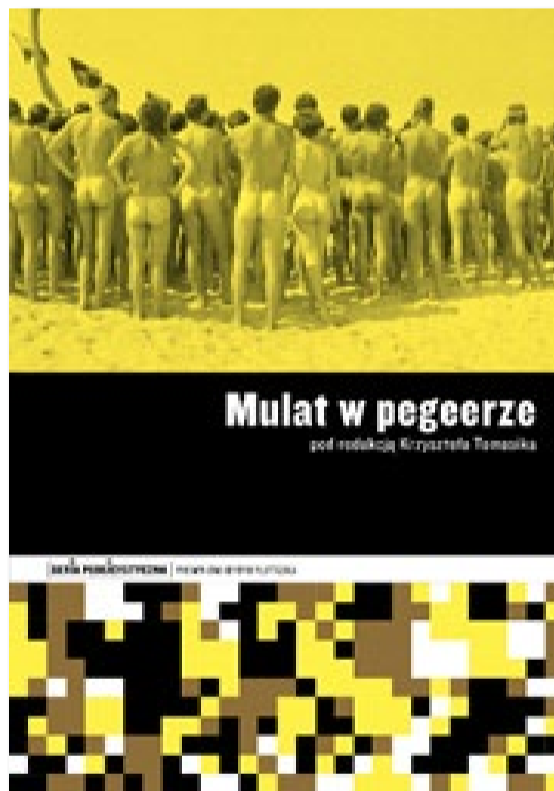
Z kolei przeszkody na jakie trafiła kobieta uwięziona w ciele mężczyzny także przypominają o ówczesnej biurokracji i niedoskonałości przepisów, ale czy dziś nie byłoby transseksualiście równie trudno odnaleźć akceptację wśród społeczeństwa?

Praca opiekunek społecznych, zamiana dzieci w szpitalu, życie warszawskich prostytutek oraz wakacje dla rolników szukających partnerek – we wszystkich tych reportażach trudno oprzeć się wrażeniu, że ich treść nie odbiega od znanej nam rzeczywistości.

Różnorodność tematyki reportaży przekłada się także na ich styl – każdy tekst utrzymany jest w nieco innej konwencji, ale poziom wszystkich jest bardzo wyrównany. Jak słusznie zauważa

we wstępie Tomasik, każdy z nich mieści się w znakomitej polskiej tradycji reportażu. Autorzy potrafią wywołać w czytelniku cały wachlarz emocji, pośród których współczucie wysuwa się na pierwszy plan. Dzięki nim szaro-bura optyka PRL-u przestaje odgrywać główną rolę. Tutaj nacisk kładzie się na człowieka i jego zmaganie z przeciwnościami losu.

Zdecydowanie warto wrócić do PRL, uciec od jego stereotypowej wizji i uzupełnić własny obraz ówczesnej rzeczywistości. ■



Łuskanie prawdy

Joanna Wonko-Jędryszek

Rosja wyłaniająca się z reportaży i esejów polskich podróżników i dziennikarzy ma wiele oblicz. Wzbudza też wiele kontrowersji, w dużej mierze między samymi autorami piszącymi o tym kraju. Pojawiają się zarzuty o nieprawdziwej Rosji, Rosji stereotypowej, dopisywaniu zdarzeń i obrazów, które nigdy nie mogły mieć miejsca...

O tych potyczkach wspomina w swoim zbiorze reportaży, zatytułowanym *Łuskanie światła*, Jędrzej Morawiecki. Po ukazaniu się części tekstów w gazetach, Morawiecki wdał się w dyskusję z innymi specjalistami od pisania o Rosji, którzy nierzadko zarzucali mu koncentrowanie się na z pozoru nic nieznaczącej sekcie wissarionowców, która stworzyła „Zonę” – Nowe Jeruzalem w syberyjskiej głuszy. Odpowiedź Morawieckiego można streścić w jednym zdaniu: to też jest Rosja. I właśnie ta różnorodność tematów dotyczących rosyjskiego imperium, wielorakość kultur, środowisk oraz postaw tworzy niejako główny motyw reportaży Morawieckiego, przy czym autor skupia się głównie na duchowości i potrzebie jej szukania.

Sekta wissarionowców utworzyła się wokół byłego milicjanta, Wissariona, który pewnego dnia uznał, że jest nowym wcieleniem Chrystusa. I choć przed nim było wielu z podobnymi ambicjami, a części udało się nawet zgromadzić wokół siebie wiernych, zwolennicy Wissariona poszli za nim w dziką tajgę, gdzie z pionierską energią i żarliwą wiarą w sercach zaczęli tworzyć i rozbudowywać trzy osady. Wyznawcy są weganami, nie stosują systemu pieniężnego, żyją we wspólnotach i starają wspierać się nawzajem. Przynajmniej tak wygląda Zona, kiedy Morawiecki trafia do niej po raz pierwszy w latach 90. Osady istnieją już od lat, ludzie nadal walczą z niegościnną tajgą, jedzą proste potrawy, jak choćby placki z szyszek, oczy większości błyszczą determinacją i przekonaniem, że to właśnie tam toczy się prawdziwe życie. Część wissarionowców odwiedza świat zewnętrzny, twierdzą jednak, że z ulgą uciekają od wszechobecnego

konsumpcjonizmu, sztuczności i tandety w surowy krajobraz Syberii, do ludzi otwartych i chętnych do pomocy.

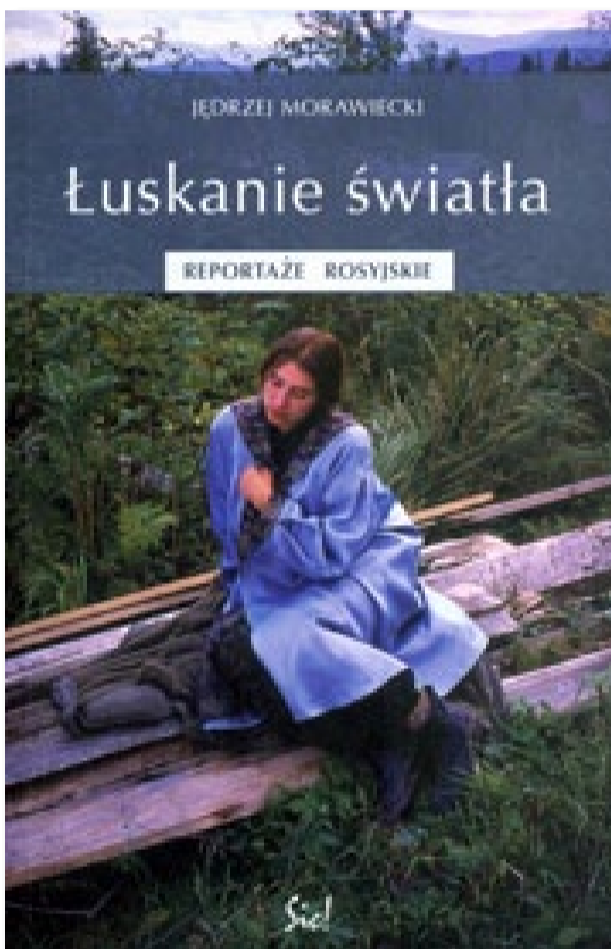
Morawiecki słucha bohaterów swojego reportażu z uwagą, nie osądzając ich. *Łuskanie światła* jest także zapisem jego własnej drogi, poszukiwania duchowości w Rosji, zrozumienia rosyjskiej duszy. I choć właściwie brak tu prywatnych wtętoń jeśli chodzi o religię, między wierszami nietrudno odczytać kolejne fazy, które przypisać można także wielu wyznawcom kultu syberyjskiego Chrystusa: fascynacja sektą, głębsze poznanie, a wreszcie dostrze-

ganie rys, wątpliwości, kryzys wiary. Dalsza ścieżka jest już osobistym przeżyciem, które ciężko zaliczać do konkretnej grupy zachowań.

Syberyjska sekta to nie jedyny temat Morawieckiego. W *Łuskaniu światła* znalazły się zapisy podróży koleją transsyberyjską, poetycki i melancholijny opis dworca na Białorusi, opowieść o kazachskiej wsi, z której wierzni wybierali się na spotkanie z papieżem, sytuacja religii w Bułgarii, wiele obrazków ze współczesnej Rosji... Historie łączy pierwiastek duchowości, szukania jej, odradzania się na nowo w ludziach duszy – co niekoniecznie musi mieć związek z religią, a tym bardziej nie z żadną konkretną. Chodzi o wyłuskiwanie prawdy z codziennego życia, światła z ponurej egzystencji. Nie należy spodziewać się odpowiedzi, nie

jest to rozprawa teologiczna. Pewna część prawdy tkwi w samym szukaniu.

Przede wszystkim jednak Morawiecki portretuje współczesną Rosję, a robi to niezwykle subtelnie i z czułością, która udziela się czytelnikowi. Negatywny obraz tego kraju tak dobrze znany z popkultury, polityka wzbudzająca skrajne emocje – to tylko część prawdy. Istnieje też wiele innych odsłon Rosji, istnieją wrażliwi ludzie i bogata, pełna fantazji rosyjska dusza. I właśnie ten ogrom doświadczeń, przeciwieństw i pytań bez odpowiedzi – to właśnie jest prawdziwa Rosja zdaniem Morawieckiego i nietrudno przyznać mu rację. „To mogło się stać tylko tu, tylko w Rosji” mówi jeden z bohaterów reportażu opisując powstanie Zony. Czytając te wzruszające i malownicze reportaże nie sposób się z nim nie zgodzić. ■



Kurt Vonnegut – *Niech pana Bóg błogosławi, panie Rosewater*

Tłumaczenie: Lech Jęczmyk

Książka i Wiedza, 1976

Smutne jarzmo bogactwa

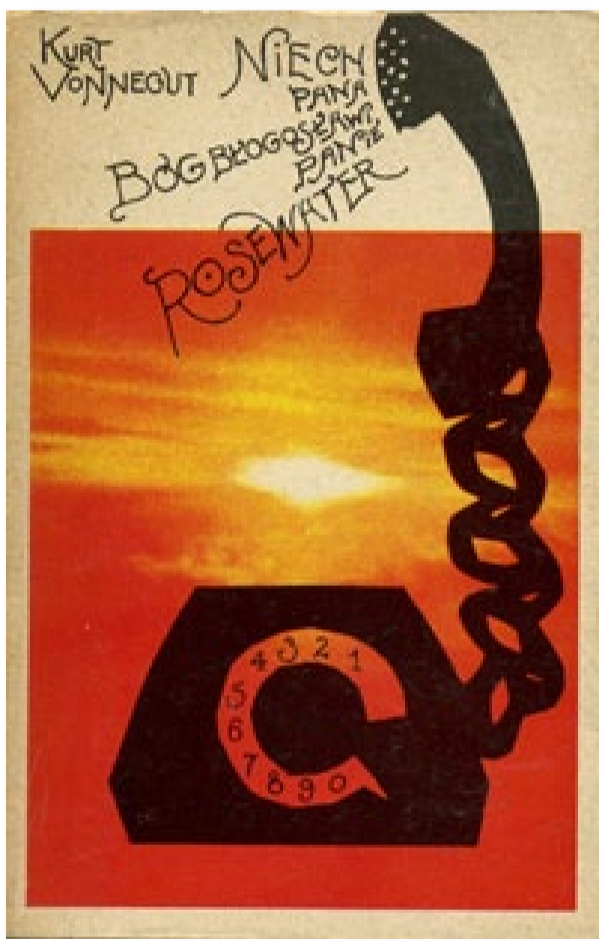
Anna Maślanka

Najogólniej rzecz biorąc, *Niech pana Bóg błogosławi, panie Rosewater* jest książką o bogatych i biednych, o tym towarzyszącym ludzkości niemal od zarania dziejów podziały, magicznej granicy którą ci „z dołu” wiecznie pragną przeskoczyć, ale udaje się to tylko niektórym. Rzadkością natomiast są jednostki, które pragnęłyby ten próg przekroczyć w drugą stronę – takie, którym jarzmo majętności nieznośnie ciąży. A jednostką taką jest właśnie główny – i tytułowy zresztą – bohater opisywanej powieści Kurta Vonneguta.

Eliot Rosewater, syn senatora, odziedziczył po ojcu prezesurę Fundacji Rosewatera i, co z tym związane, ogromną fortunę. Zamiast jednak, zgodnie z zamysłem tatusia, godnie sprawować swój urząd i prowadzić unormowany, pozbawiony ekscesów tryb życia, Eliot zaszywa się na głębokiej prowincji, pije na umór, chodzi wiecznie ubrany w ten sam garnitur i bawi się w lokalnego mesjasza, rozdając dolary Fundacji każdemu, kto tylko jest w stanie sklecić i odtworzyć niekoniecznie nawet wiarygodną, ale odpowiednio naładowaną dramatyzmem historyjkę na swój temat. Dostarcza w ten sposób pewnemu młodemu, błyskotliwemu i bardzo chciwemu prawnikowi nadziei na uszczknięcie dla siebie smacznego kęsa ze sławnej fortuny Rosewaterów. Ten pazerny młodzian zamierza udowodnić, że Eliot jest niepoczytalny i doprowadzić do przekazania majątku Fredowi Rosewaterowi, przedstawicielowi zubożałej gałęzi rodziny – a gdzie wielkie pieniądze przechodzą z rąk do rąk, tam zawsze jakaś drobina skapnie w dłoń asystującego całej procedurze prawnika.

Gdyby się uprzeć, można by tę powieść interpretować jako płomienną pochwałę komunizmu. Powstrzymują jednak przed tym zbyt zróżnicowane postawy zarówno bogatych, jak i biednych wobec sytuacji materialnej i społecznej, w jakiej się znaleźli. To prawda, że mamy nadętego i zaskorupałego w swoich poglądach senatora. Mamy i Stewar-

ta Buntline’a spędzającego całe dnie na spaniu; jego tępą i kłótliwą, kreującą się na wielką wielbicielek muzyki klasycznej żonę; jego dziadka, autora odrażającej przysięgi, w której podopieczni prowadzonego przez niego sierocińca korzyć mieli się przed bogatymi i z pokorą przyjmować to, co przynosi los. Mamy również Kicię Weedsa, homoseksualnego właściciela knajpy, w której w ramach rozrywki goście w wyznaczonych godzinach obserwują przez lornetkę połów ryb w wykonaniu miejscowego rybaka i jego synów (jakiż to bowiem uroczy, barwny folklor!). I mamy – z drugiej strony barykady – Harry’ego Penę, tegoż rybaka, lejącego ze swej łodzi na bogaczy ciepłym moczem (niemal dosłownie), i służącą Buntline’ów, Selenę Deal, najbardziej bystrą, inteligentną i szczerą postać tej książki, bezlitośnie obnażającą głupotę wyższych sfer. Czyli – źli bogacze i dobrzy biedacy.



Ale jest i druga strona medalu. Na pierwszy plan wysuwa się tu oczywiście Eliot oraz jego żona, której szlachetne pobudki zdają się być tłumione jedynie przez wyniesioną z domu moralność bogatych (co zaowocowało długotrwałym napięciem nerwowym i problemami psychicznymi), a i u Stewarta w młodości notuje się zryw poświęcenia dla tych, którzy nie mieli w życiu takiego szczęścia jak on. Bo w końcu, o czym wspomina Eliot, a co warto podkreślić, mówimy o fortunach, które obecnie są już tylko dziedziczone, więc przypadają w udziale potomkom wielkich rodzin bez żadnej zasługi; zresztą i przodkowie Rosewaterów czy Buntline’ów nie zdobyli ich wcale uczciwą drogą ciężkiej pracy, lecz głównie dzięki kombinatorstwu i spekulacji. I wśród

dalekich przodków Rosewaterów znaleźli się wywrotowcy – jak John Rosewater, o którym Fred czyta w spisanej przez swego ojca historii rodu – którzy woleli odżegnać się od czcigodnego nazwiska i zbytkownego życia i wieść skromne, anonimowe życie na wsi. Pojawia się w tej książce także cały szereg biedaków sprawiających jak najgorsze wrażenie, pozbawionych odrobiny oleju w głowie, prostaczków, którzy wręcz wymagają dominowania nad nimi i mówienia im, co mają robić. Tacy gdyby nawet z dnia na dzień zostali obdarzeni dużą sumą pieniędzy, nie mieliby pojęcia co z nią zrobić – raczej dostaliby od tego małego rozumu i pozbyliby się jej w najgłupszy możliwy sposób. To do nich odnosi się podtytuł tej książki – *Perły przed*

wieprze. Ciekawy jest jednak fakt, że to Selena Deal używa tego określenia i zastanawia się, jak bardzo jest słuszne w odniesieniu do niej – a Selena, choć z biedoty, jest ewidentnie ostatnią, którą można by do tych „wieprzy” zaliczyć. Jak bardzo różni się od tamtych powtarzających jak papuga swe podziękowania i błogosławieństwa służalców ta sprytna, mądra dziewczyna!

Vonnegut w interesujący sposób rysuje także różnice między bohaterami z różnych warstw społecznych wykorzystując ich stosunek do seksualności. W kilku opowiadaniach z tomu *Witajcie w małej przyszłości* opętanych myślą o kontrolowaniu własnego popędu, pragnących wyeliminować zupełnie pożądanie jako pierwotny instynkt stojący na przeszkodzie postępowi i samodoskonaleniu ludzkości. Bardzo podobną postawę prezentuje senator Rosewater – ten czołowy przedstawiciel bogaczy, czyli grupy najbardziej wpływowej i wedle wszelkiego prawdopodobieństwa mającej w najbliższym czasie sprawować władzę nad światem, to purytanin reagujący komicznym przestraszeniem na wszelkie przejawy seksualnego pociągu, utożsamianego przez niego z brudem i grzechem. Osobliwym punktem zapalnym jest dla niego owłosienie łonowe („Senator był wstrząśnięty. Zmroziły go zwłaszcza słowa o uwłosieniu łonowym. Widział w życiu bardzo niewiele nagich ciał ludzkich, może pięć lub sześć, i uwłosienie łonowe było dla niego czymś najbardziej wstydliwym i nieprzyzwoitym na świecie”) co zresztą znalazło swój wydźwięk w tzw. ustawie Rosewatera, a konkretnie – w zamieszczonej tam definicji pornografii (którą senator uważa za swoje szczytowe osiągnięcie – z dawna oczekiwane jasne rozgraniczenie między sztuką a tym co sprośne i niegodne tego miana): „Pornografią jest każda ilustracja, materiał dźwiękowy lub tekst zwracający uwagę na części rodne, odchody lub uwłosienie łonowe”.

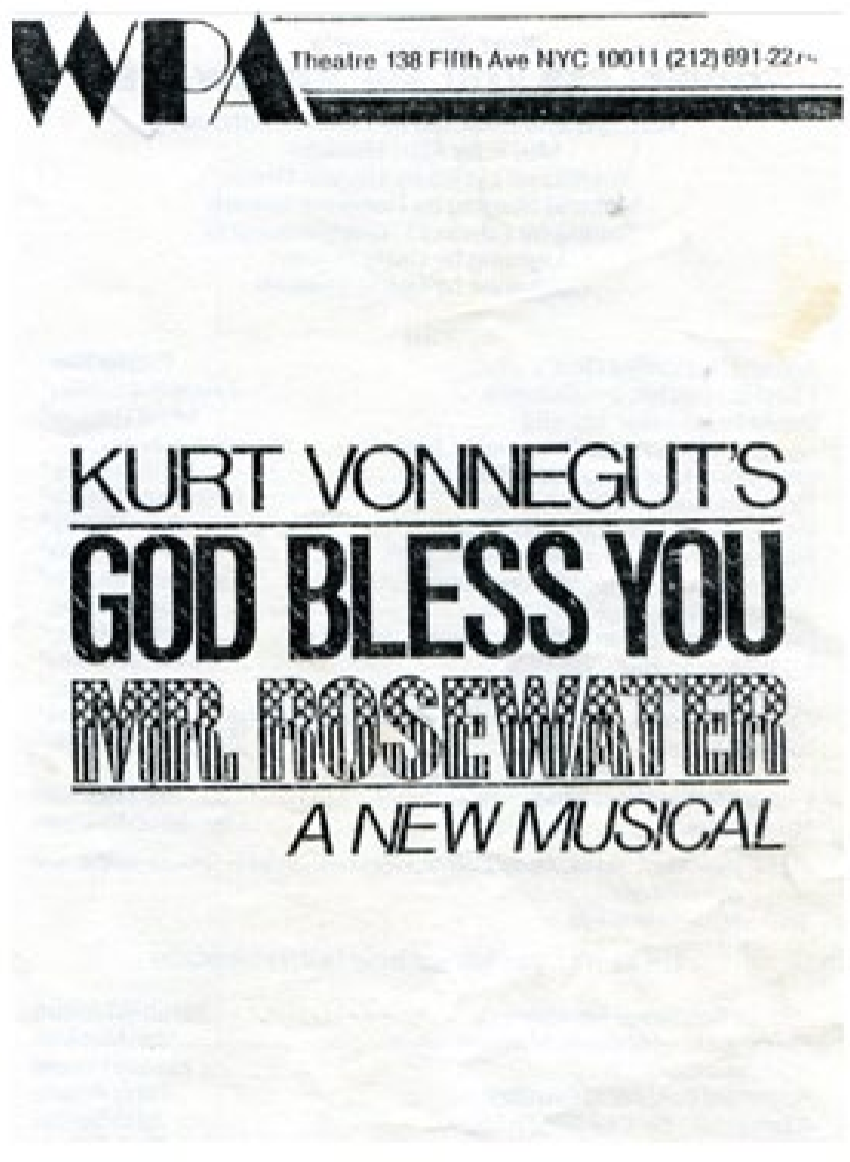
Pogląd ten przypomina nieco stosunek do cielesności tołstojowskiego Pozdnyszewa. Przekonanie, że koniecznym warunkiem zbawienia ludzkości jest wyeliminowanie lub chociaż zepchnięcie na margines pożądania zdaje się

łączyć bohatera *Sonaty Kreutzerowskiej* i senatora Rosewatera, choć powołani zostali do życia w odstępie kilkudziesięciu lat. Co jeszcze ciekawsze, wydaje się, że w dzisiejszych czasach tendencje są odwrotne niż by to sugerowały te teksty powstałe kilkaset i kilkadziesiąt lat temu; nie tylko nie upatruje się ideału w wyzwoleniu od pożądania, a wręcz podsyca się to pożądanie, stawia się je na piedestale i podporządkowuje mu inne cele. Nie tylko nie zostało ono zmarginalizowane, ale zaczęło wręcz być wykorzystywane do osiągnięcia korzyści i zdobywania władzy. Taka tendencja zresztą wcale tak bardzo nie dziwi – w końcu człowiek idealny senatora Rosewatera i Pozdnyszewa to mrzonka; nie da się na siłę zmienić ludzkiej natury.

Wisienką na torcie, którym jest niewątpliwie *Niech pana Bóg błogosławi, panie Rosewater*, jest postać Kilgore’a Trouta

(czyli zgodnie z jednym z polskich tłumaczeń, wyjątkowo niefortunnego „Pstrąga Zabijuchy”), stały refren powtarzający się w wielu książkach Vonneguta, tajemniczy pisarz, ponoć alter ego samego autora. Kim jest, jaką rolę odgrywa w tej powieści? Mamy jego, i mamy pisarczyka, którego Eliot Rosewater miał być mecenasem. Choć celem i jednego i drugiego było głoszenie prawdy, ten drugi zdaje się podchodzić do tego od zupełnie złej strony – prawda to dla niego zbiór sprośności, na zasadzie „im bardziej kontrowersyjne, tym bardziej jest prawdą”. Czyżby autor chciał w ten sposób wykpić też pewną tendencję wśród twórców jemu współczesnych?

Czego by nie powiedzieć o Vonnegucie, na pewno upodabania go do Trouta umiłowanie prawdy i bezkompromisowe jej ujawnianie. Problemy poruszane przez niego w opisywanej powieści są aktualne do dziś (i będą zapewne aż do skończenia świata), a mocno ironiczny i zarazem refleksyjny styl, będący niejako jego znakiem firmowym, gwarantuje pierwszorzędną lekturę. ■



plakat musicalu *Niech pana Bóg błogosławi, panie Rosewater*, wystawionego w 1978 roku w Nowym Jorku.

Alexandra Cavellius, Rebija Kadir – *Szturmując niebo*.
Opowieść o życiu chińskiego wroga numer jeden
Tłumaczenie z języka niemieckiego Urszula Poprawska
Czarne, Wołowiec 2011

W walce przeciwko chińskiej opresji

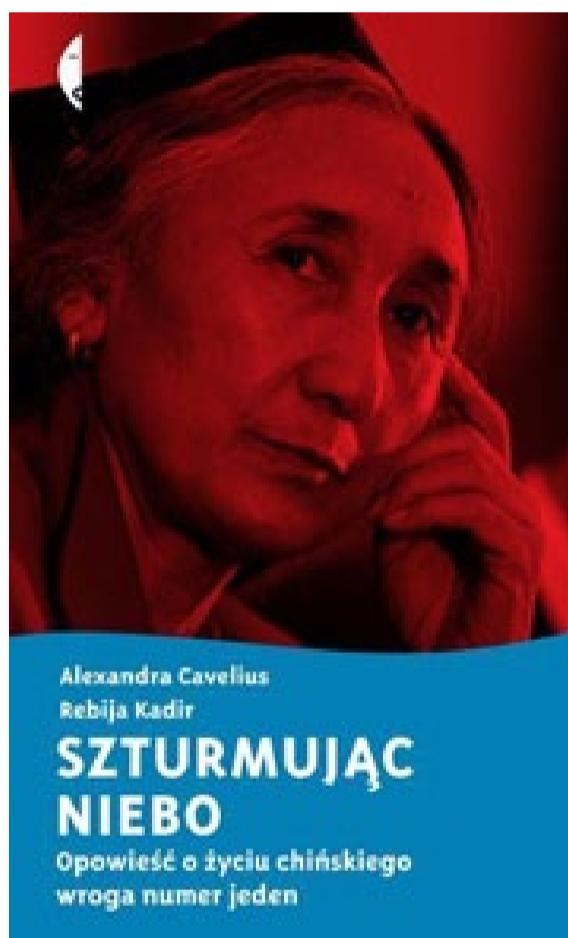
Kamila Kunda

Rebija Kadir jest kobietą nietuzinkową. Od wczesnej młodości walczy o prawa mniejszości ujgurskiej i dziś uchodzi za jedną z najbardziej znanych aktywistek politycznych. Wychowała się we wsi dawnego Turkiestanu Wschodniego i mimo iż nie zdobyła solidnego wykształcenia, dorobiła się (przede wszystkim na handlu i nieruchomościach) fortuny, którą wykorzystywała, by pomagać swemu narodowi i nagłaśniać jego cierpienie. A przy tym Kadir jest szczęśliwą żoną i matką jedenaściorga dzieci. Poprzez pielęgnację ogniska rodzinnego nigdy jednak nie wykorzystywałaby całego swojego potencjału. Nie tego zresztą od niej oczekiwano. Kadir pisze: „*Nie jesteś naszą własnością, jesteś własnością narodu!* Wychowywałam się, mając w pamięci to przesłanie moich rodziców. Ilekroć biegłam przez podwórze, aż fruwał za mną mój czarny warkocz, mama upominała: *Jeśli nie będziesz pomagać innym ludziom, całą rodzinę dotknie nieszczęście*”. Niełatwo jest więc zapomnieć o swych obowiązkach, gdy rodzina i naród stanowią całą wartość.

O walce Tybetańczyków o niepodległość słyszał chyba każdy, o muzułmańskiej mniejszości Ujgurów, jednym z najstarszych plemion tureckich, wciąż wie niewiele osób na świecie. Problemy obu grup są podobne. Rząd chiński od wielu dekad usiłuje zniszczyć kulturę ujgurską. Utrudnia Ujgurom edukację i dostęp do wielu stanowisk pracy, nie zezwala na swobodne przemieszczanie po kraju i osiedlanie. Przeinacza historię, zabraniając mówienia o sławetnych bohaterach narodowych i rozprowadzania ujgurskich baśni i legend. Ujgurom nie wolno celebrować wszystkich świąt narodowych ani spotykać się w większym gronie, by zgodnie z tradycją wspólnie jeść, tańczyć i śpiewać. Ogranicza się populację społeczności, stosując przymusowe aborcje, sterylizację lub uśmiercając niemowlęta w szpitalach. Ktokolwiek sprzeciwia się zakazom czy nakazom naraża siebie i swoją rodzinę nie tylko na szykany, utratę domu czy miejsca pracy, ale także na więzienie, tortury i/lub śmierć. Rebija Kadir pisze o tym wszystkim z wielką szczerością i otwartością, wymieniając często zarówno uciskanych, jak i uciskających z nazwi-

ska. Wyznaje zasadę, jaką wpoił jej ojciec, gdy była jeszcze dzieckiem: „Prawdziwy Ujgur ma swoją godność i nie czuje lęku”. Sama więziona przez wiele lat za swoją działalność – oficjalnie o obrońcach tradycji ujgurskich rząd chiński mówi, iż są separatystami i terrorystami – znosiła złe traktowanie z godnością. Nie zapomniała jednak o krzywdach, jakich doznała i jakich doznali jej rodacy.

Dziś Rebija Kadir mieszka z mężem, intelektualistą ujgurskim Sidikiem Rouzim, i kilkorgiem dzieci w Stanach Zjednoczonych. Jeszcze mieszkając w Chinach zdobyła kilka ważnych nagród międzynarodowych za swoją działalność na rzecz praw człowieka i obecnie nie ustaje w wysiłkach, by Ujgurzy zaznali wreszcie spokoju i cieszyli się wolnością. W książce opisuje swoje życie, jego słoneczne i ciemne strony. Z kart przebija jej nieposkromiona pasja, niebywała energia i bezgraniczne oddanie narodowi ujgurskiemu. Język, jakim napisana została książka *Szturmując niebo*



nie jest na najwyższym poziomie, niektóre zdania brzmią bardzo niezgrabnie, ale Rebija Kadir to nie pisarka, lecz aktywistka społeczna, dla której wartość literacka dzieła ma mniejsze znaczenie niż jego walory edukacyjne. Dużym plusem jest przystępność tej książki, czyta się ją jak fascynującą powieść, strony niemal same się przewracają. Lektura pozostawiła mnie w absolutnym podziwieniu dla determinacji Kadir, jej siły i głębokiego pragnienia poprawy losu Ujgurów. Wielu poddałoby się już dawno temu, ale nie Kadir. Wielokrotnie doświadczyła rażącej niesprawiedliwości, była wyrzucana z domu, traciła opiekę nad dziećmi, jej majątek był konfiskowany, a ona podnosiła się z dna i parła naprzód. W *Szturmując niebo* Rebija Kadir wypowiada się w imieniu tych, którym głos został odebrany. Pozostaje nadzieja, że problemy Ujgurów zostaną dostrzeżone i że świat dowie się o nich, choć trudno uwierzyć, by ich sytuacja poprawiła się szybko. ■

Biografia nietuzinkowego człowieka i jego epoki

Stefania Szostok

Książkę *Korczak. Próba biografii* czyta się jak nieco melancholijną, lecz trzymającą w napięciu powieść. Jej fabuła ma naturę niemal egzystencjalistyczną – wszyscy bowiem wiemy, jak ta historia się kończy. O tragicznej śmierci Starego Doktora i dzieci z jego Domu Sierot napisano mnóstwo uwznioślających panegiryków, wszyscy słyszeliśmy tę opowieść w szkole, niektórzy oglądali film Wajdy. Autorka poświęca temu straszmemu wydarzeniu tylko ostatni, najkrótszy rozdział. Towarzyszy swym bohaterom do chwili zamknięcia ich w bydłących wagonach zmierzających do Treblinki. O tym, co działo się dalej, nie da się mówić, można tylko milczeć.

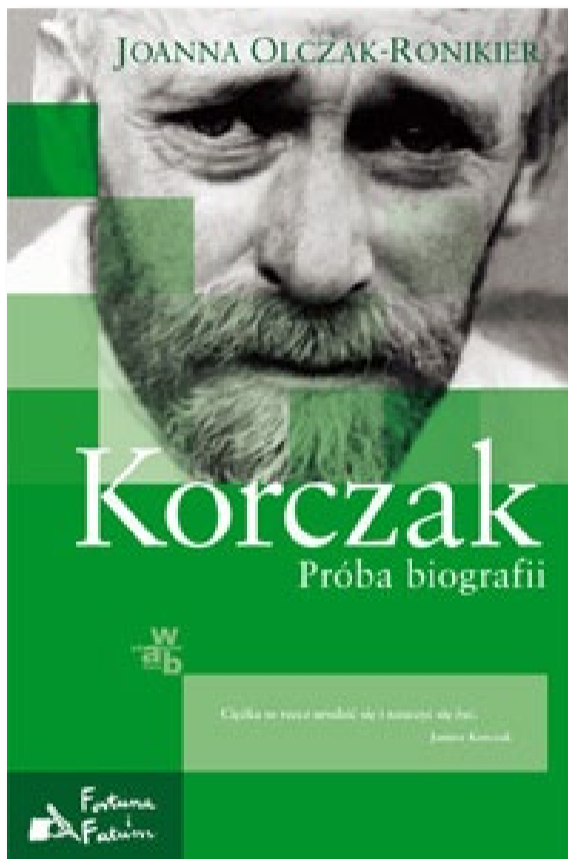
Mówić natomiast trzeba o życiu. Joanna Olczak-Ronikier opowiada z ogromną delikatnością o niejednoznacznych, nierzadko kontrowersyjnych wyborach dr. Henryka Goldszmita, zwanego Januszem Korczakiem. Nigdy nie nagina faktów, nie stara się wyobraźnią wypełnić białych dziur w życiorysie doktora (a jest ich sporo). Jej dzieło pełne jest za to znaków zapytania. Odbrażawia znany z czytanek dla dzieci patetyczny wizerunek Starego Doktora, a jednocześnie powstrzymuje się przed (modnym ostatnimi czasy w biografiach) skupianiem uwagi na kontrowersyjnych, niemiłych szczegółach. Osobę Korczaka, jego błędy, humory, konflikty autorka traktuje z wyrozumiałością, lecz oczywiście niczego nie przemilcza. Przed oczyma czytelnika staje w ten sposób człowiek daleki od ideału, rozdarty, nieszczęśliwy i przeraźliwie samotny, a przy tym wszystkim wyróżniający się pewną rzadką w owych czasach cechą – wielką zdolnością rozumienia dzieci i ich potrzeb. Zdumiewa, w jaki sposób Korczak, któremu nieobce były stany depresji, w którego duszy było wiele goryczy i poczucia marności swej misji, potrafił dla „swoich” dzieci być po prostu dobrym ojcem. Ojcem kochającym, traktującym dziecko z szacunkiem i na równi z dorosłymi. Temu pozostał wiernym do końca.

Dla czytelnika może być zaskakującym odkrycie, że Janusz Korczak w pewnym sensie wyprzedził swoją epokę. Propagował bowiem i wprowadzał w życie

sposób komunikacji z dzieckiem oparty na wzajemnym szacunku, a nie na przemoc, podobny do tych, które dziś promuje wielu psychologów i pedagogów (np. Marshall B. Rosenberg, Thomas Gordon). Już wtedy wiedział on, że wychowywanie metodą kija i marchewki przynosi odwrotny do zamierzonego skutek. Wielka musiała być jego empatia, kiedy w międzywojennej Polsce, gdzie dzieci nierzadko umierały z niedożywienia, potrafił na równi z fizycznymi postawić potrzeby duchowe dziecka. Parafrazując tytuł znanego poradnika Adele Faber i Elaine Mazlish, Korczak potrafił mówić tak, żeby dzieci go słuchały oraz tak słuchać, żeby dzieci do niego mówiły. Żadna, nawet najbardziej błaha dziecięca tragedia nie była przez niego odbywana, a jeśli mu się zdarzyło, to drugi dzień rano odszukiwał takie dziecko i przepraszał.

Korczakowski model wychowawczy był na wskroś nowoczesny, w owej epoce unikatowy, przy tym jednak bardzo idealistyczny. I może właśnie dlatego był często krytykowany przez współpracowników, włącznie z „matką” Domu Sierot Stefanią Wilczyńską, oraz byłymi wychowankami. Olczak-Ronikier nie stroni od tych trudnych spraw, które z pewnością przyczyniły się do tego, że doktor pod koniec życia miał wielkie poczucie przegranej. Janusz Korczak stworzył swoje metody wychowawcze w świecie, gdzie wpajane przez niego dzieciom wartości, takie jak szacunek, odpowiedzialność i duma ze swej (żydowskiej) tożsamości, znaczyły bardzo niewiele. Okrutnym wydaje się dziś wiek, w którym nieprzygotowani do życia wychowankowie, pozbawieni wykształcenia czy konkretnego zawodu, musieli opuszczać dom – 14 lat. Wychowywani pod korczakowskim kloszem, nauczeni tolerancji i wzajemnego szacunku, szli w świat, gdzie nikt ich, jako Żydów i jako dzieci, nie szanował.

W czasie lektury poruszają też osobiste wspomnienia samej autorki. Bohater jej biografii nie jest pisarce obojętny, to ktoś niemal z rodziny. Dziadek Joanny Olczak-Ronikier, Jakub Mortkowicz, był wieloletnim wydawcą Korczaka

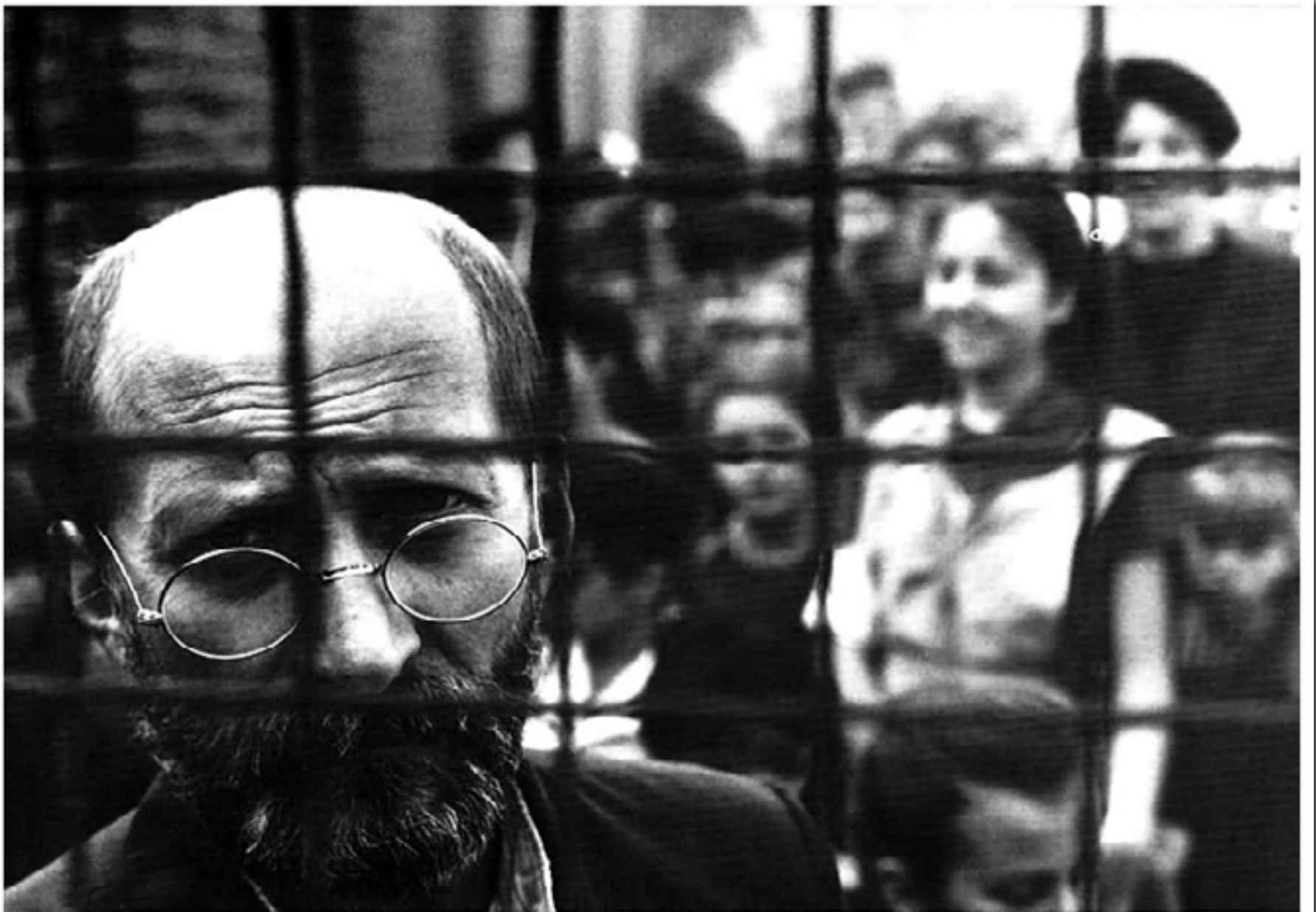


i jego przyjacielem. Bliskie stosunki łączyły Starego Doktora także z matką i babką autorki. Ona sama, będąc kilkuletnią dziewczynką, znała go jako częstego gościa w rodzinnym domu. Hanna Mortkowicz-Olczak (matka Joanny), napisała również jedną z pierwszych biografii Korczaka, z którą córka często polemizuje. Matka, pisząc, chciała wystawić doktorowi pomnik. Córka pomnik burzy, zamiast niego budując coś o wiele cenniejszego – portret zwykłego, a jednak wyjątkowego człowieka.

Wielką zaletą książki Olczak-Ronikier jest to, że tak naprawdę jest ona także fragmentaryczną biografią wielu innych ciekawych ludzi tamtej epoki: wychowawców, podobnie jak Korczak całym sercem oddanych dzieciom, filantropów, postaci życia publicznego, przyjaciół i współpracowników Starego Doktora, wychowanków, a nawet po trosze dziadka i babki samej autorki. To także książka o tamtych niezwykle barwnych, lecz dalekich od pokoju i prosperity czasach. Czytanie *Korczaka. Próby biografii* to świetna powtórka z lekcji historii, w odróżnieniu jednak od tej ostatniej wydarzenia przywołane piórem autorki wywołują autentyczne wzruszenie lub grozę. Nigdy nie sądziłam, że będę walczyć ze łzami czytając opisy walk we wrześniu 1939r., a następnie wkroczenia

Niemców na ulice Warszawy. A jednak. Bo Joanna Olczak-Ronikier napisała o tym z perspektywy zwykłych ludzi, przerażonych tym, co działo się z ich miastem, które pod nalotem bomb zamieniało się w gruzowisko. Tej bliskiej człowiekowi perspektywy autorka trzyma się przez cały czas trwania narracji. A przy tym udaje jej się uniknąć wielkiej pułapki w tego typu książkach – nadmiernego sentymentalizmu, celowego wyciskania emocji z czytelników. Jednym słowem jej książka to dzieło niezwykle wyważone, bardzo warte przeczytania. ■

Wojciech Pszoniak w roli Janusza Korczaka w filmie *Korczak* w reżyserii Andrzeja Wajdy z 1980. 



Stefan Czerniecki – *Dalej od Buenos*
Wydawnictwo Bernardinum, 2011

Z Czernieckim po Argentynie

Anna Bittner

Stefan Czerniecki – kartograf i miłośnik gór, podróżnik z krwi i kości – zabiera czytelnika na trzymiesięczną wyprawę do Argentyny, Chile i Boliwii. Nie jest to luksusowa wycieczka, lecz trekking z plecakiem do najodleglejszych zakątków Ameryki Południowej i jej najrzadziej uczęszczanych parków narodowych.

Czerniecki przylatuje do Buenos Aires, skąd wyrusza na południe Argentyny. To wytrawny podróżnik – dobrze przygotowany, świetnie wie, co chce zobaczyć i jak się do wybranych miejsc dostać. Porusza się pieszo lub lokalnymi autobusami, nawiązuje kontakty z miejscowymi, stara się podszkolić swój hiszpański, by jak najlepiej poznać mentalność i kulturę mieszkańców tego kontynentu.

Autor wyruszy w chłodne rejony kontynentu południowoamerykańskiego, odwiedzi centralnie położone urokliwe miasteczka Argentyny oraz parną selwę na północy tego kraju, zahaczy o pustynne solisko w Boliwii, przemierzy pampę i będzie wędrował w Andach. Czerniecki jak przysłowiowy powsinoga wszędzie dojedzie, wszystko załatwi i zobaczy każdy ciekawy zakątek kraju. Podejmuje on także próby przybliżenia czytelnikowi argentyńskiej mentalności – szczerze opisuje swoje spostrzeżenia, to, co go zaskoczyło, zadziwiło ale także to, co mu się nie spodobało.

Czytelnika na pewno zainteresują wartkie opisy przyrody oraz przygody Czernieckiego i jeśli nie oczekuje od powieści niczego więcej, będzie usatysfakcjonowany. Niestety w *Dalej od Buenos* brak jasnej linii i przemyślanej kompozycji. Autor stara się opowiadać swoje przygody chronologicznie ale najwyraźniej nie może się zdecydować czy jego książka ma być przewodnikiem, czy *stricte* relacją z przeżytych wydarzeń.

Czerniecki z wyjątkową skrupulatnością podaje ceny – biletów, hoteli, kempingów. Od czasu do czasu wymyślnie

mu się informacja praktyczna, dotycząca godzin otwarcia czy stanu drogi dojazdowej. Wydaje się jednak, że autor powinien zdecydować się na całkowitą rezygnację z takich informacji lub konsekwentne dodawanie ich we wszystkich stosownych miejscach. W takiej postaci książka lawiruje między relacją, a praktycznym przewodnikiem, nie będąc ani jednym, ani drugim.

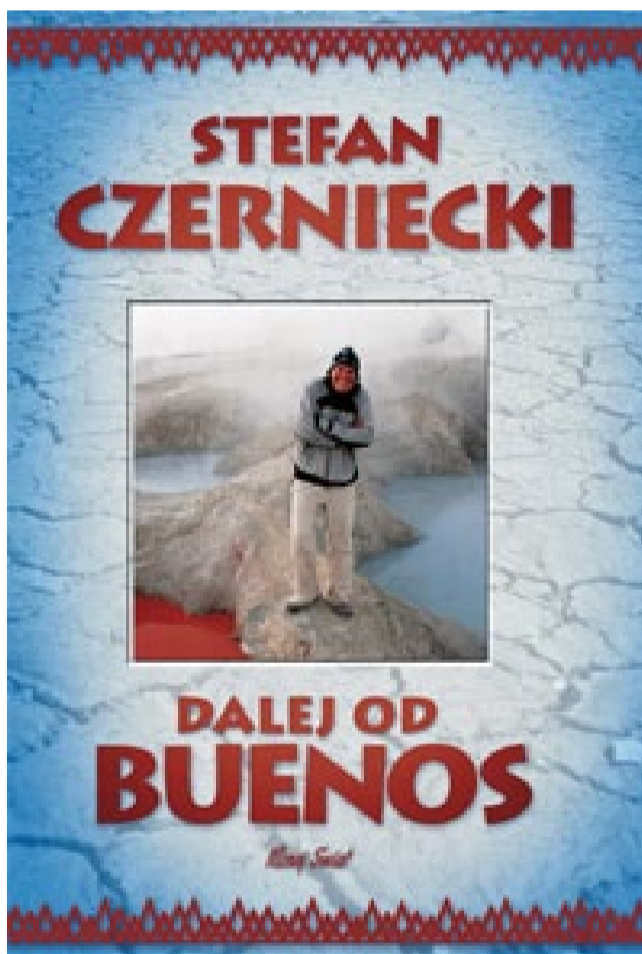
Autor wprawdzie wybrał chronologię jako nadrzędną koncepcję swojej relacji, wrzuca jednak czytelnika na głęboką wodę – nie wtajemnicza w planowanie wyprawy, ani nawet w skład drużyny. Dopiero po kilkunastu stronach okazuje się, że nie podróżuje sam, na co wskazywałyby pierwsze opisy.

Mimo że powieść czyta się lekko i przyjemnie, to styl autora może denerwować – bardzo często przypomina relację pierwszego lepszego blogera, a maniera zwracania się do czytelnika przez *Państwo*, drażni. Jego zachwyty nad przyrodą potrafi przytłoczyć – kwieciste opisy wielokrotnie ocierają się o kicz, na co zresztą sam autor zwraca uwagę, wspominając niedociągnięcia swojego warsztatu pisarskiego. Szkoda, że wydawnictwo nie dołożyło starań, by ujednolicić styl powieści – z założenia miał on na pewno przypominać gawędę, ale zbyt często staje się potoczną opowieścią, która nie może sprostać wymaganiom wytrawnego czytelnika.

Świetnym dopełnieniem lektury jest mapa z zaznaczonymi wszystkimi, odwiedzanymi przez autora miejscowościami i parkami narodowymi. Ułatwia ona orientację i pomaga śledzić wyprawę kartografa.

Powieść wydana jest na pięknym, kredowym papierze, dzięki czemu liczne fotografie stanowią prawdziwą ucztę dla oka. Dobrym uzupełnieniem byłoby dodanie do nich podpisów lub komentarzy.

Mimo niedociągnięć w stylu, Czerniecki potrafi zachęcić do podróży do Ameryki Południowej i zarazić swoją fascynacją tym kontynentem. ■



Chimamanda Ngozi Adichie – *To coś na twojej szyi*
 Tłumaczenie: Katarzyna Petecka-Jurek
 Wydawnictwo Znak, 2011

Wrażliwa obserwatorka z Nigerii

Joanna Wonko-Jędrzysek

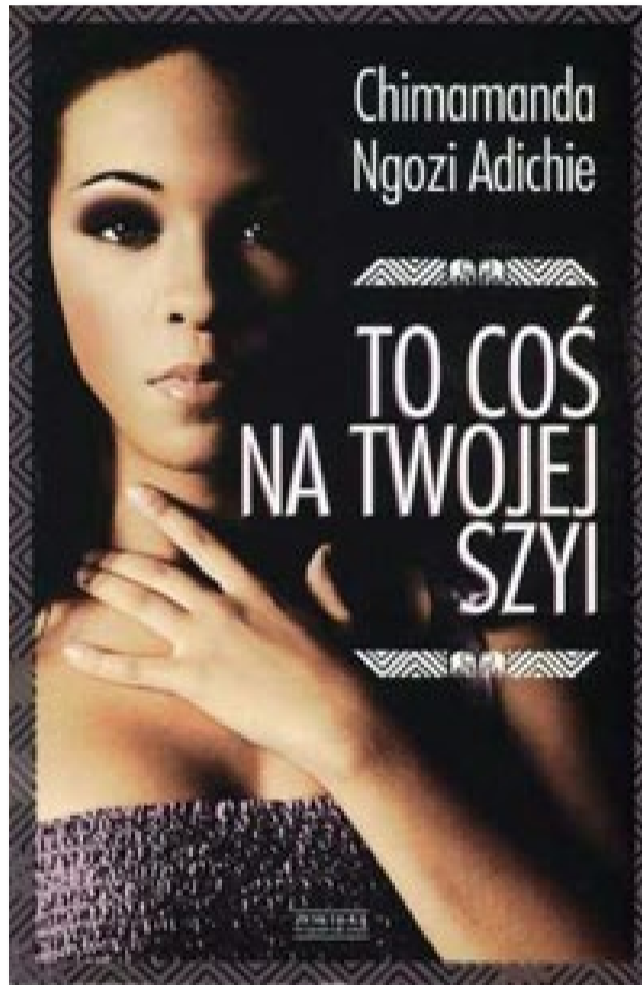
Każda kolejna książka Chimamandy Ngozi Adichie, pisarki nigeryjskiego pochodzenia, wymieniana jest wśród ważnych wydarzeń literackich i potwierdza talent autorki do realistycznego i niepozobawionego poetyckości przedstawiania zwykłego życia ludzi z różnych środowisk i w odmiennych sytuacjach życiowych. Wydany niedawno w Polsce zbiór opowiadań *To coś na twojej szyi* stanowi istny przekrój przez klasy społeczne i realia, w jakich znajdują się bohaterowie – Nigeryjczycy bądź emigranci nigeryjskiego pochodzenia.

Emigracja, chęć stabilizacji w kraju ogarniętym falą rozruchów, korupcja i rodząca się miłość – problematyka opowiadań nigeryjskiej pisarki jest różnorodna i uniwersalna. Istotnym i obecnym w większości tekstów motywem jest wyjazd do Ameryki. Dla pozostających w kraju emigracja pozostaje marzeniem, dla tych z dala od domu – przyczyną wewnętrznych konfliktów na tle tożsamościowym, nie zawsze udaną próbą pogodzenia afrykańskich korzeni z amerykańskim sposobem życia. Bohaterowie Adichie nierzadko są głęboko samotni, a odnalezienie kogoś, z kim mogliby tę samotność dzielić staje się celem, dla którego są w stanie wiele poświęcić. Autorka przedstawia ludzi dalekich od ideału, ma dla nich jednak dużo wyrozumiałości, która udziela się również czytelnikowi. Nigeryjczycy szybko zjednują sobie sympatię czytającego, choć nierzadko poznajemy jedynie skromny wycinek z ich życia, wyrwany z szerszego kontekstu.

Opowiadania Adichie, mimo wyraziście zarysowanego tła politycznego i obyczajowego, zazwyczaj dotyczą pojedynczych historii, emocji i relacji międzyludzkich, które mogłyby dziać się w wielu zakątkach świata. Komentarz do takiej konstrukcji napisała niejako sama autorka w opowiadaniu *Wzgórze Skaczącej Małpy*, niemal alegorycznej historii warsztatów literackich, na które zostali zaproszeni utalentowani pisarze z całej Afryki. Zasady przedsta-

wione przez prowadzącego je starszego Europejczyka są proste: każdy z gości ma napisać jedno opowiadanie, które zostanie następnie przedyskutowane w grupie. Tematyka jest całkowicie dowolna, co jednak szybko okazuje się jedynie pozorem – gospodarz ma swoje wyobrażenie o literaturze afrykańskiej i tylko opowiadania zaangażowane politycznie bądź społecznie ocenia jako dobre, podczas gdy te osobiste, traktujące o jednostkach i ich przeży-

ciach, zostają odrzucone jako teksty nie pokazujące prawdziwej Afryki. Czy rzeczywiście tak przedstawia się wyobrażenie „białego człowieka” o literaturze „czarnego kontynentu”? Jeśli tak jest, Adichie każdym kolejnym opowiadaniem dowodzi absurdalności generalizowania literatury afrykańskiej z dużym wycuciem naturalnością łącząc w swoich tekstach aluzje do polityki nigeryjskiej (*Ambasada amerykańska*), przedstawienie współczesnej obyczajowości (*Duchy*), czy też nawiązania do tradycji i dawniejszych wierzeń ludów zamieszkujących tereny dzisiejszej Nigerii (*Uparta historyczka*). We wszystkich dominuje jednak czyjaś historia, prywatna opowieść snuta z wyraźną nutą melancholii, a nierzadko wręcz poczuciem straty.



To właśnie melancholijna atmosfera opowiadań ze zbioru *To coś na twojej szyi* połączona z niezaprzeczalnym talentem do opisywania przeżyć wewnętrznych i relacji między ludźmi sprawiają, że teksty te pozostają z czytelnikiem na długo po skończonej lekturze. Pozornie proste, niekiedy niemal urwane w połowie i pozostawione bez wyraźnej puenty historie niosą ze sobą wielki ładunek emocjonalny. Tym bardziej, że świetnie zarysowane postaci natychmiast zdobywają zaufanie czytelnika swoim realizmem. Czy będzie to szukająca w Ameryce szczęścia imigrantka, sprzedająca na targu muzułmanka, emerytowany profesor czy też młoda Nigeryjka wyprawiona do Ameryki, by mieszkać z mężem wybranym przez swatów – za każdym razem można ulec wrażeniu, że autorka doskonale wie, o czym pisze, a tajniki ludzkiej psychiki nie są jej obce. Dzięki temu czytelnik dostaje do rąk niebanalny, dobrze napisany zbiór, a Adichie potwierdza zasadność wymieniania jej nazwiska wśród najwybitniejszych pisarzy pochodzących z Nigerii. ■

Alexandra David-Néel – *Mistycy i magowie Tybetu*

Tłumaczenie: Iwona Banach

Zysk i S-ka, 2011

Magia Tybetu

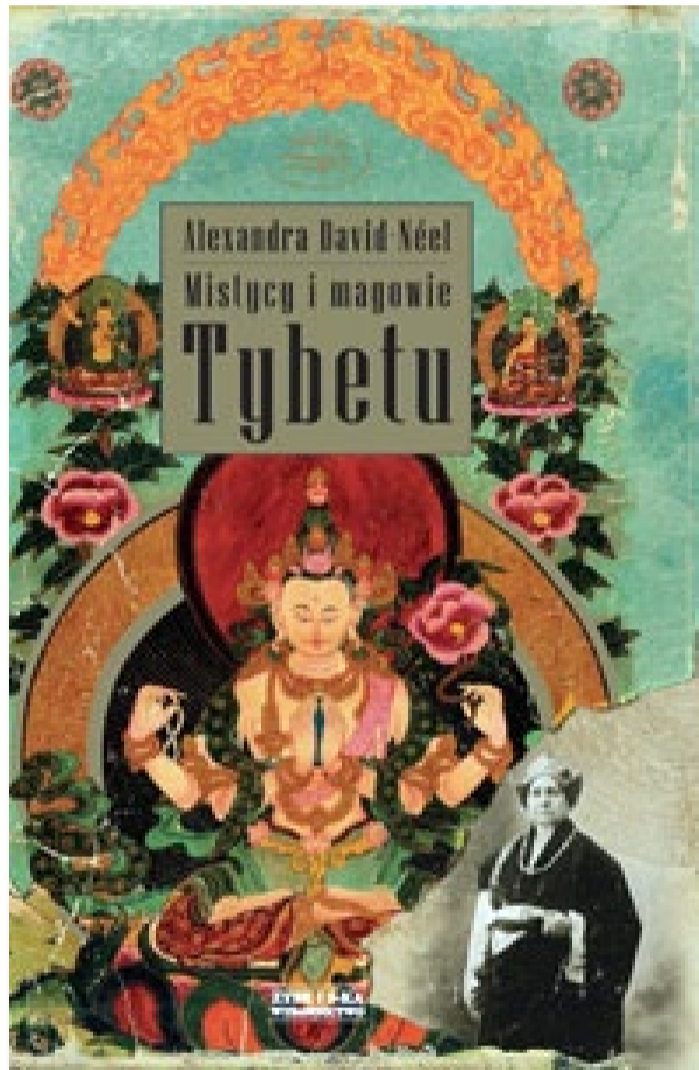
Karolina Kunda-Kuwieckij

Alexandra David-Néel jest pierwszą europejską podróżniczką w historii, która dotarła do niedostępnych przeciętnemu cudzoziemcowi krain i regionów Tybetu. Przemierzała ten tajemniczy zakątek świata wzdłuż i wszerz, poszukując mistyków i magów, rozmawiając z lamami, zasięgając nauk i lekcji buddystów tybetańskich. Widziała na własne oczy niewytłumaczalne cuda i słyszała historie, od jakich włos jeży się na głowie. Niczym eremitka medytowała w samotniach tybetańskich jaskiń i gór. A po latach osiągnęła zaszczytną godność lamy. Swoje doświadczenia, pobrane nauki i zasłyszane historie spisała w niezwykłej książce, dzięki której możemy oglądać nieskażony tybetański świat, który dziś unicestwiany jest przez trwającą od wielu lat chińską okupację.

„Tybet jest krainą demonów. Biorąc po uwagę legendy i wierzenia ludowe, można sądzić, że swą liczbą wielokrotnie przewyższają one mieszkańców. Te złowrogie istoty przybierają tysiące różnych form i zamieszkują drzewa, skały, doliny, jeziora i źródła. (...) Włóczą się dla przyjemności po stepach i lasach, a podróżny może nagle stanąć z nimi twarzą w twarz na każdym zakręcie drogi”.

Pierwsze wydanie *Mistyków i magów Tybetu* Alexandry David-Néel pojawiło się w 1929 roku. Autorka napisała więc książkę opierając się na swych licznych podróżach na początku XX wieku, a więc jeszcze przed narodzinami Tenzina Gjaco, XIV Dalajlamy. Jej podróżowanie po Tybecie miało zatem także miejsce jeszcze przed chińską inwazją i okupacją. Niezależny Tybet obejmował wówczas cały swój pierwotny obszar, z regionami Amdo i Kham, nie był rażąco okrojony, jak obecny Tybetański Region Autonomiczny. Kraj ten był w tamtym czasie odbierany jako dziewiczy, nieskażony masowym turystem raj na ziemi. Eldorado, czy też mityczna tajemnicza kraina

Shangri La, pełne było duchownych lamów, tantrycznych joginów, wędrownych szamanów, mnichów i eremitów, ale także niebezpiecznych bóstw i złowrogich demonów. Mieszkańcy Tybetu musieli nauczyć się z nimi żyć, a dzięki wierzeniom, praktykom i rytuałom szamanistycznym mogli je nawet przekształcić w sprzyjające duchy. Podstawowe nauczanie tybetańskich mistyków mówi jednak, że „bóstwa, demony, cały wszechświat jest mirażem, istnieje w umyśle, z niego powstaje i w nim się rozplywa”. A jednak po Tybecie krążą legendy i opowieści pełne grozy i tragicznych w skutkach konsekwencji spotkań ze złymi mocami. Autorka wielokrotnie podkreśla w książce, że nie wierzy w większość z tych historii, bowiem „nie jest z natury łatwowierna”, jednak utrzymuje, że była świadkiem wielu tajemniczych i dziwnych zdarzeń, których wyjaśnić nie sposób.

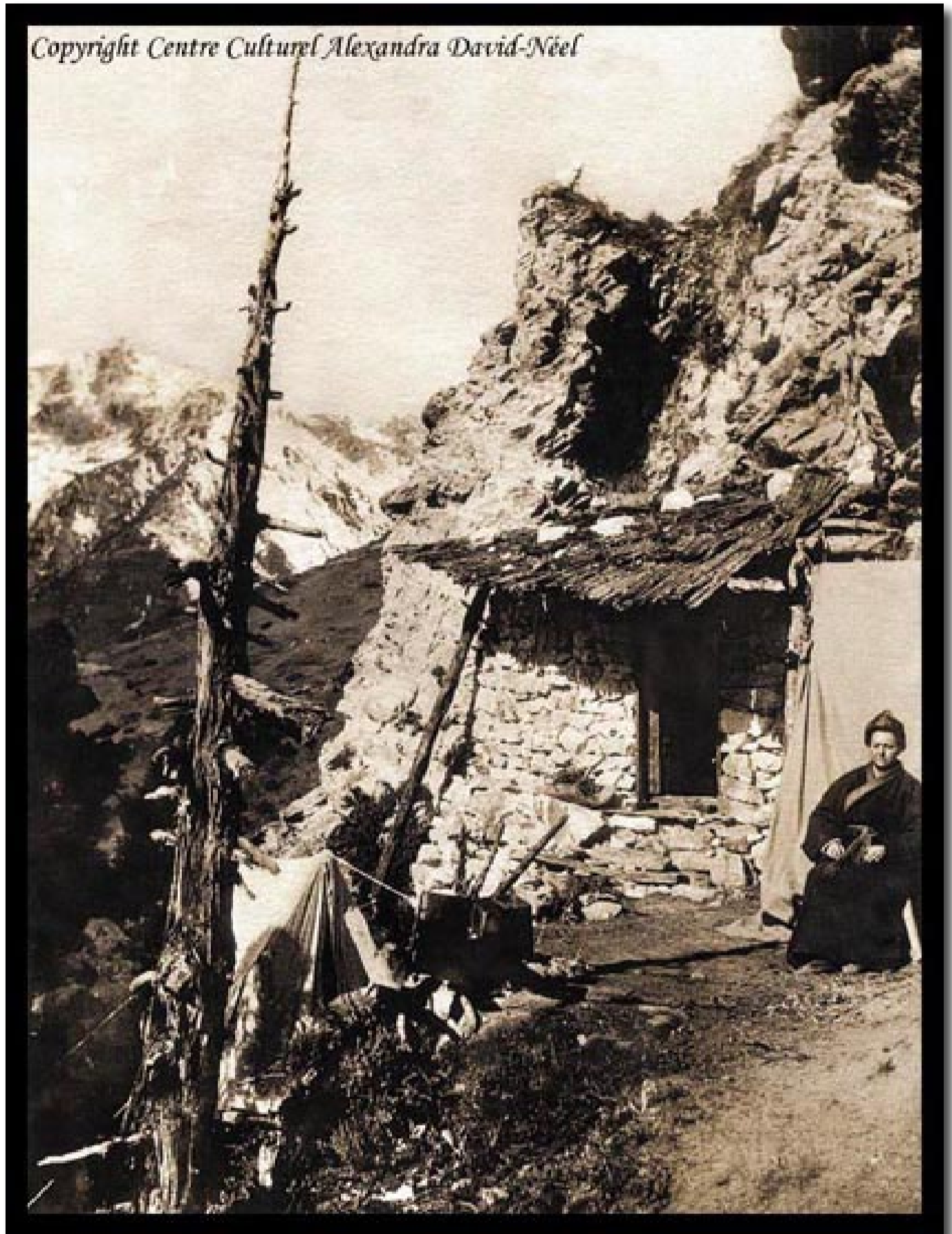


Książka Alexandry David-Néel pełna jest trzymających w napięciu i nieco przerażających opo-

wieści, ale nie brakuje w niej także zabawnych anegdot i ciepłych wspomnień z tybetańskich wojaży. Autorka daje się ponieść pociągającej magii Tybetu i opisuje oszałamiające krajobrazy, uczciwie przyznając jednocześnie: „Żaden opis nie odda spokojnego majestatu, dzikiej siły, przerażającego, czarownego uroku tybetańskich krajobrazów. Przemierzając wysoko położone pustkowia, często ma się wrażenie, że jest się tam intruzem. Nieświadomie zwalniamy kroku, ściszymy głos, a na usta cisną się słowa przeprosin, które gotowi jesteśmy skierować do pierwszego napotkanego prawowitego pana tej ziemi, którą depczemy bezprawnie”. Dziś chińskie wojsko bezprawnie okupuje Tybetański Region Autonomiczny, nie stwarzając szansy na poznanie jego mistyki i bogactw naturalnych. W okresie sprzed chińskiej okupacji Tybet pozostawał otwarty dla złąknionych jego magii

podróżników. Pełna pokory i szacunku postawa w stosunku do majestatu tego głęboko uduchowionego regionu świata wydawała się oczywista i wskazana. Alexandra David-Néel zdaje się nieśmiało sugerować, że być może gęsto zaludniane Tybet złowrogie bóstwa i demony miały za zadanie odstraszać nieproszonych gości i chronić Tybet przed masowym najazdem przypadkowych globtrotterów. Dziś wiemy już, że Tybetu nie strzegą bogowie, a uzbrojone wojsko chińskie, unicestwiając tym samym niezależność i bogactwo tybetańskiej kultury i tradycji.

Lektura *Mystyków i magów Tybetu* pozwala wyczuć, jak wielką miłością darzyła autorka Tybet. Oddawała mu hołd przez całe swoje życie i podporządkowała jego bieg niezliczonym, wielomiesięcznym podróżom na ten „Dach Świata”. Nadużyciem byłoby jednak twierdzenie, iż autorka wielbiła Tybet bezkrytycznie. Z pewną dozą nieufności i sceptycyzmu odnosiła się do niektórych mieszkańców Tybetu i religii panującej na przeważającym jego obszarze. Już we wstępie książki zaznacza, że religia, którą wyznaje większość Tybetańczyków, odbiega nieco od nauk i praktyk pierwotnego buddyzmu. Buddyzm tybetański dotyczy bowiem znacznej liczby wierzeń zapożyczonych z szamanizmu, będącego religią pierwotnych mieszkańców Tybetu. Autorka podkreśla, że w Tybecie istnieją dwa różne aspekty buddyzmu i dzieli je na „religię ludową i religię ludzi wykształconych, intelektualistów”. Nie ukrywa też, że w jej odczuciu religia Tybetańczyków ma w sobie więcej z lamaizmu niż buddyzmu. W *Mystykach* aż roi się od przytaczanych przez autorkę dziwnych i niewytłumaczalnych zdarzeń, które towarzyszyły jej podróżom po dzikim Tybecie. Pisarka przeprowadzała swoiste śledztwa i próbowała dociec „prawdy” tych zajęć, by potwier-



Alexandra David-Néel w jednej ze swoich pustelni. Fotografia autorki wykorzystana za pozwoleniem właściciela praw autorskich do niej Franka Tréguiera.



dzić swoją tezę o wątpliwym istnieniu cudów tybetańskich. Jej rozum nie był jednak w stanie wytłumaczyć pewnych zdarzeń i faktów i odrzucił racjonalne wytłumaczenia, a autorka zmuszona była spuścić w pokorze głowę i otworzyć się na nieskończoną magię Tybetu. A czytelnik razem z nią i wierzeniami wielkich lamów zaczyna wierzyć, że widziany naszymi oczyma świat może być jedynie naszą subiektywną wizją...



ZBIOROWA PRYWATNOŚĆ OBJAWIENIA

O *Stalkerze* Andrieja Tarkowskiego zwykło się mówić jako o luźnej adaptacji książki *Piknik na skraju drogi* Arkadija i Borysa Strugackich. Tymczasem, mimo iż fabularnie rzeczywiście dzieła te są ze sobą niepowiązane, dotyczą dokładnie tych samych problemów i niosą bardzo podobne przesłanie.

Robert Mróz

Powieść braci Strugackich cieszy się statusem klasyki *science fiction* nie bez powodu. Posiada bowiem cechę wyróżniającą książki dla gatunku kanoniczne spośród setek lepszych i gorszych pozycji – wykorzystuje sztafaż fantastyki naukowej i atmosferę niezwykłej przygody do wypowiedzenia istotnych spostrzeżeń na temat człowieka, jego natury, dążeń i pragnień. Tak jak dzieła Philipa K. Dicka czy Stanisława Lema, nie koncentruje się na opisie obcych cywilizacji, kosmicznych bitew czy odległych galaktyk, ale stawia fundamentalne pytania o to, co to znaczy być człowiekiem oraz o zasadność i ograniczenia antropocentrycznej perspektywy patrzenia na Wszechświat. Szczególnie ten drugi wątek zajmuje ważne miejsce w książce Rosjan, ostatecznie musi jednak ustąpić pola jeszcze innej refleksji.

Red Shoehart jest stalkerem – zakrada się na pilnie strzeżony obszar, zwany Strefą, i, ryzykując życie, wynosi stamtąd rozmaite przedmioty o tajemniczych właściwościach, pozostałe po lądowaniu Obcych, którzy zabawili w kilku punktach na Ziemi dosłownie przez chwilę. Strefa została odizolowana, ponieważ wyjątkowo łatwo stracić w niej życie – można zostać wykręconym i rozerwanym przez „wyżymaczkę”, spłaszczonym niemal do dwóch wymiarów przez „łysicę” albo stracić wszystkie kości w spotkaniu z „czarcim puddingiem”. Oficjalny dostęp do Strefy mają tylko naukowcy, którzy próbują rozwikłać zagadkę Lądowania, jednak stalkerzy robią wszystko, by przedostać się na zakazany teren i znaleźć kolejnego „pustaka”, „owaka” czy „baterijkę” – przyrządy, których zasady działania nikt nie rozumie, ale które nauczono się wykorzystywać i warte są niemałe pieniądze. Wielu przypląciło takie eskapady życiem, jednak Red radzi sobie całkiem nieźle. Z nieodłączną piersiówką w kieszeni, pozwalającą okiełznać skołataną nerwy, co i rusz wyprawia się do Strefy. Co prawda po powrocie resztę dnia spędza w barze, pijąc na umór, jednak najważniejsze jest to, że do kieszeni wpada kolejny plik banknotów i nie trzeba pracować jak niewolnik za głodowe stawki.

Konstrukcja książki jest niezwykle interesująca – pierwszy rozdział ma narrację pierwszoosobową, i to właśnie w nim dowiadujemy się o kluczowych w życiu bohatera wydarzeniach – śmierci przyjaciela, za którą Red będzie się obwiniał, oraz, niemal równocześnie, o tym, że jego dziewczyna jest w ciąży. A trzeba wiedzieć, że dzie-

ci stalkerów najczęściej rodzą się z poważnymi zmianami genetycznymi, mówiąc wprost – jako mutanty. W tym momencie przenosimy się o pięć lat do przodu, a zmianie płaszczyzny czasowej towarzyszy zmiana narracji na trzecioosobową. W rozdziale drugim obserwujemy walkę głównego bohatera o wyciągnięcie ze Strefy rannego to-



warzysza, spotkanie z tajemniczymi mężczyznami pragnącymi zdobyć wszystko to, co w Strefie śmiercionośne i potencjalnie nadające się do produkcji broni, oraz, ostatecznie, oddanie się w ręce deptającej Redowi po piętach policji. Bohater zostaje skazany na kilka lat więzienia, a my w rozdziale trzecim śledzimy poczynania postaci dotychczas niemal nieistotnej – Richarda Nunnuna, zakonspirowanego agenta władz, który odpowiada za powstrzymanie przemytu ze Strefy, z czym jednak niezbyt dobrze sobie radzi.

Wszystko to brzmi jak zwyczajna awanturnicza historia z nietypową domieszką w postaci tajemniczej obcej cywilizacji, jednak, jeśli zwrócimy uwagę na wspomniane wyżej zmiany perspektywy narracyjnej, stanie się jasne, że to, co w powieści najważniejsze, pozostaje ledwie zasygnalizowane, nigdy nie stając w świetle reflektorów. Coraz większy dystans, jaki dzięki zabiegom autorów dzieli czytelnika od bohatera, pozwala uwolnić się od ograniczeń jednostkowej percepcji rzeczywistości i powiedzieć, niejako między wierszami, coś ważnego na temat każdego z nas. Ściśle rzecz biorąc, Strugaccy mówią o człowieku co najmniej trzy rzeczy. Pierwsza wynika z zasugerowanego faktu obojętności całego świata na

to, co dzieje się w miastach usytuowanych obok sześciu Stref. Mimo że Lądowanie było wydarzeniem na miarę wszystkiego, co widzieliśmy wielokrotnie w wypełnionych efektami specjalnymi filmach i czytaliśmy w niezliczonych książkach, ludzkość przeszła nad tym faktem do porządku dziennego, a prawdziwe zainteresowanie incydentem wykazują tylko naukowcy i ludzie żyjący w ciągłym strachu w sąsiedztwie zagadkowych obszarów. Być może autorzy chcieli przez to zwrócić uwagę na swoistą ślepotę człowieka, który przez całe życie wypatrauje niezwykłości, a kiedy coś niewytłumaczalnego się wreszcie wydarzy, nie zwraca na to uwagi, zajęty „poważnymi sprawami”. Tak jakby niezwykłość funkcjonowała jedynie w sferze wyobraźni, jako źródło rozrywki i swego rodzaju dziecięcej, relaksującej ekscytacji, ale gdy tylko zaczyna pukać do drzwi rzeczywistości, zostaje przepędzona jako niemieszcząca się w racjonalnym, porządkującym codzienność schemacie percepcji.

Z tą kwestią wiąże się drugie spostrzeżenie autorów, tłumaczące tytuł książki. Jedna z postaci, laureat Nagrody Nobla z fizyki, stwierdza, że Lądowanie mogło być jedynie krótkim przystankiem, piknikiem Obcych na skraju drogi wiodącej do jakiegoś ważkiego celu. Tak jak ludzie wyrwają się z miejskiej dżungli i przyjeżdżają na łono natury, by rozłożyć koc, pooddychać świeżym powietrzem, zjeść kanapki i wypić kawę z termosu, tak i ci zagadkowi przybysze zapewne zatrzymali się na Ziemi tylko na moment. I tak jak mrówki czy koniki polne nie mają pojęcia o przeznaczeniu wszystkich pozostawianych przez nas w trawie śmieci, tak i my nie wiemy nic o kosmicznych odpadach pozostawionych przez astralnych podróżników. Najlepsze, na co powinniśmy liczyć, to rozwiązanie kilku zagadek natury technicznej, natomiast poznanie naukowe może w ostateczności nic na intensywnych badaniach nie zyskać. Wątek ten byłby więc polemiką z naturalnymi ludzkimi tendencjami: ekstrapolacją naszych cech na organizmy, o których nie wiemy, czy w ogóle są do nas podobne; podświadomym przekonaniem, że nasza siatka pojęciowa jest w jakiś obiektywny sposób „słuszna” i nie wpływa na kształt postrzeganego przez nas świata; poglądem, że wszechświat „kręci się wokół Ziemi”, a obca cywilizacja przybywająca na zamieszkaną przez nas planetę musiałaby mieć cel bezpośrednio związany z naszą na niej obecnością. Zaś razem z refleksją poprzednią, stanowiłyby apel o skromność, pokorę i uznanie koniecznych ograniczeń antropocentrycznej perspektywy.

Jednak to, co w powieści najważniejsze i najbardziej fascynujące, odkryte zostaje dopiero w rozdziale ostatnim, czwartym, w którym powracamy do Reda i zastajemy go, wraz z towarzyszem, wewnątrz Strefy. Zmierzają w naj-

bardziej tajemnicze miejsce – miejsce, w którym znajduje się Złota Kula, spełniająca podobno najskrytsze życzenia. Droga najeżona jest pułapkami, a stalker, pragnący zdrowia dla swej umierającej córki, wie, że któryś z nich będzie musiał wpaść w „wymaczkę”, by drugi mógł przejść. Nic jednak nie mówi. Czy zło w jego duszy ostatecznie zwycięża, gdy patrzy, jak chłopak zostaje rozerwany na strzępy przez grawitacyjną anomalie? Czy powyższe filozoficzne rozważania na temat percepcji i ludzkich przywar były tylko wstępem do smutnej konstatacji, że w sytuacji granicznej objawia się prawdziwa, mroczna natura człowieka? A może cel przyświecający bohaterowi uświęca środki? Pytania te są chyba jednak źle postawione. Oto bowiem, schodząc do miejsca, w którym znajduje się Kula, pogrążony w czarnych myślach bohater już ma wypowiedzieć życzenie, gdy zdaje sobie sprawę, że przychodzą mu do głowy tylko jedno słowo: „Szczęście dla wszystkich za darmo! I niech nikt nie odejdzie skrzywdzony!”.



Deklaracja radykalnego humanizmu – mimo wszystkich wad, mimo całego zła tkwiącego w człowieku, zdolny jest on do dobra w tym jednym kluczowym momencie. Zresztą powieść opatrzona jest cytatem z Roberta Penna Warrena: „...trzeba tworzyć dobro ze zła, bo nie ma nic innego, z czego by można je tworzyć”. To jednak nie wszystko – okazuje się bowiem, co autorzy sugerują w wielu miejscach tekstu, iż centralnym tematem książki jest konstytutywne dla człowieka dążenie do transcendencji, wiara w siłę wyższą – w jakiegokolwiek formie. Bo czymże innym jest przekonanie o celowości wizyty Obcych, czym w końcu jest ta zagadkowa Kula (której mocy nikt nawet nie zweryfikował), jeśli nie abstrakcyjną postacią Boga, w którą wszyscy, niezależnie od tego, jak ciężko doświadczyło ich życie, wierzą i którą chcą posiadać? Nawet naukowcy, którzy przecież szukają nie Boga, nie wiary, a wie-

dzy, wyrażają w ten sposób swoje nieodparte pragnienie odkrycia Tajemnicy, leżącej u podstaw całej wiedzy, a która wcale nie musi być rozumowo ujmowalna. Ostatecznie więc, paradoksalnie, fantastyka „naukowa” posłużyła Strugackim do rozpoznania niezbywalnie ludzkich, a całkowicie „nienaukowych” cech. Paradoksalne jest też to, że mimo wszystkich wymienionych powyżej ograniczeń antropocentryzmu, autorzy w końcu zmuszeni są uznać go za konieczność – o czym bowiem mogą sensownie wypowiedzieć się ludzie, jeśli nie o ludziach właśnie?

Jeśli przyjmiemy zarysowaną powyżej interpretację, z konieczności pomijającą wiele szalenie ciekawych wątków, łatwo będzie nam zobaczyć, w jaki sposób *Stalker* Tarkowskiego stanowi kontynuację książki. Przy tym muszę zastrzec, że dzieło rosyjskiego reżysera, słusznie zaliczane do kanonu światowego kina, dotyka tyłu różnych

przekroczyć granicę tego pilnie strzeżonego terenu (ryzykując życie już w momencie przekraczania, gdyż strażnicy strzelają do intruzów bez ostrzeżenia). Jego fascynację podkreśla fakt, że wraz z wejściem do Strefy film staje się kolorowy (poprzednie sceny kręcone były w sepii) – świat na zewnątrz obszaru jest nieciekawym, obcym, bez wahania należy więc opuścić zamartwiającą się żonę i chorą córkę, by przenieść się w miejsce, mimo całej swej wrogości, przyjaźniejsze.

Jak Przewodnik, który szuka okazji do udostępnienia ludziom odrobiny szczęścia dawanego przez Boga-Strefę, tak i Pisarz, skażony charakterystycznym dla stereotypowego przedstawiciela rosyjskiej inteligencji nihilizmem, oraz ściśle myślący i chłodno analizujący sytuację Profesor, nie kwestionują ani zbawczej, ani niszczycielskiej mocy Strefy.

Widzimy więc wyraźnie, że *Stalker* zaczyna się mniej więcej tam, gdzie książka Strugackich się kończyła – na stwierdzeniu niezbywalności potrzeby poszukiwania transcendencji. Od tego momentu robi się tylko ciekawiej. Bowiem Strefa, mimo wszystkich ostrzeżeń stalkera, przez długi czas nie wykazuje żadnej szczególnej aktywności. O ile w książce opisy tragedii i cierpienia, jakie stały się udziałem niejednego intruza, pełniły kluczową funkcję, o tyle w filmie niczego takiego nie uświadczymy. Może więc wszystko to jest projekcją umysłu stalkera, wyrazem jego duchowych potrzeb, które ostatecznie trafiają w pustkę? Nie można tego przesądzać, ponieważ w pewnym momencie dochodzi jednak do dziwnego wydarzenia, które wydaje się jak najbardziej realne – powstaje coś na kształt pętli czasoprzestrzennej i bohaterowie dochodzą do miejsca, w którym już byli, mimo że nic nie wskazywało na jakiegokolwiek problemy. Ten fakt, przedstawiony zresztą bardzo niepozornie, otwiera serię mniej lub bardziej zakamuflowanych anomalii (np. pies pojawiający się najpierw we śnie, a potem w rzeczywistości). Co jednak ważniejsze, zapoczątkowuje przemianę stalkera, który, „zdradzony” przez Strefę (przecież nie powinna jemu, „wtajemniczonemu”, robić takich numerów!), okazuje się mniej pewny swego, niż się początkowo wydawało. Im dalej w głąb Strefy, tym bardziej ludzki, a mniej uduchowiony okazuje się Przewodnik. Chowa się za swymi współtowarzyszami, wysyła jednego z nich przodem, by w razie czego nie ucierpieć, nie potrafi odpowiedzieć na fundamentalne pytanie: dlaczego sam nie poprosisz Komnaty o szczęście? Jednym słowem – jego wiara zaczyna się chwiać, a widz jest świadkiem swoistej dekonstrukcji mitu jurodstwa.

Gdy bohaterowie docierają w końcu pod Komnatę, żaden z nich nie chce do niej wejść. Dopiero u celu podróży zaczynają kwestionować zdolność Komnaty do spełniania



 Bracia Strugaccy

tematów (moje obliczenia wskazują na co najmniej trzynaście istotnych wątków), iż niemożliwością jest podjęcie ich wszystkich w ramach tego krótkiego tekstu. Skoncentrujemy się więc na najważniejszych.

Oto bezimienny stalker prowadzi do Strefy dwóch ludzi – Pisarza i Profesora. Ich celem jest komnata, która spełnia najgłębiej skrywane marzenia. Filmowy stalker różni się zdecydowanie od książkowego – nie wynosi ze Strefy żadnych przedmiotów, nie pije alkoholu, traktuje Strefę jak obiekt kultu – bardzo przypomina jurodiwych, rosyjskich „bożych szaleńców”, którzy niekonwencjonalnymi, czasami brutalnymi metodami starają się nawracać ludzi i pokazywać im Boga. Tu zamiast Boga mamy Komnatę, odpowiednik książkowej Kuli. Przewodnik ślepo wierzy w to, że jego ukochana Strefa rzeczywiście posiada nadprzyrodzoną moc, ale wyczuwa również śmiertelne niebezpieczeństwo, które czyha na każdego, kto ośmieli się

żyć. Pisarz, mimo całej swojej elokwencji, nie wie, czego chce, ale, znając swą duszę, podejrzewa, że byłoby to coś mrocznego i strasznego. Profesor myśli raczej o tym, jak wysadzić obiekt w powietrze, by już nikt nigdy nie dał się zwieść obietnicom szczęścia. Przewodnik nie bardzo w ogóle wie, co zrobić w tej niespodziewanej sytuacji. Może sekwencja ta jest wyrazem pesymizmu, niewiary w człowieka, który zawsze ponosi porażkę w obliczu piętrzących się trudności. Może stanowi krytykę eskapistycznych dążeń, które muszą ostatecznie skończyć się niepowodzeniem i powrotem do brutalnej, fizycznej rzeczywistości. Ale może wręcz odwrotnie – dlaczego by nie potraktować tych wydarzeń jako nawoływania do wiary mimo wszystko? Każdy widz sam musi zmierzyć się z tym problemem, jednak na rzecz tej ostatniej propozycji przemawiają pewne późniejsze sceny, do których jeszcze powrócę. Teraz bowiem pora na małą dygresję.

Człowiek do Komnaty nie wchodzi, ale kamera tego człowieka pokazująca – jak najbardziej. W pewnym momencie bohaterowie obserwują wnętrze pomieszczenia, a robiąc to, patrzą prosto w obiektyw. Wątki autotematyczne są być może najciekawszymi, jakie oferuje nam kino, a ten przypadek aż prosi się o odczytanie w tym kluczu. Czy fakt, że magiczny, bądź co bądź, wehikuł, jakim jest kino, znajduje się wewnątrz spełniającej życzenia Komnaty, świadczy o wierze twórcy w oczyszczającą, transcendentną rolę filmowej sztuki? Być może. Może reżyser jest dla widzów stalkerem – Przewodnikiem. Lubię myśleć o tej scenie jako o manifeście mocy X muzy, czyli prawdziwej twórczej siły, w pewien sposób rzeczywiście spełniającej najskrytsze marzenia, nawet jeśli tylko przez dwie, trzy godziny. Trzeba przyznać, że Tarkowski daje jeszcze jeden powód do takiego odbioru – zdjęcia, a więc esencja filmowości, są w jego filmach fenomenalne. Od powolnych, kilkudziesięciosekundowych najazdów kamery, przez wydobywające esencję przestrzeni *mastershoty* oraz uchwycenie dziwnej, niepokojącej, ale jakże plastycznej tekstury obiektów przedstawionych w sepii (na początku i końcu filmu), aż po piękną scenę snu stalkera, podczas której kamera przesuwa się nad strumieniem w odległości kilkunastu centymetrów, wyłapując najróżniejsze zanurzone w wodzie przedmioty – pistolet, strzykawkę, fragment ikony, wszystkie o symbolicznym, tajemniczym znaczeniu (swoją drogą, wyszukana forma filmu ostro kontrastuje z prostym językiem powieści). Widać w *Stalkerze* formalne podobieństwo do dokonań Antonioniego, u którego, np. w *Zaćmieniu* czy *Zawód: Reporter*, jazdy kamery nie tylko przedstawiały świat, ale odgrywały też, a może przede wszystkim, przewodnią rolę w kreowaniu

przestrzeni znaczeniowej filmów. Z kolei pojętnym uczniem Tarkowskiego okazał się Węgier Béla Tarr, bezlitosny w ustawianiu niezwykle długich, czarno-białych ujęć, natychmiast zdradzających artystyczne pokrewieństwo z dziełami Rosjanina.

Wspomniałem o tym, że porażkę bohaterów, którą ponoszą oni u samego kresu wyprawy, można próbować ująć w nieco bardziej przychylnym świetle. Skąd ten wniosek? Oto bowiem końcowa scena ukazuje najprawdziwszy cud. Tak jest – cud. Choć odrobinę kuglarski i niezbyt wizualnie efektowny, wznosi film Tarkowskiego na prawdziwie metafizyczny poziom. Okazuje się, że mimo wszystko warto wierzyć, bo zbyt łatwo jest przegapić ten jeden istotny moment, w którym manifestuje się obecność siły wyższej, jakkolwiek chcielibyśmy ją charakteryzować. Co koniecznie trzeba podkreślić, nie wywołuje to wrażenia, że reżyser poszedł na łatwiznę, że uciekł się do sztuczki.



Wręcz przeciwnie – mógłbym przysiąc, że duchowa moc tego przekazu pozwoliła mi unieść się na chwilę ponad fotel, na którym oglądałem film. By dokładnie przedstawić spójność wizji Tarkowskiego, musiałbym jednak dalece wykroczyć poza jakikolwiek rozsądny limit znaków. Mimo to pozostaje jeszcze jedna warta zauważenia kwestia – otóż scena ta, mimo że rozgrywa się poza Strefą, jest kręcona w kolorze. Generuje to niezwykłą ambiwalencję: z jednej strony można poczuć uspokajające ciepło bijące z ekranu, z drugiej jednak, gdzieś z tyłu głowy rodzi się podejrzenie – skoro poprzednie zmiany kolorystyki interpretowaliśmy jako bezpośrednio powiązane z percepcją stalkera, to może i to zdarzenie jest tylko jego projekcją? Nie sądzę, by taka była intencja autora i sam nie lubię myśleć o tej scenie w ten sposób,

muszę jednak przyznać, że pewien niepokój pozostaje. Cóż, taka to już widocznie cecha arcydzieł, nic nie może być zbyt proste.

Koniec końców dochodzimy do zapowiadanej konkluzji: temat przewodni *Pikniku na skraju drogi* i *Stalkera* jest ten sam. Oba dzieła, w sposób pośredni i wyszukany, dotyczą problemów leżących poza zasięgiem nauki i filozofii – problemów czysto metafizycznych, zapewne niemożliwych do wytłumaczenia, ale i równie niemożliwych do usunięcia. Sztafaż *science fiction* w obu wypadkach jest tylko szkieletem, na który nakładane są kolejne warstwy znaczeniowe, coraz bardziej odbiegające od domeny *science*, a coraz mocniej zagłębiające się w królestwo sztuki i religii. Film Tarkowskiego nie rezygnuje przy tym z kompleksowego rozpatrzenia innych tematów – odwiecznego sporu naukowego szkiełka i oka z artystycznym czuciem i wiarą czy natury czasu, zagadnienia o fundamentalnym znaczeniu filozoficznym i naukowym. Można dzieło Rosjanina odczytywać w kluczu politycznym, nawiązując do GUŁagów. Niektórzy widzą w nim nawet proroczą zapowiedź katastrofy w Czarnobylu. Legendę *Stalkera* dodatkowo kreują problemy związane z procesem zdjęciowym oraz późniejsze, związane z filmem, losy twórców. Wszystko to jednak zdaje się być tylko – istotnym, to prawda – tłem dla fundamentalnej prawdy, jaką niosą ze sobą *Stalker* i *Piknik*: pragnienie objawienia, choć głęboko prywatne, indywidualne i być może nawet niewyraźne, jest nam wszystkim jakoś wspólne i w tym sensie całkowicie zbiorowe. Czyżby radykalny indywidualizm miał być płaszczyzną między-ludzkiego porozumienia? Ot, kolejny znak zapytania...

Arkadij i Borys Strugaccy, *S.T.A.L.K.E.R.: Piknik na skraju drogi*, Prószyński i S-ka, Warszawa 2009.

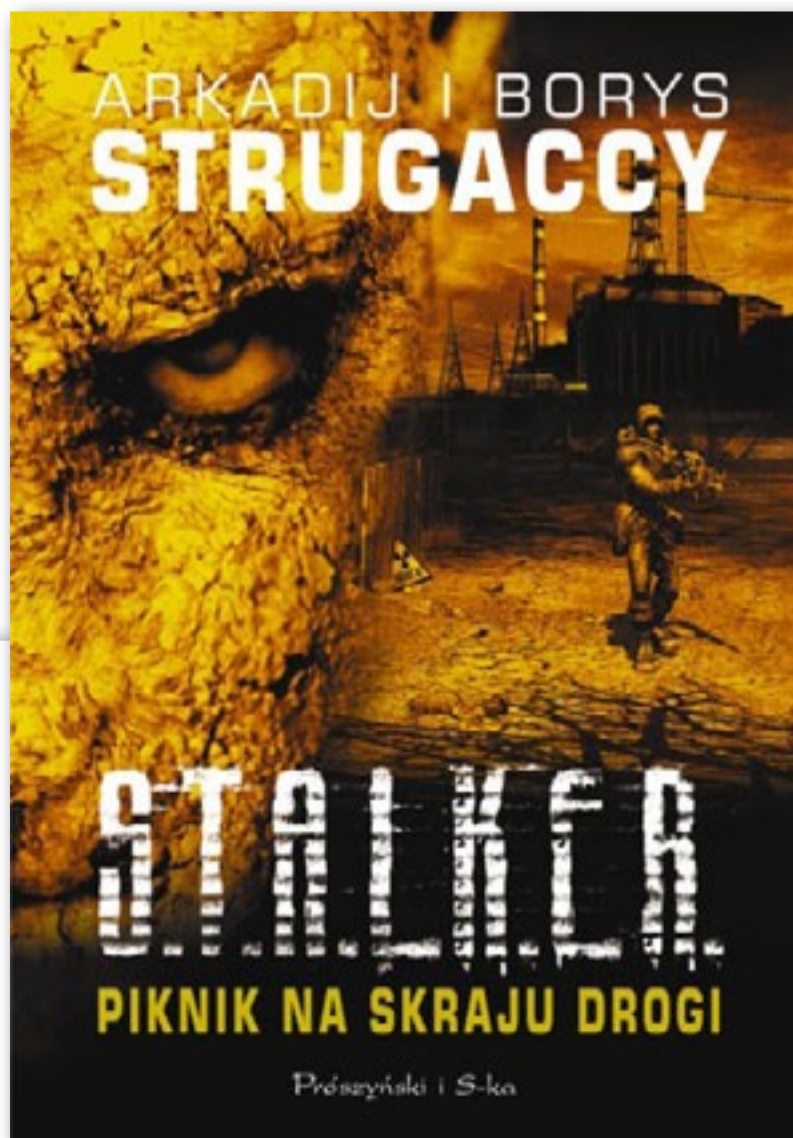
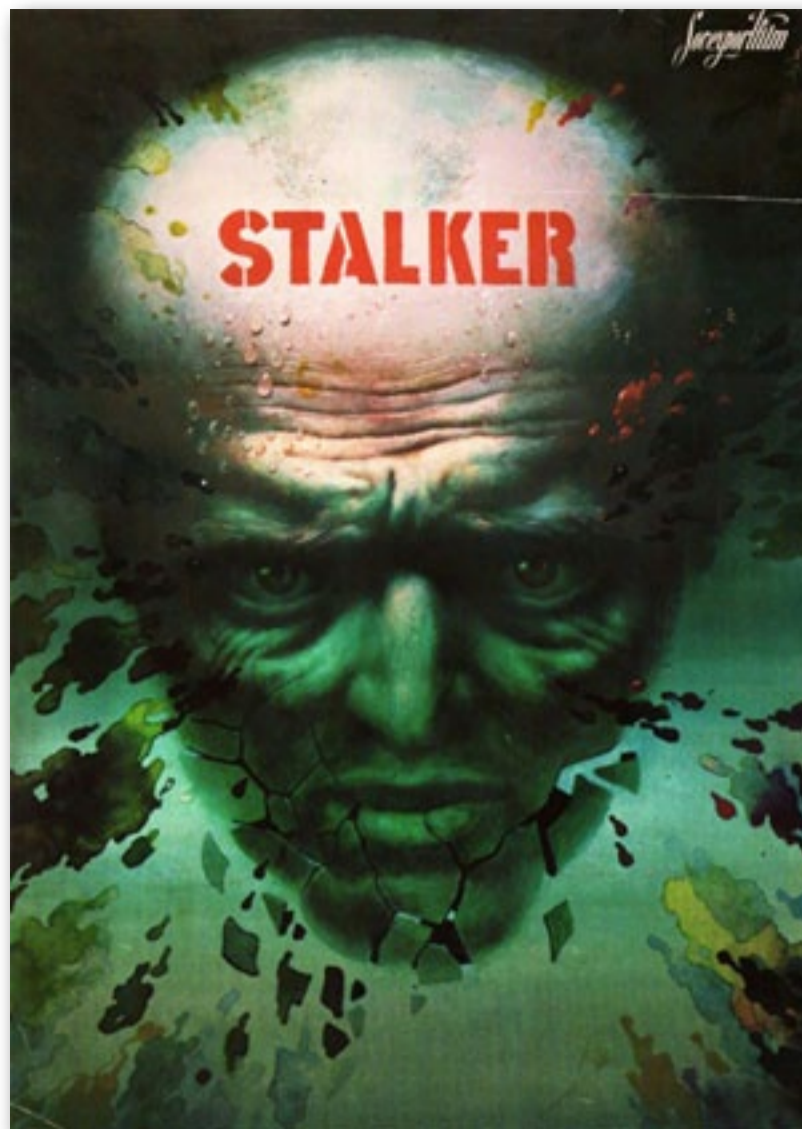
Stalker, reż. Andriej Tarkowski, ZSRR, RFN, 1979.

Artykuł zilustrowano kadrami z filmu.

Film Tarkowskiego, choć minęło ponad trzydzieści lat od premiery, wciąż inspiruje do nowych odczytań.

W marcu tego roku na angielskim i amerykańskim rynku pojawiła się książka Geoffa Dyera, *Zona*.

Analiza poszczególnych scen *Stalkera* uzupełniona jest tu subiektywnymi dygresjami. Jak podaje portal nowehoryzonty.pl książka cieszy się entuzjastycznym przyjęciem wśród krytyków i czytelników: „najbardziej niecodzienna książka, jaką napisano o filmie”.



DZIEŃ I NOC KSIĄŻKI

23 kwietnia urodził się William Szekspir. **23 kwietnia** zmarł Miguel de Cervantes. Na całym świecie to data celebracji święta książki. Barcelona bibliofilską uroczystość obchodzi za dnia, Londyn celebrowe w nocy.

Ania Ready,
Milena Werner

Barcelona
za dnia



23 kwietnia, dzień św. Jerzego, zwany też przez Katalończyków Dniem Książki.
Fot. Milena Werner



Dzień św. Jerzego nazywa się też Dniem Róży – jest to odpowiednik katalońskich walentynek, zgodnie z tradycją mężczyźni kupują kobietom róże, a one obdarowują swoich ukochanych książkami.

fot. Milena Werner



La Rambla, najbardziej znana ulica Barcelony, tego dnia wypełnia się tysiącami stoisk z książkami i kwiatami.

Fot. Milena Werner

Dzień Książki w Barcelonie



Tradycyjny taniec kataloński, który 23 kwietnia można oglądać cały dzień na Placu Sant Jaume w Barcelonie.

Fot. Milena Werner



Agnieszka Prawdzic czyta po polsku wiersze Wisławy Szymborskiej, które tłumaczone są na hiszpański i kataloński. Przez cały dzień pisarze czytają i podpisują swoje książki na ulicach, co roku odbywa się również 24-godzinny maraton czytania „Don Quixote” Cervantesa.

Fot. Milena Werner



W tym dniu ma miejsce połowa rocznej sprzedaży książek w Katalonii.
Fot. Milena Werner



Katalonia jako pierwsza na świecie zaczęła obchody Dnia Książki.
Fot. Milena Werner

**Dzień Książki
w Barcelonie**



Wiele brytyjskich księgarni oferuje specjalne promocje z okazji Nocy Książki. Londyński Foyles w tym roku rozdaje swoim czytelnikom dwie powieści za darmo.

Fot. Anna Ready

Londyn nocą



Egzemplarz jednej ze specjalnie wydrukowanych na Światową Noc powieści, którą redakcja „Archipelagu” rozdaje tego wieczoru. Oprócz książek trafiających do nowych rąk dzięki wolontariuszom, organizatorzy Nocy dystrybuują również pół miliona publikacji w więzieniach, szpitalach i innych instytucjach.

Fot. Anna Ready



Podczas wieczoru nie brakuje Szekspira. Znany poeta Lemn Sissay recytuje jego sonety. Po oficjalnej części uczestnicy spotkania zaproszeni są do nocnego czytania Szekspira przy świecach.

Fot. Anna Ready

Dzień Książki w Londynie



Książkowe afterparty z udziałem The Hip Hop Shakespeare Company kończy oficjalną część celebracji.

Fot. Anna Ready

Elif Şafak czyta podczas wieczoru fragment swojej najnowszej książki „Honour”.
Fot. Anna Ready





Dzień Książki w Londynie

W Southbank Centre zbiera się kilkaset osób. Tymczasem w całym kraju 20 tys. wolontariuszy rozpoczyna akcję rozdawania specjalnie na tę okazję wydrukowanych 25 tys. książek.
Fot. Anna Ready



Tegoroczna edycja Światowej Nocy Książki odbywa się w londyńskim Southbank Centre z udziałem kilkunastu pisarzy.
Fot. Anna Ready



iiuzj



MAŁI WYBRAŃCY NA GRANICY ŚWIATÓW

Wszyscy pamiętamy, jak rudowłosa gaduła Ania Shirley opętana strachem błagała Marylę, by nie wysyłała jej pod wieczór do domu państwa Barry, do którego droga wiodła przez Las Duchów. Ten przykład mieszania rzeczywistości ze zmyśleniami niespokojnej dziewczęcej główki jest dość sielski – incydent ten staje się dla Ani nauką, by w przyszłości nie dawać się zawładnąć całkowicie swym wizjom. Pojawiają się jednak w literaturze – i w życiu, co do tego nie ma wątpliwości – również mali bohaterowie, u których jawa i fantazja splatają się w dużo większym stopniu, wpływając znacząco na życie ich i ich bliskich. Zapraszam na krótką podróż po dziwacznych, oszałamiająco barwnych lub przeciwnie – nadspodziewanie mrocznych, nieraz wręcz makabrycznych światach dziecięcej wyobraźni.

Anna Maślanka



Żyzna gleba nieszczęścia. Geneza marzeń

Każde dziecko w mniejszym lub większym stopniu potrzebuje fantazjowania. Szczególną jednak pożywką dla wyobraźni stają się niedostatki i niedole swego prawdziwego życia. O ile chętniej niż wychowany w domu opływającym w dostatki paniczek będzie odbijała się od trampop-

w izolacji od rówieśników, w dusznym, wypełnionym oparami whisky i tytoniowym dymem, upstrzonym zużytymi strzykawkami rodziców-narkomanów rodzinnym gniazdku. Matki, rozchwianego emocjonalnie wieloryba dryfującego przez kolejne dni na skrzypiącej kanapie, ciskającego w Jelizę-Rosę od rana do nocy wyzwiskami, córka nienawidzi tak mocno, że gdy rodzicielka schodzi z tego świata po zaaplikowaniu sobie śmiertelnej dawki swego ulubionego metadonu, dziewczynka skacze i piszczy z radości. Czytelnik poznaje ją w momencie gdy wraz z ojcem zostawiają ciepłe jeszcze zwłoki i wyjeżdżają w popłochu na wieś, do domu niegdyś zamieszkanego przez babcię Jelizy-Rose. Tam właśnie, w Krainie Traw, pozbawiona kurateli troskliwego tatusia, który zaraz po przyjeździe pogrąży się w mroku narkotykowego otępienia, mała marzycielka rozwija skrzydła fantazji.

Podobnego koszmaru w domu doświadcza Carrie powołana do życia przez Elizabeth Flock na kartach powieści *Emma i ja*. Tytułowa Emma, która ma wszystkie cechy, jakie sama Carrie chciałaby posiadać – jest odważna, zdecydowana i pewna siebie – ma być sojuszniczką w walce z okrutnym ojczymem, alkoholikiem i pedofilem, i o uwagę matki dbającej o córkę tyle co o zużytą chusteczkę. Mało tego – jeśli przyjrzymy się dokładniej momentom z życia dziewczynki, w których Emma odgrywa znaczącą rolę, zauważymy, że jej postać jest dla Carrie nie tylko pocieszeniem, ale i swego rodzaju narzędziem wypierania ze świadomości wyjątkowo przykrych doświadczeń. W końcu to właśnie Emma idzie zamiast siostry do pokoju ojczyma, kiedy temu zachciewa się jego zwyrodniałych miłosnych igraszek.



👉 *A Heart Gone Mad*, ilustracja Dan-ah Kim

liny fantazji i lądowała wśród obłoków zabiedzona sierota lub zepchnięte z jakiegoś powodu na towarzyski margines, spragnione akceptacji dziecko!

Jeliza-Rose, główna bohaterka *Krainy traw* Mitcha Cullina (na podstawie której Terry Gilliam nakręcił film o tym samym tytule, świetnie oddający psychodeliczny charakter literackiego pierwowzoru) ucieka od godzin spędzanych

małego geniusza z *City Alessandro Baricco*. Bystrzakowi, który w wieku jedenastu lat napisał pracę magisterską z fizyki, wszyscy przepowiadają świetlaną przyszłość, z Nagrodą Nobla w zasięgu ręki. Ojciec zapewnia mu wszystkie środki do życia i pełną swobodę. Jednakże zgodnie z zasadą, że zawsze jest druga strona medalu, to co wygląda na przywilej, w istocie staje się dramatem chłopca – pozbawiony prawdziwego dzieciństwa, dorasta

pod presją swoich wielkich intelektualnych możliwości, których broń Boże nie może zmarnować. Zarówno rówieśnicy, jak i koledzy ze studiów patrzą na niego jak na dziwoląga, zaś pieniądze od ojca nie mogą mu zapewnić tego, czego najbardziej potrzebuje – ludzkiego ciepła, wsparcia towarzysza z krwi i kości. Z nieznośną sytuacją radzi sobie prowadząc drugie życie w alternatywnym świecie, gdzie stale towarzyszą mu dwaj oddani przyjaciele – wielkolud Diesel i niemowa Poomerang.

Z kolei Jess, tytułowa „mała Ikar” z książki Helen Oyeyemi, wychowuje się w na pozór szczęśliwym stadle. Obdarzona jednak ponadprzeciętną wrażliwością, nieśmiała i nad wiek poważna bohaterka, cierpiąca w dodatku z powodu swojego mieszanego pochodzenia (jej matka jest Nigeryjką, ojciec – Brytyjczykiem), nie potrafi odnaleźć się wśród rówieśników, jest szykanowana i wyśmiewana, a na każdy stres reaguje napadem rozdzierającego krzyku – zachowa-

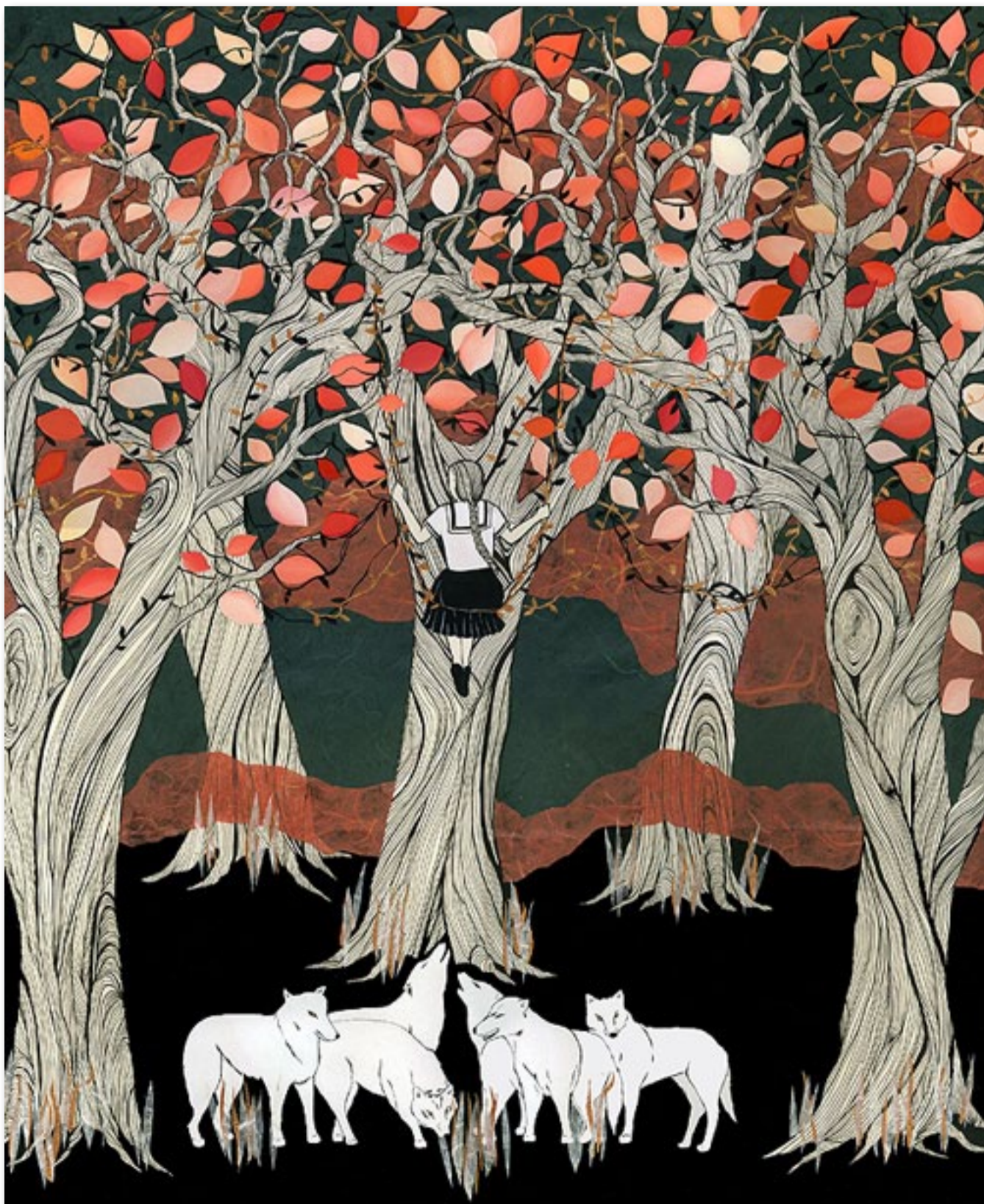
niem, które nie przysparza jej sympatii w towarzystwie, zaś u jej matki budzi wyłącznie dziki gniew. Kiedy więc podczas wakacji w Nigerii w życiu Jess pojawia się tajemnicza, niewidoczna dla innych Titiola (której nigeryjskiego imienia Jess nie umie wymówić, więc używa wygodniejszego dla niej Tilly Tilly), dziewczynka łączy do niej ze wszystkich sił jako do jedynej przyjaciółki i powierniczki.


Gdzie jawa, gdzie sen? O reakcjach otoczenia

Sytuacja, w której bliski nam kilku- czy kilkunastoletek zaczyna mówić o nieistniejących przyjaciółkach, gubiąc się na pograniczu rzeczywistości i fantazji, jest oczywiście bardzo kłopotliwa. W którym momencie takie lawirowanie staje się niebezpieczne, kiedy dobrym pomysłem staje się ściąganie marzyciela na ziemię? Na ogół opiekunom dziecka o wybujałej wyobraźni nie udaje się znaleźć od-

powiedzi na to pytanie. Wymyślony światek zostaje szczelnie zamknięty dla „tych z zewnątrz” – poza paroma wyjątkami, potrafiącymi zobaczyć wszystko oczyma fantazjującego.

Dla Goulda takim cudownym wyjątkiem okazuje się Shatzy Shell. Chłopiec w jednej z pierwszych scen *City* dzwoni do niej, jako do ankieterki jednego z wydawnictw, zbierającej od czytelników opinie na temat planowanego uśmiercenia bohaterki jednego z bardzo popularnych cykli publikowanych przez owe wydawnictwo. I niemal od pierwszej chwili zaczynają rozmawiać swoim tajemnym językiem. Wkrótce Shatzy zamieszkuje u Goulda jako jego guwernantka i od tej pory stają się niemal nierozłączni – spędzają długie godziny na rozmowach, Gould opowiada Shatzy o Dieslu i Poomerangu, Shatzy opowiada Gouldowi o westernie, który zamierza kiedyś nakręcić, i tak bez końca karmią się wzajemnie swoimi bajkami. To właśnie Shatzy, wraz z drobną pomocą kilku uczelnianych profesorów, pomaga małemu geniuszowi zrozumieć, że okrutnie obrabowano go z jego dzieciństwa, i że świat, który sobie stworzył, jest dużo więcej wart niż narzu-



 *Where We Belong*, ilustracja Dan-ah Kim

cona mu kariera naukowa, nawet gdyby zwieńczyć ją miał laur w postaci Nagrody Nobla. Zrzucając wreszcie jarzmo samotności i poczucia winy Gould rozkwita i zaczyna żyć naprawdę. „Albo się patrzy, albo się gra” – mawiał mu kiedyś przyjaciel, profesor Taltomar, i ostatecznie chłopiec postanawia wejść do gry, bez obaw i zahamowań wobec konsekwencji swojego bezczelnego marzycielstwa.

Jeliza-Rose również, niespodziewanie, odnajduje na trawiastym pustkowiu sprzymierzeńca swych fantazji. Jej towarzysz, Dickens, dzieckiem już nie jest, jednak jego umysł nie rozwinął się prawidłowo, przez co, być może, zdołał zachować resztki dziecięcego rozmachu i świeżości spojrzenia. I tak – Jeliza-Rose biega po okolicy z główkami lalek Barbie nadzianymi na palce, tocząc z nimi bezustanne dysputy (ma ich cztery i wszystkie są jej przyjaciółkami, przy czym jej faworytką to lalka Klasyczny Bal Dobroczynny – w skrócie Klasyczna), widzi duchy, smaruje usta trującą szminką, nurkuje w oceanie dając się pochłoniąć połaci falującej trawy i nosi dziecko, które ma się narodzić jako wcielenie Klasycznej, zaś Dickens bada przestrzeń kosmiczną z niebieskimi i czerwonymi gwiazdami na dnie kamieniołomu, przemierza morskie głębie jako kapitan łodzi podwodnej nazywanej Lisą i poluje na pojawiającego się dzień w dzień pod wieczór rekina-potwora. Ciekawym przypadkiem jednostki żyjącej fantazjami – choć w tym wypadku jest to oderwanie od rzeczywistości zupełnie innego gatunku, niż to reprezentowane przez Jelizę-Rose i Dickensa – jest jednak również starsza siostra Dickensa, Dell, której wydaje się, że jest w stanie odpędzić śmierć, odpowiednio preparując zwłoki. Kukłę, którą wedle jej mrzonek uda się kiedyś ożywić, robi z matki śmiertelnie pożądaną przez pszczoły, podobnie postępuje z trupem ojca Jelizy-Rose (kiedy już staje się jasne, że jego przedłużający się marazm nie jest skutkiem narkotykowego amoku, nie tyje, a puchnie, a wydzielany przez niego przeraźliwy odór to nie puszczane bąki, a smród rozkładającego się ciała). Jeliza-Rose zdaje sobie sprawę, że mrzonki Dell zupełnie nie mają sensu, wykazując się w ten sposób nietypową dla swego wieku mądrością (zapewne wykształconą przez lata spędzone niemalże w zamknięciu): „Ale ja nie chciałam skończyć tak jak te stworzenia zastygłe na półce, nie chciałam trwać w takim stanie na wieki. Równie dobrze mogłam pójść do ziemi. Jeśli nie można biegać, krzyczeć i ciąć babeczek, równie dobrze można być martwym”.

Z wyjątkowo ciekawą sytuacją mamy do czynienia, kiedy autor pozostawia w niepewności co do granicy między rzeczywistością a fantazją nie tylko swych bohaterów, ale i samego czytelnika. W *Emmie i mnie* prawda o małej siostrze Carrie wychodzi na jaw dopiero w jednej z ostatnich scen. Wówczas to matka nie wytrzymuje i brutalnie wyjaśnia dziewczynce, że Emma nie istnieje, zaś wszyscy dokoła podjęli grę, zachowując się taktownie i delikatnie, gdyż tak zalecił psychoterapeuta. Jeśli czyta się tę powieść zdając sobie z tego sprawę, łatwo można wyłapać świadczące

o tym szczegóły (np. fakt, że obcy – lub ci nie przejmujący się bajeczką o Emmie, jak ojczym Richard – zwracają się do dziewczynki wyłącznie w liczbie pojedynczej), jednak nieświadomy czytelnik nie zwraca na takie niuanse uwagi i zakończenie jest dla niego sporą niespodzianką. Być może nawet większą niż dla Carrie, ta bowiem ze słów matki niewiele sobie robi – zachowuje się raczej, jak gdyby jej siostra się oddaliła, a nie zniknęła zupełnie, i jedyne co się zmienia to sposób utrzymywania przez nie kontaktu, tym razem poprzez listy. Tak wielka jest siła dziecięcej wyobraźni!

Mocno niejednoznaczna jest też kwestia istnienia/nieistnienia Titioli. Przedstawiona bowiem zostaje tak sugestyjnie, że nie sposób orzec ostatecznie, czy mamy do czynienia jedynie z projekcją umysłu Jess, mroczną stroną jej osobowości, rodzajem emocjonalnego śmietniczka, gdzie gniew, upokorzenie, chęć zemsty ucieleśniają się w postaci na pozór niewinnej czarnoskórej dziewczynki, czy raczej czymś wykraczającym poza ramy umysłu – demonem, rodzajem żydowskiego dybuka? Przy pierwszej opcji stanowczo obstają sceptycznie nastawieni rodzice Jess oraz jej psychoterapeuta, i byłaby to oczywiście możliwość do przyjęcia – należałoby wówczas przyjąć, że Tilly jest dla niej podobnie jak w przypadku Carrie narzędziem wypierania pewnych doświadczeń, lecz tym razem nie przykrości, a własnych aktów niesubordynacji – gdyby nie niepokojące ślady działania rzekomo zmyślonej przyjaciółki. Zbite lustro, zalana wodą łazienka lub nawet zepsuty komputer z powodzeniem mogą być dziełem dziesięcioletniej dziewczynki, zupełnie inaczej jednak sprawy się mają z zerwanymi łańcuchami na bramie wesołego miasteczka, złamaną w pół drewnianą balustradą, zapadaniem się pod ziemię i niewidzialnością. Mimo to na poważnie tak nieprawdopodobną możliwość traktuje jedynie nigeryjski dziadek Jess, doskonale obeznany z afrykańskimi wierzeniami, i jej przyjaciółka Shivs, która na własnej skórze doświadczyła złowrogiej bliskości Tilly Tilly.

Złowroga bestia fantazji

Niezależnie od tego, czy Titiola istnieje tylko w umyśle Jess, czy nie, urzeczywistnia się na pewno poprzez wyraźny wpływ na postępowanie dziewczynki. Podobnie jak grzeczne córeczki i układni synkowie zapatrzeni w swoich zbuntowanych, nonszalancko pociągających z butelki i popalających jointy kolegów, Jess podziwia Tilly Tilly, widzi w niej swoją jedyną prawdziwą przyjaciółkę i pragnie ją naśladować. Z początku dokucza jej sumienie i angażuje się w występne zabawy głównie po to, aby nie zrazić do siebie towarzyski, wkrótce jednak złośliwe zachowania zdają się jej sprawiać coś w rodzaju mściwej satysfakcji. Dopiero kiedy ludziom z otoczenia Jess, którzy sprawili jej przykrość, zaczynają przytrafiać się niewytłumaczalne, dużo poważniejsze przypadłości, których sprawczynią jest



 *Stream of Unwanted Message*, ilustracja Dan-ah Kim

wedle własnych słów właśnie Tilly Tilly, bohaterka uświadamia sobie, że sprawy zaszły za daleko. Na wycofanie się jest jednak już za późno; zaproszona do jej życia, złowroga przyjaciółka bierze je w posiadanie, dążąc do ostatecznego jego przejęcia – wcielenia się w Jess.

Pod wpływem „drugiego ja” zmienia się także Carrie. Emma jest odważna i pewna siebie, ale również bardziej mściwa i pamiętliwa. To prowokatorka, pod wpływem której siostra podejmuje między innymi decyzję o ucieczce z domu, ona także zdaje się być bardziej pojętną uczennicą nienawiści w szkole ojczyma (karmione pogardą dziewczynki wyżywają się na słabszym od siebie – suce pana Wilsona, Brownie). Wreszcie, kiedy gniew i upokorzenie osiągną swoje apogeum, to właśnie Emma sięga po broń i strzela do ojczyma (a więc mechanizm wypierania działa po raz kolejny, tym razem przypominając przypadek Jess – odpowiedzialność za własny występki zrzucona zostaje na swą „zmyśloną” połówkę!).

O ile jednak współczującym czytelnikowi naprawdę trudno myśleć o tym samodzielnym akcie wymierzenia sprawiedliwości Carrie jak o tragedii – w końcu jej i jej matki nie mogło spotkać nic lepszego, niż uwolnienie się od odrażającej kreatury, jaką był Richard – niewątpliwym dramatem, spowodowanym wymknięciem się fantazji spod kontroli,

kończy się *Kraina traw*. W afekcie po grubiańskim potraktowaniu przez siostrę Dickens robi użytek ze znalezionej w kamieniołomie dynamitu i dokonuje zagłady rekina-potwora (który jest oczywiście niczym innym jak pociągiem pasażerskim, przejeżdżającym co wieczór przez pola). Dziesiątki Bogu ducha winnych ludzi padają ofiarą nad wyraz rozwiniętej, nie zrównoważonej zdrowym rozsądkiem wyobraźni – kolejny dowód na mroczną potęgę „dziecięcej” fantazji.

Najbardziej krzepiący jest finał historii Goulda. Do tej pory stale w rozdarciu między narzuconą mu rzeczywistością a ukochanym światem fantazji, ostatecznie chłopiec ulega triumfującej asymilacji z tym drugim – i odchodzi, zabierając ze sobą Diesla i Poomeranga, przyjacielskich jak zawsze i bynajmniej nie budzących w chłopcu destrukcyjnych pragnień. Ląduje na prowincji jako czyściciel toalet – ale czyż można było uczynić zakończenie tej opowieści bardziej znamienym? W końcu to właśnie w trakcie posiadówek w łazience wymyślał kolejne odcinki cyklu o bokserze Larrym Gormanie,

pochłaniającej go w równym stopniu, co Shatzy jej western. Posługując się więc może nieco kontrowersyjnym porównaniem – prozaiczna do bólu toaleta była dla Goulda rodzajem świątyni fantazji, zaś zajęcie, którego się ostatecznie podjął, symbolizuje całkowite zatracenie w religijnym kulcie marzeń.

Kończąc wycieczkę pokretnymi zaułkami dziecięcej wyobraźni, ośmielam się postawić pytanie, czy zawsze skłonna do zmyśleń główka, stanowiąca klucz do innego, barwniejszego świata, jest błogosławieństwem – po to tylko, by zostawić je bez odpowiedzi. Bo o ile niektóre literackie przykłady gloryfikują to dziecięce oderwanie, inne – wręcz przeciwnie, katastrofalnymi skutkami takich skłonności jeżą włosy na głowie. Tak czy inaczej, warto pamiętać o mocy tych słodko-makabrycznych fantazji, i że igrać z nimi nie należy...

Bibliografia:

- A. Baricco, *City*, wyd. Czytelnik, Warszawa 2000.
- M. Cullin, *Kraina traw*, wyd. Prószyński i S-ka, Warszawa 2006.
- E. Flock, *Emma i ja*, wyd. Mira, Warszawa 2006.
- H. Oyeyemi, *Mała Ikar*, wyd. W.A.B., Warszawa 2007.



W LABIRYNCIE SNÓW

Mędracy mówią, że sen jest tylko przypomnienie.

Mędracy przekląć!

Czyż nie umiem rozróżnić marzeń od pamięci?

Adam Mickiewicz

Aneta Granda

Jest takie stare przysłowie, które mówi, że pan młody nigdy nie śni o pannie młodej, dlatego że ma ją na jawie. Sen jest tęsknotą, marzeniem za czymś, czego akurat nie mamy. Według Carla Gustava Junga marzenia senna to fakty obiektywne. Sny nie mogą nas okłamywać. Są niezależne od naszej świadomości i to czyni je tym bardziej wartościowymi. Senna rzeczywistość płynie własnym rytmem, nie zwracając szczególnej uwagi na nasze oczekiwania, ale istnieje też zjawisko zwane snem świadomym, gdzie śpiący zdaje sobie sprawę z tego, że śni. Za twórcę tego terminu uważa się holenderskiego psychiatrę

Frederika van Eedena. Sen jasny, jak jest inaczej zwany, może być kontrolowany, wszystko zależy od poziomu zaawansowania śniącego. Takie sny pojawiły się już w listach Arystotelesa, czy św. Augustyna. A o czym i dlaczego śnimy? To jest tak indywidualne i wielowymiarowe, niejednoznaczne! Wspomniany wcześniej św. Augustyn dziękował Bogu, że ten nie obarczył go odpowiedzialnością za swoje sny. Święty, a jakie musiał mieć koszmary!

W całym XX wieku zainteresowanie snem wzrosło za sprawą Zygmunta Freuda, który stworzył własną interpretację snienia. Istnieje też niezliczona liczba senników,

sięgająca setek lat wstecz, w których analiza najczęściej opiera się na zasadzie powszechności i niezmienności symboli. Wspomniany wcześniej Jung powiedział: „Ci, którzy podejmują trud zrozumienia symboliki snów, znajdują w nich najbardziej interesujące informacje. To prawda, że rezultaty niewiele mają wspólnego z takimi przyziemnymi sprawami, jak robienie sprawunków i sprzedawanie. Ale nasze interesy nie mogą w pełni wyjaśnić sensu naszego życia, ani też konto w banku nie zaspokoi głębokiego pragnienia ludzkiego serca”.

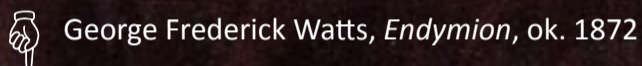
Sen uważany jest za brata śmierci, niezbadany i nieprzenikniony. Od wieków był inspiracją dla artystów. W mitologii pojawia się między innymi w symbolicznej postaci śpiącego pasterza elijskiego, pięknego Endymiona, obdarzonego przez Zeusa wieczną młodością. I choć co noc, by go obudzić, wypowiada nad nim zaklęcia zakochana w pasterzu bogini Selene, młodzieniec śni nieprzerwanie w grocie góry Latmos. Obdarzony spokojnym, wiecznym snem już niczym nie musi się martwić, będąc równocześnie i żywym i... niezłym. Śni, aby nie utracić swej niezwyklej

urody, by na wieki pozostać nieskazitelny, wręcz nierealnym, bo Endymion jest też symbolem delikatnego piękna młodzieńczego, wiecznego uroku młodości.

We śnie każdy jest artystą. Malarze, poeci, rzeźbiarze tworzą dzieła, a nie rzeczy prawdziwe, rzeczy przedstawiające, a nie istniejące. Wszelka twórczość jest całkowitym przeciwieństwem dosłowności, w której interpretacja zależna będzie od indywidualnej wrażliwości odbiorcy. Sen bliższy jest zabawie i sztuce niż materialnej rzeczywistości, choć ociera się o świat nam znany, empiryczny. Marzenia senne są bardziej jak poezja niż proza, bardziej jak muzyka niż instrument. Mit śpiącego Endymiona wykorzystywany jest często w poezji, szczególnie tej romantycznej. Według Junga same mity są zbiorowymi snami ludzkości.

„Nie myśl, nie pisz – podmaluj, pędzel chwyć i namaż Młodzieńca, który w szklany poзира kałamarz, Czarność pełen i rdzy arcy-wulkanicznej”. (...)¹


¹ C.K. Norwid, ****(Nie myśl, nie pisz...)*

 George Frederick Watts, *Endymion*, ok. 1872



Śnimy, gdy nie mamy dostępu do pełnego poznania naszej rzeczywistości. Sen uzupełnia ułomną znajomość świata, dając nam cudowną wskazówkę, ale pamiętać trzeba, że nie jest realny i od rzeczywistości materialnej nas oddala. Młodzieniec nie żyje, ale wiecznie śni. Sen jest jego indywidualnym przeżyciem, wspomnieniem, fenomenem psychicznym, jest jak dzieło artysty. Marzenia senne



 Gerard de Lairese, *Endymion*, ok. 1858

w swej doskonałości są niewyczerpane, kuszą, przyzywają, wciągają, ale nie są materią dotykalaną. Przywodzi to na myśl idee platońskie, gdzie pierwotne ideały jawią nam się tylko cieniem. Nie ma tu zasad i reguł, sen daje wolność i wszechmoc, ale młodzieniec z wiersza nie jest świadom tego, czym jest owa „siła”, czym jest „sztuka”, jest jak „młody ptak, gdy skrzydeł w własnym ciele szuka”². Cyprian Kamil Norwid, w zacytowanym fragmencie wiersza ***(*Nie myśl, nie pisz...*) mówi: niech poniesie cię natchnie-

² Tamże.

nie, ta siła ulotna, na granicy poznania i doznania, uwolnij się i twórz. Żyj i nie żyj zarazem, jak śniący Endymion. Zatrzymaj indywidualność i tożsamość zjawisk, zanurz się w ciemności...

Być tylko „cieniem”, unoszonym „na skrzydłach anielskich, strażnikiem grobów”, tkwiącym pomiędzy życiem a śmiercią, dziełem doskonałym, pięknym, nieprzemijającym, zakończonym i niezamkniętym równocześnie. Do-

stać, w zamian za życie, „nieśmiertelność marzeń wiecznie młodą, z pogodą ducha” ją wziąć. Czym jest marzenie nieśmiertelne, które nigdy się nie pomarszczy? Czy to miłość, którą zamknąć można pocałunkiem, tęsknota za wolnością, za tworzeniem, wiecznym szczęściem, rajem utraconym? Cytując za Adamem Asnykiem:

„O wieczność taką zyskać sobie senną
Z takim aniołem, co życia nie budzi,
Lecz tylko dusze kołysze promienną
I łzami czoło rozpalone studzi (...)³”

Asnyk rozumem jest pozytywistą, ale serce ma romantyka. Mówi słowami podmiotu lirycznego: jestem „nowym Endymionem, strażnikiem grobów, które proszą o łzy i miłość (...)”, pragnie być „cieniem, którego skrzydła anielskie unoszą między nicością a grobów marzeniem (...)”. Poezja łudzi, że jest głosem świętym, wieścią z drugiego świata, cudownym odbiciem krainy snu, jej zwierciadłem. Jest, albo raczej chce uchodzić, za sen, pragnie zatrzeć granicę między sferą snu a twórczością, choć sama jest i będzie zawsze zobiiektywizowaną formą słowną.

Romantyzm tonął w symbolach, w wybujałych emocjach, w sennych marach. Poeci, rzeźbiarze, malarze tworzyli dotychczas dzieła istniejące obok świata realnego, dodając do niego nowe przedmioty. Barok tworzył abstrakcyjne i oderwane dzieła sztuki, pełne zamaskowanych form, obrazów symbolicznych, teatralnych, wybujałych w swym rozmachu. Oświecenie przyniosło bajkę, jako scenariusz snu, wszak sen i bajka zawierają w sobie znaczenie ukryte, zawarte w podtekście. Romantyzm zaś przyniósł poetę zbuntowanego, marzyciela uciekającego od świata realnego w świat sennych widziadeł, dyskutującego na równi z Twórcą, żyjącego obok duchów, zjaw sennych. Romantycy, na przekór sztuce klasycznej i neoklasycznej, tworzyli dzieła przeciwstawne realnej rzeczywistości, celebrowali ulotne piękno chwili, ulotne i rozwiane jak sen. Mówili, że szczęście, którym cieszyć się można tylko przez chwilę, warto jest się zachłysnąć, wejść w niego całym, oddychać nim, nawet gdyby za moment miało prysnąć niczym bańka mydlana.

³ A. Asnyk, *Endymion*



„Co piękne, cieszyć nigdy nie przestanie:
Zamiast w nicości zginąć oceanie –
Będzie piękniało jeszcze bardziej (...).”

Śniąc, kochając, bawiąc się niczego nie tracimy, wszak piękno nigdy nie przestaje przynosić radości, a wręcz przeciwnie, potęguje wszelkie doznania. John Keats, autor zacytowanego powyżej fragmentu z poematu *Endymion*, był twórcą romantycznym, choć pierwsze jego utwory nawiązywały jeszcze do klasycyzmu. Poeta wyznawał piękno pojmowane sensualistycznie, poprzez zmysły. Keats mówi, że należy poznawać empirycznie, bowiem wszelka wiedza pochodzi od wrażeń zmysłowych. Każdy dzień przywiązuje nas jeszcze bardziej do świata materialnego, rzeczywistego. Efemeryczność marzeń, także tych sennych, wypycha nas jednak ku życiu jeszcze bardziej, prowadząc na sam jego koniec, do śmierci. Sen jest nagrodą, występuje jakby na przekór „dziejnej pomroce, pustce nieczłowieczej”.

„Co rano tedy wijemy na nowo
Girlandy z kwiatów, które nas jak sznury
Wiążą z planetą, na przekór ponurej
Dziejnej pomroce, pustce nieczłowieczej,
Szukaniu, które niczego nie leczy
I nie wyjaśnia (...).”

„Nic nie jest bardziej wasze, jak wasz sen” – napisał dwieście lat później Fryderyk Nietzsche. Sen jest częścią człowieka, fizjologicznym regeneratorem sił, marzeniem sennym, a według Freuda, odzwierciedleniem naszej podświadomości. Sen Endymiona jest ucieczką z rozczarującego świata rzeczywistości materialnej. Młodzieniec śni zawieszony pomiędzy ziemią a Hadesem, harmonijny i niezmienny, zanurzony w sen, jak w wodę. I to jest jego sen, całkowicie indywidualny, niezważający na nic, obojętny na burze świata realnego. W przeciwieństwie do zakochanej bogini, jego świat pełen jest spokoju. Nią targają emocje, tęsknota, ona pragnie go mieć w świecie rzeczywistym.

„Selene woła nas: Endymion we śnie krzyczy.
We śnie nieprzespanym świat czeka na głos słowicy (...).”

Księżyc lunatyk, *La Luna somnambula*, to kolejny utwór wykorzystujący mit o Selene i Endymionie. Jego autorem jest symbolista rosyjski, Wiaczesław Iwanow. Dusza tego poety „wędruje bezdomna wśród nadgwiezdnych, chłodnych przestrzeni”, wyrażając Pascalowski lęk przed „wiecznym milczeniem tych obszarów”, (...) poszukującą



 Francesco Trevisani, *Diana i Endymion*, ok. 1700

„gwiazd przewodnich”⁴. Utracenie zdolności odczuwania harmonii świata to największy lęk symbolistów, którzy uważali, iż tworzyć można tylko z rzeczy zaczerpniętych z empirii. Używając wszelkiego rodzaju sztuki, ujawniali senne marzenia i fantazje, uważając że treści metafizyczne można zrozumieć jedynie poprzez emocje, intuicję, poprzez podświadomość. Kierunek czerpał z filozofii Henriego Bergsona, a przede wszystkim z Artura Schopenhauera.

„Promieniom szukać cię i wołać, i dotykać,
I w lekkopalcym śnie w otwartą duszę wnikać”.

Iwanow uważa, że nie ma nic ponad poezję, gdyż sięga ona świata duchowego, dotyka istoty boskiej. W jego twórczości znajdziemy ślady koncepcji platońskiej, bowiem symboliści przekonani byli co do istnienia niepoznawalnego zmysłami bytu idealnego.

„Twa dusza echem jest, zgubnym i dalekim.
I skrywa się, i drży... A księżyc z góry ścieka
I lgnie, i zbliża się – poświatą otoczona
Dusza omdlewa w sen i w pocałunkach kona”.

Tekst poetycki przemawia do widza w dwóch planach, symbolicznym i realistycznym, obserwujemy tzw. wielość w jedności, charakterystyczną dla twórczości symbolistów. Symboliści odwoływali się do sfery uczuciowej, pragnęli wyrażać nieuchwytny stany emocjonalne, a nie rozumowe. Świat materialny jest światem niszczywalnym, za którym ukrywa się ten transcendentalny, a którego nie da się poznać inaczej niż zmysłami i emocjami.

⁴ http://www.v-ivanov.it/wp-content/uploads/2010/12/bobilewicz-brys_renesansowe_analogie_1992_text.pdf

Przełom wieku XIX i XX był czasem wielkich indywidualistów i nie sposób tu zarysować wszystkich. Hasłem sztuki XX wieku było powiedzenie, że świat jest uzewnętrzną wizją wnętrza artysty. Jednym z wiodących kierunków tego okresu był surrealizm. André Breton, teoretyk ruchu, stworzył definicję surrealistów: „Surrealizm jest to czysty psychiczny automatyzm, za pomocą którego człowiek usiłuje wyrazić prawdziwe funkcjonowanie myśli – słownie, pisemnie lub w jakikolwiek inny sposób. Jest on dyktowany przez myśli bez jakiegokolwiek kontroli rozumu, poza wszelkimi założeniami estetycznymi czy moralnymi. Surrealizm polega na wierze w przeważającą rzeczywistość pewnych zaniedbanych dotąd związków asocjacyjnych, we wszechwładzę snu, w samoistną zabawę myśli. Dąży do tego, aby ostatecznie zniszczyć wszystkie inne psychiczne mechanizmy i wstąpić na ich miejsce dla rozwiązania najważniejszych problemów życia”. To są też poglądy Freuda.

Od rozsądku ważniejsze stają się popędy, marzenia sennego, podświadomość. Freud jednak starał się wydobywać cienie i strapienia z podświadomości człowieka, a surrealiści poszli o krok dalej, chcąc przelewać sny, halucynacje, przeczucia z psychiki artysty w psychikę odbiorcy dzieła. Obok surrealizmu mieścił się abstrakcjonizm, a o obrazach Chagalla trudno mówić, nie wspominając o snach. Brak grawitacji, przekształcenia, wszystko jak w dobrym śnie jest łatwe i możliwe. Sztuka abstrakcyjna chce rozpocząć od „punktu zerowego”, unikając wszelkich aluzji do przedmiotów, całkowicie przeciwstawiając się symbolizmowi. Od przyrody plastyka nie chce pożyczać niczego. I zapomina przy tym, że pożycza od niej wszystko. Obraz nie ma symbolizować smutku, sam ma być smutny.

Nowa współczesna plastyka, w ślad za filmem, chce *pokażać* śpiew, a nie go opowiadać. Widz szuka nie tylko znaków, ale przede wszystkim obrazów. Coraz częściej chce uciec ze świata realnego w świat wirtualnej rzeczywistości, którą może dowolnie modyfikować według własnych upodobań, niemalże jak senną rzeczywistość. I, co ważne, z której w każdej chwili może uciec. Zupełnie inaczej niż mitologiczny Endymion. Ale i tu i tu, w sztukach plastycznych, w filmie, czy w literaturze, drugi świat pomaga temu pierwszemu. Czuwa nad nim, jak Selene nad śpiącym Endymionem.

Aneta Granda jest poetką, autorką tomiku poezji **Listy z innego raj**, który wkrótce zostanie wydany przez Warszawską Firmę Wydawniczą.





NIBYMAGIA.

KILKA SŁÓW O FANTASTACH I ILUZJI

*Dwie są bowiem bramy zwiewnych snów: jedna z rogu, druga z kości słoniowej.
Te, które przechodzą przez rżniętą kość słoniową, są zastonięte i niosą czcze słowa...*
(Homer, Odyseja, pieśń XIX, przeł. Jan Parandowski)

Aleksandra Klęczar
Ilustracje: Justyna Marciniak

Iluzja, jak sen, wydaje się stać na pograniczu rzeczy i zjawisk pozornie do siebie nieprzystawalnych: magii i rzeczywistości, świata ludzkiego i nadludzkiego. Według Greków – dla których wiara w możliwość bezpośredniego kontaktu bóstwa z człowiekiem za pośrednictwem wróżebnych snów i wyroczni była bardzo ważnym składnikiem religijności – łądzące i nieprawdziwe wizje niosły ze sobą zagrożenie. Przez wizje i sny bogowie mogli przecież komunikować się z człowiekiem, przekazywać mu informacje, ostrzegać, grozić. Każdy jednak z tych snów, które coś znaczyły i pokazywały, mógł okazać się fałszywy: wyjść z Hadesu na świat przez bramę z kości słoniowej i nie nieść w sobie ani odrobiny prawdy o przyszłych wydarzeniach. Iluzje i łądzące sny wprowadzały niepokój, kazały poddawać w wątpliwość coś, co potencjalnie mogło nieść ze sobą przesłanie od bogów lub rozważać prawdziwość wizji, która równie dobrze mogła być fałszywa.

Iluzja jednak nie jest tylko rozmywającą prawdę wizją, która wzięta za wiadomość od sił wyższych, może oszukać człowieka. Jest także czymś, co stoi na pograniczu rzeczy możliwych i niemożliwych, niejako dwóch rodzajów magii: tej rozumianej jako jak najbardziej realne i wytrenowane umiejętności magika, czarującego publiczność oraz magii w znaczeniu manipulowania rzeczywistością przy pomocy nadnaturalnych umiejętności. W fantastyce – a to jej chciałabym poświęcić niniejszy szkic – ten właśnie aspekt iluzji: to, że nie tyle udaje ona magię, nie będąc nią, ile raczej samą magię ukrywa, stanowiąc jednocześnie jeden z jej aspektów, wydaje się szczególnie interesujący. Kilka przykładów pozwoli, mam nadzieję, pokazać, jak autorzy mierzą się z konceptem iluzji i jak mniej lub bardziej pomysłowo go wykorzystują.

Iluzja jest magią dostępną i akceptowalną w realnym świecie i jako taka znakomicie nadaje się do maskowania prawdziwej, manipulującej rzeczywistością magii. Taki jest, *de facto*, punkt wyjścia powieści *Prestiż* Christophera Priesta, której adaptacja filmowa, napisana przez Jonathana i Christophera Nolanów i wyreżyserowana przez tego ostatniego, jest moim pierwszym punktem odniesienia. Mimo sporych zmian, jakie scenarzyści wprowadzili do fabuły, idea jest podobna: rywalizacja dwóch arcymistrzów scenicznej magii. Jeden z nich, Alfred Borden, rzeczywiście posługuje się posuniętą do psychologicznej ostateczności iluzją: jego fenomenalne sztuczki z teleportacją mają zaskakująco proste, choć trudne do przewidzenia wyjaśnienie, jakim jest istnienie brata-bliźniaka. Publiczna persona Bordena w rzeczywistości od początku odtwarzana była przez dwóch ludzi, z wyglądu niemożliwych do odróżnienia; nikt, nawet żona jednego z nich i kochanka drugiego, nie znał prawdy. Ale to nie wszystko – po stronie Bordena mamy iluzję tak doskonałą, że nieprzenikalną nawet dla innych magików. Nie mogąc jej pojąć i pragnąc za wszelką cenę stworzyć coś, co jej dorówna, drugi z bohaterów – chorobliwie ambitny Robert Angier – *de facto* odkrywa

prawdziwą magię (albo raczej, by strawestować znane powiedzenie Isaaca Asimova, naukę na poziomie niemożliwym dla epoki, w zasadzie nieodróżnialną od magii). O ile za iluzją Bordena stoi bardzo śmiało (i, dodajmy, bardzo okrutnie) wymyślona realistyczna sztuczka, o tyle magia/technika Angiera jest jak najbardziej prawdziwa (co jej nie czyni, bynajmniej, mniej okrutną). Na kontraście między iluzją a magią, oszustwem zmysłów a manipulacją rzeczywistością, oparta jest cała koncepcja rywalizacji Angiera i Bordena: jeden z nich nagina ludzką psychikę, by wywołać efekt magii, drugi zaś nagina prawa fizyki, by imitować iluzję.

Iluzję, która wydaje się magią, a nią nie jest, wykorzystuje w błyskotliwy sposób Celia S. Friedman, autorka SF i fantasy zasługująca na znacznie większą popularność niż ta, którą się obecnie cieszy. W swoim najbardziej znanym cyklu, wydanej również w Polsce, a stojącej na pograniczu SF i fantasy *Trylogii zimnego ognia*, Friedman kreuje świat, w którym iluzje mogą, dosłownie, zabijać. Świat Erny – planety, na której raczej z desperacji niż z powodu jej rzeczywistych zalet jako Nowej Ziemi od ponad tysiąca lat istnieje ludzka kolonia – pełen jest stworzeń, które nie mają prawa istnieć. Pierwsi koloniści, kiedy ich towarzysze zaczęli ginąć w dziwacznych okolicznościach, mieli wszelkie powody podejrzewać, że nie są jedynymi mieszkańcami nowo skolonizowanej planety. Ludzie nie natknęli się jednak na Ernie na zabójczą obcą rasę – zamiast

*Iluzja jest magią dostępną
i akceptowalną w realnym świecie
I JAKO TAKA ZNAKOMICIE
NADAJE SIĘ DO MASKOWANIA
prawdziwej, manipulującej
rzeczywistością magii*

tego, ku ich zdumieniu i przerażeniu, czekały tam ucieleśnione koszmary, które przywieźli sami ze sobą ze starej Ziemi. Monstra i demony z ziemskich legend, potwory z baśni, wszystko to, co czai się ukryte w podświadomości i sprawia, że budzimy się nocą z krzykiem, na Ernie zyskało namacalną, cielesną – i zabójczą – formę. Odpowiedzialna za to nie była jednak magia w żadnej jej formie, a zjawisko całkiem dla Erny naturalne: forma energii zwanej *fae*, wchodzącej w interakcje ze świadomymi formami życia i przekształcającej otaczającą bohaterów rzeczywistość. Na Ernie iluzje – iluzje wampirów, demonów, bogów, wydobyte na jaw z mroków ludzkiego umysłu – stają się ciałem i zaczynają funkcjonować obok ludzi i na równi z nimi, zagrażając stworzonemu przez nich porządkowi. Na Ernie, tak naprawdę, nawet Bóg i Szatan są *de facto* tworam ludzkiego umysłu, ukształtowanymi tak, by odpowia-



dać potrzebom tego konkretnego świata i odbijać to, co najlepsze oraz to, co najgorsze w naturze ludzi z Erny.

Fae nie do końca jest w ludzkim rozumieniu tego słowa świadoma, choć może wchodzić w mniej lub bardziej świadome interakcje z różnymi istotami – paktów zawierane przez ludzkość z planetą są jednym z wiodących motywów cyklu Friedman. Są jednak na Ernie istoty, których prawdziwej natury ludzie nie rozumieją, a które potrafią mistrzowsko posługiwać się właśnie iluzjami. Iezu, uważani przez mieszkańców Erny za wyższą klasę demonów, są w rzeczywistości, podobnie jak ludzie, rozbitkami – potomkami obcej rasy, której statek rozbił się na Ernie milenia wcześniej. Oni to – czczeni jako bogowie albo wykliniani jako demony – są prawdziwymi mistrzami iluzji. Zarówno wspierający pozytywnych bohaterów powieści, a stylizujący się na bożka przyjemności i rozkoszy Karril, jak i pragnący zagłady ludzkości główny antagonist, Calesta, manipulują rzeczywistością, by osiągnąć zamierzone cele. Karril zazwyczaj egzystuje w świecie namacalnych wizji, które sam sobie tworzy: otoczony nieistniejącymi luksusami częstuje swoich gości winem z kielicha pojawiającego się znikąd. Calesta z kolei jest manipulatorem *par excellence*: jego iluzje potrafią oszukać najlepszych. Geralda Tarranta, swojego przeciwnika-czarnoksiężnika, którego zabiłoby wyjście na słońce, Calesta oszukuje iluzją nocy, maskującą nadejście świtu, a Tarrant – niewątpliwie najpotężniejszy z ludzkich magów, jakich znała historia Erny – prawie daje się oszukać. Iluzje Calety maskują interwencję wrogiego człowiekowi gatunku w strukturę kościoła na Ernie i ukrywają pod postaciami dzieci grupę nieszczęsnych, obłąkanych i zdeformowanych wyznawców demona. Nie on jeden zresztą używa sztuki iluzji, wzmocnionej przez naturę planety, do osiągnięcia swoich celów: nie czym innym przecież, jak właśnie iluzją, posługuje się Patriarcha Kościoła w swej krucjacie przeciw Tarrantowi. Twierdza czarnoksiężnika w rządzonej przez niego Puszczy jest niedostępna dla nikogo – no chyba, że jego jedynemu żyjącemu potomkowi, przez kaprys genów niezwykle podobnemu do czarnoksiężnika fizycznie (a i mentalnie, chciałoby się powiedzieć) uda się oszukać *fae* i poprowadzić Patriarchę wraz z armiami wiernych do samego serca ciemności...

U Celi S. Friedman iluzja jest prawie-magią, nibymagią – bo opartą na prawach fizyki i jej wymyślonego świata i dzięki nim możliwą. Moc tworzenia iluzji bywa jednak także magią *sensu stricto*: znajdziemy ją w repertuarze całego mnóstwa literackich, filmowych i znanych z gier magów i czarodziejów płci obojga, a także wszelkiego rodzaju istot, niekoniecznie ludzkich, posługujących się magią. Sam fakt, że hasło „iluzja” znalazło się w napisanym przez Dianę Wynn Jones jadowniczym złośliwym *Przewodniku po bezdrożach fantasy (Tough Guide to Fantasyland)*, w którym autorka wylicza i opisuje w formie ironicznego przewodnika, niezbędnego podczas wyprawy do fantastycznej krainy, wszelkie banały, schematy i bezreflek-

syjnie powtarzane w gatunku fantasy motywy, mówi sam za siebie. Ale można też użyć motywu iluzji inaczej, pomysłowo i oryginalnie – tak jak zrobił to w *Tiganie* Guy Gavriel Kay. W tej powieści iluzja jest narzędziem zemsty – a pożeniona z niepamięcią, potrafi być narzędziem zaiste morderczym. Brandin z Ygrathu, czarnoksiężnik i nieszczęśliwy ojciec, rzuca u Kaya zaklęcie na całą krainę, której mieszkańcy ośmielili się stawić mu czoło i doprowadzili do śmierci jego syna. Ich ziemię, nazwę, wszystko, czym byli, okryje zapomnienie: ludzie będą nazywać ich kraj obcą nazwą i zapomną, że Tigana kiedykolwiek istniała. Wymazani z historii, pod iluzją obcej nazwy i pod obcym panowaniem, mieszkańcy Tigany – jedynie urodzeni w Tiganie jeszcze przed wojną nie są pod wpływem iluzji – musieliby dokonać niemożliwego, by odrzucić magię Brandina i zerwać ze swojej ziemi i swojej historii zasłonę niepamięci...

Sztuka splatania iluzji i oczarowywania nimi nieświadomych ofiar znana bywa nie tylko magom, ale i wszelkiego rodzaju zaklętym lub czarodziejskim istotom. Tak też jest – by zakończyć rozpoczęty cytatem z *Odysei* tekst innym odwołaniem do dzieła Homera – z mitycznymi syrenami, których oszałamiająca pieśń sprowadza śmierć na nieszczęśnika, który słysząc ją przestaje odróżniać rzeczywistość od prawdy. Ci, którzy zbliżą się do wyspy syren, ulegną iluzji zaklętej muzyki, o której niemal dwa tysiące siedemset lat po Homerze pisał inny wielki poeta, Rainer Maria Rilke:

„...tamte wyspy w złocistym pyle
których widok nawet grozę przemienia,
że nie wyje jak sztorm, nie szaleje,
lecz zbliżając się wśród milczenia,
nad głowami marynarzy wieje,
którzy wiedzą, że tam, na złotych
wyspach, śpiewa coś – i pochyleni
nad wiosłami, oślepli z tęsknoty,
są osaczeni
ciszą, w której wszystkie dale toną,
a wiejącą do uszu ich,
tak jakby był jej drugą stroną
śpiew, któremu nie oprze się nikt”.
(tłum. M. Jastrun)





KAŻDY Z NAS JEST ALICJĄ

Powstała w XIX wieku opowiadka o śnie pewnej dziewczynki do dziś roztacza nad czytelnikami swój czar, uwodzi i frapuje. Alicja bowiem reprezentuje nas samych, a my wszyscy nieustannie stykamy się z Krainą Czarów – nawet jeśli nie odwiedzamy jej na co dzień, zaglądamy do niej przez dziurkę od klucza...

Kamila Kunda

Początki

Była sobie kiedyś mała dziewczynka, Alice Liddell. Pewnego lipcowego dnia 1862 roku wybrała się ona na wycieczkę łodzią po Tamizie wraz z ojcem, rektorem koledżu Uniwersytetu Oksfordzkiego Christ Church, siostrami i Charlesem Dodgsonem, wykładowcą matematyki w tym samym koledżu, w którym pracował jej ojciec. Dodgson lubił córeczki przyjaciela i jak zwykle wymyślił historyjkę, by je zabawić. Po paru dniach Alice zaczęła nalegać, by opowiadanie spisał. Tak powstały *Przygody Alicji w Krainie Czarów*, wydane po raz pierwszy w 1865 roku, a Charles Dodgson przyjął pseudonim literacki Lewis Carroll.

Opowieść o dziewczynce, która w pogoni za Białym Królikiem wpada do długiego korytarza w ziemi, a potem przeżywa moc przygód w świecie rządzącym się swoimi prawami, z początku zainteresowała tylko nielicznych. Ilustracje Johna Tenniela, który czterdziestoma dwiema rycinami ozdobił pierwsze wydanie książki, zyskały więcej pochwał niż sama historia. Wydana kilka lat później druga część przygód Alicji *Po drugiej stronie lustra* zwró-



Ilustracja: Lisbeth Zwerger

ciła uwagę na pierwszą. Pod koniec XIX wieku uznano wreszcie nieodwołalnie wielkość książki Carrolla. Walter Besant, powieściopisarz i historyk żyjący w tamtych la-

tach stwierdził nawet: „*Przygody Alicji w Krainie Czarów* są książką tak rzadkiego rodzaju, że należeć ona będzie do kolejnych pokoleń aż do czasu, gdy język stanie się przeżytkiem”. Pierwszymi fanami Alicji była królowa Wiktorja i mały Oscar Wilde, z czasem miłośników przybyło. Dziś szacuje się, że książka została przetłumaczona na co najmniej dziewięćdziesiąt siedem języków. Samych brytyjskich wydań naliczono ponad sto.

Zainteresowanie przygodami małej Alicji nie słabnie. W ubiegłym roku muzeum Tate w Liverpoolu poświęciło całą wystawę *Alicji w Krainie Czarów* i dziełom powstałym z inspiracji książką. Nie ma drugiej powieści dla dzieci, z dziecięcą bohaterką, która tak fascynuje dorosłych. Co jest w niej takiego, że przyciąga czytelników, a kolejne pokolenia artystów poddają się jej magii i uważają, że nawiązujących do niej prac jest wciąż nie dosyć?

„Alicja to ja”

Gdy oddajemy się lekturze opowieści Carrolla, trudno zachować dystans, porzucamy pozycję obserwatora, by przeżywać i rozmyślać razem z główną bohaterką. Stajemy się Alicją, biegniemy za Białym Królikiem, wpadamy do tunelu i próbujemy zaprowadzić ład w świecie, w którym pojęcie to nie ma racji bytu. Wiele jest pozycji literackich i filmowych, opowiadających o splataniu fantazji z rzeczywistością, *Przygody Alicji w Krainie Czarów* są jednak wyjątkowe z różnych względów. Można by sparafrazować Flauberta i rzec: „Alicja to ja”. Któż z nas nie miał snu, w którym błądziłby w czasoprzestrzeni, nie wiedząc dobrze kim jest, co robi i jak się z niej wyplątać? Przez lata psychologowie i seksuolodzy nagromadzili setki stron analiz przygód Alicji – sny, jak mało co, stanowią smaczny kąsek dla naukowców, wciąż jednak zbyt mało wiadomo o nocnych marach i procesach, jakie podczas spania zachodzą w mózgu, by traktować wszystkie owe analizy poważnie. Podróżując na jawie zaś stykamy się z kulturami, w których nasze pojmowanie świata bywa niezrozumiałe, a otaczające zwyczaje zdają się być tak osobliwe, że przypominają Krainę Czarów.

Przygody Alicji w Krainie Czarów nie są osadzone w konkretnym czasie ani miejscu. Alicja jest dorastającą dziewczynką i nie ma dziś znaczenia, że jej perypetie spisane zostały w drugiej połowie XIX wieku. Doszukać się można wprawdzie sytuacji, w których daje o sobie znać rygor wiktoriańskiego wychowania; Alicja zawsze zwraca uwagę, by zachowywać się przyzwoicie, by robić, to, co wypada. Skupienie na formach grzecznościowych i duszenie w sobie negatywnych emocji zdaje się być jednak uniwersalne także dla niektórych dzisiejszych społeczeństw, np. japońskiego. W Alicji można znaleźć uosobienie przykła-
dów dwóch kluczowych japońskich konceptów: *honne* (skrywane, prawdziwe uczucia i pragnienia) i *tatemaie* (to, co na wierzchu – zachowanie i opinie prezentowane pub-



Ilustracja: Trevor Brown 

licznie). Bardzo rzadko bohaterka pozwala sobie na wybuchy złości czy płacz w obecności innych. Być może to po części tłumaczy olbrzymią popularność powieści w Japonii, każdy obywatel Kraju Kwitnącej Wiśni jest bowiem w stanie utożsamiać się z Alicją.

Najważniejszym problemem, jaki dręczy Alicję, jest uniwersalna, ponadkulturowa, bliska niemal wszystkim czytelnikom próba zrozumienia własnej tożsamości. Już na samym początku przygody, bohaterka, kurcząc się naprzemiennie i rozciągając, zastanawia się głośno: „Czy aby nie zamieniono mnie w kogoś innego w nocy? Bo, prawdę mówiąc, czuję się jakoś inaczej. Ale jeśli nie jestem sobą, to w takim razie kim właściwie jestem? W tym tkwi największa zagadka”. Do tej kwestii dziewczynka będzie wracała jeszcze wielokrotnie. W rozmowie z Panem Gąsienicą, który zaczął konwersację od pytania „Kim jesteś?”, Alicja szczerze odpowiedziała: „Ja... ja naprawdę nie bardzo

wiem w tej chwili, kim je s t e m, proszę pana. Mogłabym powiedzieć, kim b y ł a m dziś rano, ale od tego czasu musiałam się już zmienić wielokrotnie”. Podobnie jak Alicja większość z nas doświadcza prawa Heraklita „pantarhei” („wszystko płynie”) – koncepcji zmiany jako centralnego elementu świata. Nigdy nie wiemy, kim dokładnie jesteśmy, zmieniamy się bowiem z każdą chwilą. Idąc spać wieczorem, jesteśmy kimś innym niż byliśmy o poranku. Nie wiemy nigdy z całą pewnością, czy jesteśmy tymi, którymi sądzimy, że jesteśmy. Co stanowi o naszej naturze: to, jak widzimy siebie, czy to, jak widzą nas inni? W dodatku świat wokół nas i wszyscy dookoła również podlegają nieubłaganym prawom wiecznej metamorfozy.

Przemycana filozofia

Lecz czy ten świat w ogóle istnieje? Carroll niekiedy igra z buddyjską i wedyjską koncepcją *mai*, czyli iluzją, oparciem się na myśli, że nie doświadczamy otoczenia takim, jakie ono jest, ale że jego obraz jest przez nas przefiltrowany i odbieramy go w zafałszowany sposób. Postaci w powieści pojawiają się znikąd i rozpluwają się w nicość. Podróż Alicji po Krainie Czarów można interpretować przeto jako drogę ku oświeceniu, ku zrozumieniu różnicy między tym, co prawdziwe, a tym, co iluzoryczne. Końcowy okrzyk Alicji do karcianej Królowej: „Jesteście zwykłą talią kart, niczym więcej” i jej natychmiastowe przebudzenie może oznaczać, że udało jej się osiągnąć oświecenie. Oświecony znaczy przecież tyle samo co przebudzony.

Przygody Alicji można potraktować jako niezobowiązujący pierwowzór *Świata Zofii* Jostaina Gaardera, zdecydowanie jednak bardziej figlarny i nieoczywisty. Carroll wprowadza Alicję, a więc nas samych, w tajniki filozofii. Poza Heraklitem, filozofią buddyjską czy wedyjską, mamy do czynienia z logicznym rozumowaniem (które nie przynosi oczekiwanych efektów w Krainie Czarów), sylogizmami, reifikacją (traktowaniem abstraktów jako rzeczy

materialnych), ale nade wszystko z racjonalizmem karte-
zjańskim oraz elementami filozofii języka Wittgensteina
i Koła Wiedeńskiego. Zaprezentowane jest to w sposób jak
najbardziej naturalny, by edukować rozrywką, a że dzie-
cko z natury jest ciekawskie i lubi intelektualne wyzwania
– filozoficzne dylematy podane są w formie lekkostrawnej
zabawy. Filozofii opakowanej w magię sennych przygód
trudno się oprzeć.

Różne twarze Alicji

Sam tekst książki, mimo że wyjątkowy i nie dający się za-
pomnieć, nie może jednak istnieć bez ilustracji. W świadomości
czytelników *Przygód Alicji w Krainie Czarów* słowo
i obraz są ze sobą nierozzerwalnie związane, nieważne,
czy na myśl przychodzą nam klasyczne ilustracje Johna
Tenniela, Olgi Siemaszko (do polskiego przekładu Antoniego
Marianowicza) czy któregoś ze współczesnych ilustratorów.
Każda dekada stworzyła swoich twórców, którzy na
warsztat brali fantasmagorie Alicji. Mnogość stylów osza-
łamia: secesja, art deco, surrealizm, psychodeliczne kolo-

nie ma tylu twarzy, tylu różnych osobowości. Ilu twór-
ców, tyle interpretacji. Warto zauważyć, że Alicja wyszła
poza ramy rysunku, stała się ikoną popkultury, na równi
z Marilyn Monroe, Elvisem Presleyem czy Myszką Miki.
Obecna jest w filmach, animacji, grach komputerowych,
w komiksach, modzie oraz w kulturze zwanej wysoką (po-
wstał balet, a nawet opera o jej przygodach). W Tokio mie-
ści się restauracja Alice in Wonderland, gdzie klient może
mieć złudzenie przeniesienia się choć na parę godzin do
świata bohaterki Carrolla. W Warszawie można wybrać się
do kawiarni-restauracji Pędzący Królik, w którym wystrój
inspirowany jest postaciami z powieści. Kilka lat temu
w Londynie na jednej z ulic w dzielnicy Islington, na któ-
rej organizowany jest latem coroczny festiwal, urzędzo-
no imprezę pod hasłem *Przygód Alicji w Krainie Czarów*.
Po ulicach chodziły wówczas Króliki, Alicje, Zwariowane
Kapeluszniki, Tweedledum i Tweedledee oraz inne wcie-
lenia postaci z obu części książek.

Historia Alicji jest tak dobrze znana czytelnikom na całym
świecie, że zostaje często przedstawiana we fragmentach,



rowe maziaje, gotyk. Alicja portretowa-
na była i jest w ilustracjach i licznych
ekranizacjach filmowych jako słodkie
i niewinne dziewczę (np. u Disneya), feministka walcząca
o prawo do własnego zdania (np. u Tima Burtona), per-
wersyjna lolitka (w ilustracjach Trevora Browna), cieka-
wska paniątka (w filmie Jana Švankmajera), szalona luna-
tyczka-schizofreniczka (na obrazie Dorothei Tanning)
i w wielu innych wcieleniach. Żadna inna dziewczynka

 Alice Liddell z Lewisem Carrolllem

Dorothea Tanning, Eine Kleine Nachtmusik, 1943 

wypowiedzi bohaterki czy spotkanych przez nią istot
wyrwane są z kontekstu, zniekształcane, parafrazowane
i rozkładane na czynniki pierwsze w każdy możliwy spo-
sób. Alicja przekracza wszelkie bariery kulturowe, będąc
dostępną dla każdego, dając prawo do interpretacji jej
poczyznań artystom z każdego środowiska i tła kulturowego.

Czytelnicy na całym świecie mogą odbierać powieść Carrolla na wielu różnych płaszczyznach – od najbardziej powierzchownej, przyjmującej przygodę dziewczynki za surrealistyczny sen, po głębsze, piętrowe.

Japońska Kraina Czarów

Poza Brytyjczykami, dla których powieść Carrolla jest z jednej strony „epopeją” narodową, z której można być dumnym, a z drugiej – znakomitym przykładem angielskiej mentalności i wyspiarskiego, absurdalnego dowcipu, najpełniej książka zapisała się w kanonie pokoleń Japończyków. Nie tylko bliskie jest im zachowanie Alicji, jej przygody zdają się też stymulować wyobraźnię młodych Japończyków w szczególny sposób. W sklepach tokijskich, gdzie ubierają się przedstawicielki subkultury Lolit czy Gotyckich Lolit, bez problemu znaleźć można kostiumy Alicji, czy to w disneyowskiej wersji niebieskiej sukienki z białym fartuszkiem, czy bardziej wyzywających, czarno-białych kreacji z koronkowymi majtkami, rękawiczkami i fikuśnymi skarpetkami. Manifestowanie, iż jest się Alicją, stało się dla niektórych sposobem na życie. Jedną z bardziej wpływowych tłumaczek książki na japoński (przekładów *Przygód Alicji w Krainie Czarów* wydano w tym kraju ponad dwa tuziny), Yagawa Sumiko, twierdzi, iż poprzez postać Alicji czytelnik jest w stanie wyrzeźbić włas-

ną osobowość, a powieść nigdy nie powinna być czytana jedynie dla przyjemności, musi zaś być odbierana jako rama, dzięki którym czytelnik zdobywa zdolność oszacowania stosunków międzyludzkich w społeczeństwie. Jest więc książka Carrolla dla czytelnika japońskiego swoistą instrukcją zrozumienia skomplikowanych relacji z innymi. Yagawa tłumaczy nawet przywdziewanie maski Alicji przez Gotyckie Lolity, głosząc, że w ten sposób sprzeciwiają się one restrykcjom, jakie społeczeństwo narzuca swym obywatelom na co dzień w kwestii demonstrowania indywidualnej tożsamości. Bycie Alicją pozwala oswoić własną dziwność i poczucie odrębności. Zamienia strach na rodzaj oczarowania – a warto zwrócić uwagę, że słowo określające tytułową Krainę Czarów w jęz. japońskim, *fushigi* (w tytule *Fushigi no kuni no Arisu* zaproponowanym przez Yagawę) ma wiele znaczeń, oznacza m.in. coś tajemniczego, dziwnego, ale też oszałamiającego i nieco straszniejszego. Czy jednak przyjmując maskę kultowej postaci manifestuje się swoją osobowość? Czy nie jest to wchodzenie w kolejną foremkę, tyle że mniej akceptowaną społecznie, bo odstającą od społecznie przyjętego wzorca zachowań?

W zachodniej kulturze bycie innym, oryginalnym, odstającym od reszty społeczeństwa stało się tymczasem pożądane. Przełamywanie stereotypów, balansowanie między ładnym a brzydkim, niewinnym i perwersyjnym, delikat-



nym i brutalnym jest *de rigueur*, przynajmniej w dziedzinie sztuki. To nie szokuje – etap szokowania w sztuce mamy już za sobą – ale zmusza do zatrzymania się, zastanowienia, zakwestionowania schematów myślowych. „Ja, Kusama, jestem współczesną Alicją w Krainie Czarów” – mówi japońska artystka Kusama Yayoi, której psychodeliczne dzieła sztuki można obecnie podziwiać w londyńskim Muzeum Tate Modern. Kusama pochodzi z wyższej klasy średniej i nigdy nie była w stanie funkcjonować w japońskim społeczeństwie. Od 1957 do 1973 mieszkała i tworzyła w Stanach Zjednoczonych. Po powrocie do Japonii odkryła, że scena



 ilustracja: Anthony Browne

artystyczna jest bardziej konserwatywna niż sądziła. Kilka lat potem dobrowolnie została pacjentką szpitala psychiatrycznego. Do dziś tam mieszka, tworzy – maluje, pisze, rzeźbi, kreuje kolaże i instalacje – ale nie czuje się na siłach, by zamieszkać poza szpitalem, mimo że Japończycy w międzyczasie docenili jej sztukę i odznaczyli Kusamę kilkoma prestiżowymi nagrodami. Do artystki maska Alicji przylgnęła tak silnie, że nie sposób już ją zdjąć. Naturalne dla Kusamy stało się zatarcie granic między tym, co jest projekcją jej bogatej wyobraźni a rzeczywistością, jaką widzimy dookoła. Poprzez swoje dzieła stara się nam wmówić: wszyscy jesteśmy szaleni, wszyscy widzimy świat w krzywym zwierciadle. A jednocześnie zatracenie się w szaleństwie jest swoistą terapią, dzięki której artystka radzi sobie z opresyjnym społeczeństwem oraz ciężkim dzieciństwem, w szczególności przemocą fizyczną, jakiej zaznała od matki. Utożsamianie się z Alicją pozwala w pewien sposób przedłużyć niewinne dzieciństwo, uniknąć odpowiedzialności, jaka spoczywa na dorosłych obywatelach i nie brać wszystkiego tak bardzo poważnie. Kusama Yayoi zaprasza nas wszystkich do uczynienia z życia fascynującej przygody.

Alicja w nowym mileniu

Prześledźmy w wielkim skrócie zmiany w obrazowaniu Alicji od końca XIX wieku. Ilustracje, jakie sam Lewis Carroll stworzył do książki, prezentowały dziewczynkę bardziej uduchowioną i melancholijną niż wizja Tenniela. Ten sportretował Alicję jako nieco markotną, sfrustrowaną dziewczynkę, nigdy niemogącą zdobyć się na uśmiech. Carrollowska Alicja zdawała się być bliżej świata magii niż logiki. A jednak to ilustracje Tenniela, dość konserwatywne, bezpieczne, znalazły się w pierwszym opublikowanym wydaniu *Przygód Alicji w Krainie Czarów*. Carroll,

ze swymi rysunkami, wyprzedził własną epokę. Surrealiści z kolei skupili swą uwagę na postaciach drugoplanowych, które w wersji pisarza przypominały wynaturzone istoty z obrazów Hieronima Boscha. W XXI wieku odeszliśmy kompletnie od Tennielowskiej wersji Alicji. Choć świat jak był niezrozumiały dla nas, tak jest w dalszym ciągu, nie przyjmujemy jednak postawy bohaterki jako biernej uczestniczki wydarzeń, rozgrywających się wokół niej, buntującej się wewnętrznie, gdy prawa logiki nie działają. Fantazja Carrolla w tworzeniu ilustracji dziś została doceniona.

Jak odbieramy *Przygody Alicji*

w *Krainie Czarów* dziś? Nie odeszliśmy od rozumowego poznania świata, ale nie zaprzeczamy roli metafizyki w jego odkrywaniu. Z religią możemy być na bakier, a jednak mamy potrzebę rozwoju duchowego, eksploracji własnego wnętrza. Chętnie udajemy się w pogoń za Białym Królikiem, a całe nasze życie staje się poszukiwaniem. Nie akceptujemy konceptu, iż przygoda dziewczynki to tylko sen, po którym bohaterka budzi się jakby nigdy nic. Nadajemy znaczenie wszystkiemu, doszukujemy się podtekstów, ukrytych znaczeń. Możemy nie wierzyć w Boga, ale wierzymy w transformację naszej duszy, jakiej poddani jesteśmy nieustannie, na własne życzenie. Tego łakniemy, tego się domagamy, głośno krzyczymy o naszym prawie do metamorfozy. Wraz z przebudzeniem się Alicji budzimy się my. Zmienieni. Jeden sen nie zadowala nas jednak. Szybkie tempo życia powoduje, że potrzebujemy kolejnych bodźców. Zresztą oczekuje się od nas rozwoju własnej tożsamości i kreatywnego wyrażania swej osobowości. Żyjemy w świecie, gdzie liczy się unikalność i wyjątkowość, na gwałt szukamy więc sposobu, by się wyróżniać. Czasem nie starcza czasu, by się w tej pogoni zatrzymać i zadać sobie pytanie, za czym właściwie tak biegniemy. Czym jest Biały Królik? Leczą taki urok opowieści Carrolla, że najciekawsza jest nasza niewiedza, nieprzewidywalność wydarzeń, niepewność. Niepewność co do tego, kim jesteśmy, co robimy, jaka jest nasza rola. A może jesteśmy tylko postaciami w cudzym śnie, czyjaś senną marą, niczym bohater *Kulistych ruin* Borgesa, niczym bohaterowie *Matrixa* lub *Incepcji*? Jednocześnie śnimy i uczestniczymy we śnie? Tak wracamy do punktu wyjścia: Każdy z nas jest Alicją.

Lewis Carroll, *Alicja w Krainie Czarów*,
tł. Antoni Marianowicz, Nasza Księgarnia, 1957.



MIESZCZAŃSKIE ILUZJE KONSTANTEGO

Konstanty Ildefons Gałczyński jest magiem-akrobatą: żongluje codziennością, żartem i absurdem. Przez siebie współczesnych postrzegany jako *enfant terrible* polskiego Panteonu.

Karolina Osowska-Wolińska



Bogata i różnorodna twórczość Gałczyńskiego wymyka się próbie uporządkowania. Wyrósł ze szkoły skamandryckiej, cenił liryzm, ale sięgał też po satyrę, groteskę, wizje katastroficzne. Wiele jest twarzy Gałczyńskiego. Może najciekawszą z nich jest ta utkana z czarów, z korespondencji z ówczesną europejską awangardą. Poeta podejmuje swego rodzaju zabawę z nurtami awangardowymi, na przykład z surrealizmem. Jeżeli rozumieć iluzję jako kreację nowej przestrzeni, zaczarowania codzienności, wniesienia magii do życia – to niewątpliwie był czarodziejem-iluzjonistą. Nie trzeba wiele szukać – wystarczy otworzyć tomik poezji na chybił trafił, by znaleźć uduchowione, surrealne przestrzenie i przedmioty. Obrazy poetyckie niczym z płócien Marca Chagalla: barwne, oniryczne, nostalgiczne.

Kreacja artystycznej legendy

Podróż po twórczości poety można zacząć od *Zniewolonego umysłu* Czesława Miłosza. Według autora, Delta, czyli Gałczyński, prezentuje się jako mistrz iluzji: „nikt nie zna pochodzenia Delt. Przekształcał swoją biografię stosownie do potrzeb chwili (...) U Delt granice pomiędzy fantazją i prawdą nie istniały. (...) Delta słusznie był nazywany królem nonsensu. Z jego wierszy przebierała groźna wizja – dla tych, co ją umieli spostrzec, nie dając się uwieść zewnętrznyemu błazeństwu – końca cywilizacji, zbliżającego się wieku żelaza, katastrofy (...). Pojęcia i obrazy, których używał Delta, miały konsystencję marzeń sennych, powracały w nich groza i piękno minionych wieków, ale nie mogły stanowić żadnego oparcia, goniły jedne za drugimi z szybkością pośpiesznego pociągu”¹. To, co wydaje się być szczególne i interesujące w spostrzeżeniach Miłosza, to przede wszystkim znakomity, syntetyczny portret poety.

Był erudyta-szarlatanem. Znana jest anegdota o napisanej przez Gałczyńskiego rozprawie na temat twórczości angielskiego poety, który, niestety, nigdy się nie urodził.

Z rozważań Czesława Miłosza wynika, że Gałczyński starannie reżyserował własną legendę. Lubił publiczne wystąpienia i recytacje. Tworzył na oczach świata, w kawiarni, z pośpiechem zapisując serwetki. To działanie służy upiększeniu – zaskoczeniu, chęci nadania wyrazistego koloru własnemu życiu. Autokreacja tworzy niejako program poetycki Gałczyńskiego.

I wreszcie – Konstanty Ildefons Gałczyński potrafił łączyć fantazję z realnością. Obrazy poetyckie są dostępne wyobrażeniom przeciętnego czytelnika dzięki rekwizytom za-

czepniętym z codzienności. Gałczyński potrafił stwarzać magiczne światy. Na mapie Krakowa czy Warszawy ukazywał drugie życie miasta. Łączył ziemię z niebem, po którym błędziła myśl poety, niezapominającego o sprawach codziennych i pozostawionych na tym świecie przedmiotach. Ładnie powiedział o twórczości Gałczyńskiego Jan Błoński: „destyluje z codzienności fantastykę, rekwizyty uduchowienia i stylizuje. Wyszukuje sobie fikcyjne mieszczańskie rajy”².

W stronę mieszczańskich rajów

Arkadie ze snu

Program poetycki odnajdujemy między innymi w utworze-manifeście *O mej poezji* (1934):

„Moja poezja to są proste dziwy,
to kraj, gdzie w lecie,
stary kot usnął pod lufcikiem krzywym
na parapecie”.

Pokrewne ideowo i nastrojowo są utwory *Podróż do Arabii Szczęśliwej* (1929) i *Prośba o wyspy szczęśliwe* (1930). We wszystkich trzech wskazanych tekstach dominuje nastrój pełen nostalgii – poszukiwania miejsca, gdzie nic się nie dzieje, gdzie porządek od dawna ustanowiony wymyka się nerwowości, gwałtowności, sile energii. Taką interpretację nakazuje nie tyle poetycki obraz, ile raczej usypiający, monotony ton wiersza, melodyjna, kołysząca rytmika (choć wcale nie w tonacji e-moll). Jeżeli by wsłuchać się w rytm *Podróży do*



Natalia i Konstanty Gałczyńscy 1947 

Arabii Szczęśliwej, to usłyszymy powolne tuk-tuk konia, unoszącego zakochanych w nieznaną dal. Świat zmienia się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki: „Kareta to muzyka, to pudło muzyki, / noc naokół karety to jest szczęścia dużo

(...)”. Z kolei w *Prośbie o wyspy szczęśliwe* pojawia się wiatr mający moc sprawczą. Podmiot liryczny jako rozmarzony zakochany przenosi się w miejsce, gdzie wszechobecna jest miłość. Wielka woda i wiatr nad wielką wodą budzą spokojne myśli – i przestrzeń i nastrój kołyszą i usypiają – zatrzymują czas, wyciszają skołatane serce: „dużo motyli mi pokaż, serca motyli przybliż i przytul, / myśli spokojne ponad wodami pochyl miłością”. W marzeniu zakochanego wiatr przenoszący i utulający do snu jest siłą sprawczą tego spokoju. A noc, księżycowa noc, w wielu utworach stwarza bezpieczną strefę: „Moja poezja to jest noc księżycowa, wielkie uspokojenie” – pisze Gałczyński w swym manifestie *O mej poezji*, odnajdując w nocy ucieczkę od tempa życia i jego codziennych, ciągle tych samych, zmaganiań.



Marc Chagall, *Podwójny portret z kieliszkiem wina* 

Świat małych kin

Uciekając przed światem, pędzi Gałczyński do małych kin. Zanurza się w ich ciszę, by zapomnieć o rozpedzonych gwarem i ruchem ulicach. W utworze *Małe kina*:

„szeleszczą gaje kinowe,
nareszcie inne, palmowe,
a po chodniku bezkresnym
snuje się srebrny dym”.

Przestrzeń liryczna jest tajemnicza; to niejasne, otoczone półmrokiem i dymem miejsce. Brak w nim granic. Podmiot liryczny wprowadzony w ten odrębny świat dostrzega bezpieczną wyspę poza światem pułapek i krętych dróg. „Jakże tu miło się wtulić, / deszcz, zawieruchę przeczekać / i nic, i nic nie mówić, / i trwać, i nie uciekać”. Bezpieczeństwo małych kin tworzy kasjerka, wpuszczająca do królestwa niczym królowa. Wizerunek kasjerki w pozłacanej budce biletowej, potrząsającej złotymi lokami, ma w sobie coś z groteski i coś rozczulającego. Widok odmienny, nowy, niebywały – jak w świecie zza zasuniętych zasłon, jak z *Alicji w Krainie Czarów*. Bilet jest niczym przepustka, klucz do raju zapomnienia, do krainy Królowej Śniegu. Opuszcza kino i określa stan ducha: „Wychodzisz zatumaniony, / zasnuty, zakiniony”. Określa to tajemnicze miejsce jako: „gospodę ubogich, / którym dzień spłynął źle”.

Nocne miejskie ulice

Konstanty Ildelfons Gałczyński, wychodząc z kina, kieruje się w ulice posrebrzone światłem księżyca. Niestety, te często zmieniają swoje miejsce, znajdują się gdzie indziej niż myśli poeta, błądząc i przechadzając się między krawężnikami. Wydawałoby się, że była właśnie tu, to tutaj miał się udać i czekać na spotkanie z muzą... a może nie? *Fałszywy adres* (1936) pokazuje podskórne, drugie życie ulicy: „Kwaśny, ohydny sen skleja powieki. / Plac się pochyla złośliwy, daleki, / wymajaczony, inny”. Tu noc nie jest czarowna, nie otula bezkresnym srebrem księżycowym. Teren staje się obmierzły, ohydny, odpychający:

„Stara rogatka. Dworzec autobusowy.
Zachód słońca: brzydko rozlany sos pomidorowy
Wiatr się podnosi mokry, żabi,
zakręca koźmi, dorożkami”.

Przestrzeń wydaje się niechętna podmiotowi lirycznemu, który czuje się jak głupiec, jak człowiek nie na miejscu, jak persona nie z tego świata: „otwory w chmurach grożą tajemnicą, / straszne światełka z twarzy mojej szydzą, / stoję przy przystanku / już od poranku”. Muza jest nieznana, anonimowa, jawi się jako niejasne wyobrażenie. Poeta nie wyklucza, że może właśnie zwabiła go w to obce miejsce, by pokazać świat w nowej, obcej odsłonie: „A może to właśnie tu, / w centrum gorączki, na dnie snu, / koło tej rogatki,

koło tego dworca autobusów / miałem się spotkać właśnie z moją dżdżystą, / miałem się spotkać właśnie z moją mglistą, / wietrzną i śmieszna / muza?”. Wydaje mu się, że tuż obok znajduje się jego świat, ten, który oswoił, w którym czuje się odpowiednio i na miejscu:

„O, tam, tam! za tym skwerem,
za tym kurzem szaro-srebrnym...
tam jest dzielnica marzycieli,
szeptu, złotych okien, dzikiego winogrodu (...)”.

Więc dlaczego tu go zaprowadziła wyobraźnia? Dlaczego ta szkaradna przestrzeń ma być krai-
ną jego muzy?

Ulica Sarg (1945) również nie budzi w poecie dobrych emocji. Odczuwa on zagubienie, niepewność, a miejsce jest nie tylko nieprzyjazne – wręcz odstrasające. Podmiot liryczny wciela się w rolę Orfeusza poszukującego swojej Eurydyki. Ulica Sarg, jak królestwo Hadesa, pokazuje pograżenie w niebycie firm, miejsc – rzeczywistość ulega rozpadowi na drobne cząstki i tonie w deszczu, staje się mglista i ciemna:

„było tu kino, ale nie gra,
Chaplin z tektury struł się troską
i gwiazdy z fałszywego srebra
wciąż układają zły horoskop”.

Śladami zaczarowanej dorożki

Tylko czasami poeta czuje się obco w nocnej miejskiej przestrzeni. Zazwyczaj posrebrzane księżycem ulice przeobrażają się w nocy w magiczną przestrzeń. To, co w ciągu dnia jest nijakie, niezauważalne, w nocy poznawane jest według tajemniczego bedekera. W *Zaczarowanej dorożce* (1946) podmiot liryczny uczestniczy w zdarzeniach, spowodowanych przez Bena Alego – czarnomistrza z Krakowa. Odnajduję tutaj, podobnie jak w wierszu *Małe kina* – tęsknotę, by oderwać się od codziennej jednostajności. Gałczyński stwarza nową przestrzeń, zupełnie jak z sennego marzenia. Jedzie przez nocny Kraków i czyta szyldy: „nocne SERY, nocne MLEKO, / nocne TAŃCE WIECZYSTEGO, / nocne DZIŚ PARÓWKI Z CHRZANEM, / nocne TOWARY MIESZANE”. W tej przedziwnej wyliczance konstytuuje się paradoksalny ład, choć pozory sugerują chaos. „Nocne WYPYCHANIE PTAKÓW, / nocne KURSY STENOGRAFII” – zajęcia jak ze scenariusza horroru. Jednakże podróż dorożką z dorożkarzem wykonującym

rzetelnie swoje obowiązki zawodowe, budzi w mieszkańcach Krakowa poczucie porządku i bezpieczeństwa:

„Póki dorożka dorożką,
a koń koniem, dyszel dyszlem,
póki woda płynie w Wiśle,
jak tutaj wszyscy jesteście,
zawsze będzie w każdym mieście,
zawsze będzie choćby jedna,
choćby nie wiem jaka biedna:
ZACZAROWANA DOROŻKA
ZACZAROWANY DOROŻKARZ
ZACZAROWANY KOŃ”.



Najstojniejsza karykatura Gałczyńskiego autorstwa Jerzego Zaruby, 1949

Zaczarowana dorożka ma swoją genezę w zdarzeniu, które utrwalił w swych zapiskach Tadeusz Kwiatkowski. Wspomina on właśnie taką oto nocną „zaczarowaną” podróż przez Kraków: „Dorożkarz miał sumiaste wąsy, nosił melonik na bakier, wszystko przepisowo jak w wodewilu. Galopując przez puste ulice, odwracał się na koźle do nas i mówił wierszem. Autentycznym trzynastozgłoskowcem, z klasyczną cezurą po siódmej zgłosce. Siedzieliśmy zaczarowani. Wiersze brzmiały mniej więcej tak: *Patrzcie tutaj przed nami Maryjacka Wieża / co otwiera Polakom niebios na ścieżaj*. Krakowianie znają go do dziś dnia. Mówi nadal wierszem, ma zawsze humor i choć dorożkarz z roku na rok staje się coraz większym anachronizmem, nie traci poczucia swej dorożkarskiej godności. Jechaliśmy urzeczeni. Konstany od czasu do czasu kuksał mnie w bok z radości. Mijając plac Wszystkich Świętych dorożkarz wyrecytował: *Na prawo mamy ratusz, gdzie w pewnych okresach / siadają miejskie rajce na swoich sedesach (...)*. Nagle Konstany złapał mnie mocno za ramię. Odwróciłem się. Koń porzucony samopas, pragnąc posilić się trawą, pociągnął za sobą dorożkę, wysoko aż na wawelską skarpę. (...) Zaczarowana dorożka – powiedział półgłosem Konstany i potem dorzucił – Zaczarowany koń! I ja zaczarowany! – rzekł poważnie dorożkarz i wszyscy roześmieliśmy się ze szczęścia”³.

Malarskie korespondencje

Malarskim odpowiednikiem nastroju i tematu wielu wymienionych utworów Gałczyńskiego mogą stać się dzieła

Marca Chagalla. Roztkliwiający obraz Marca Chagalla *Podwójny portret z kieliszkiem wina* (1917), przywodzi na myśl małżeństwo Natalii i Konstantego Gałczyńskich. Tak jak muzą dla Marca Chagalla była Bella, tak dla Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego – Natalia – obie uosabiające przystań, oparcie, pewność i trwanie. Dźwigające cierpliwie i z uśmiechem na swych ramionach ciężar męzowskiej sławy, męzowskich pomysłów i wszystkich tego konsekwencji. Na obrazie Bella jest tą silniejszą, niezmiennie zadowoloną i pobłażliwą wobec męzowskich wybryków.

Konstanty Ildefons Gałczyński – surowo odbierany przez współczesnych sobie wierszopisów i krytyków, lecz kochany przez tłum, często nie raził siebie ze światem. Przestraszony, borykający się z biedą („pracownik firmy *Trwoga & Żółdek*”), jednocześnie pragnął być Artystą i bożyszczem tłumów. Uskrzydlała go niezmiennie przy nim trwająca i kochająca żona. Tworzyli swój odrębny, niezbyt dostatni raj, okraszając go czarem poetyckiego wyrazu. Potwierdza powyższe słowa



Przedwojenna fotografia państwa Gałczyńskich

W obrazie Marca Chagalla *Witebsk – scena miejska* (1924–1927) świat przedstawiony został przez pryzmat emocji i wyobraźni. Chagall używa barw ulubionych przez ekspresjonistów – czerwień i czerń dzielą przestrzeń w obrazie. Łączy te przestrzenie zaprzężony powóz unoszący się w stronę czerwonego nieba. Można by powiedzieć, że to zaczarowana podróż, jak w *Zaczarowanej dorożce*.

Zachwianie proporcji, łamiąca i zapadająca się przestrzeń (w wielu utworach Gałczyńskiego przestrzeń, zwłaszcza nocna, zmienia się), została skontrastowana z niezmiennie i wytrwale wygrywającym melodię muzykiem – to *Skrzypek* (1912–1913). W tym obrazie najciekawsze, najbardziej pokrewne Gałczyńskiemu są barwy – ciemne, bure, zgniłe, tu i ówdzie na chwilę rozświetlone – jak w *Ulicy Sarg* albo *Zaczarowanej dorożce*. Skrzypek wygrywa swoją melodię,

nie bacząc, że świat za nim się deformuje.

U Gałczyńskiego rzeczywistość wybrzmiewa w luźnych i dalekich skojarzeniach, absurdalnych rymach i pozbawionych logiki obrazkach. Emocje, jakie wyzwala swoją poezją, przynależą do różnych rejestrów. Bywa, że nie pozwala brać niczego na serio, nabija w butelkę, droczy się z czytelnikiem i bywa również, że jest bardzo serio, zadumany, niespokojny, refleksyjny. A czasami poetyckie wygibasy mają w sobie oba nastroje, coś na kształt Villonowskiego śmiechu w cieniu szubienicy. W twórczości Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego odnajdujemy echa dadaizmu i nadrealizmu – nie trzeba nikogo o tym przekonywać. Nawet czytelnik nieobeznany czuje, że Gałczyński potrzebuje harmonii muzycznej i plastycznej, choćby naruszała ona logikę. Światy Gałczyńskiego stwarzają się ze zgrabnie splecionych słów i bogatej wyobraźni. Taki talent.

Ilustracje pochodzą ze strony www.kigalczynski.pl.



Marc Chagall, *Witebsk – scena miejska*, 1924-27

wiersz *O naszym gospodarstwie* (1934):

„O, zielony Konstanty, o, srebrna Natalio!
Cała wasza wieczerza dzbanuszek z konwalia;
Wokół dzbanuszka skrzacik chodzi z halabardą,
Broda siwa, lecz dobrze splamiona musztardą,
Widać podjadł, a wyście przejedli i fanty –
o, Natalio zielona, o, srebrny Konstanty!”

Przypisy:

- ¹ Czesław Miłosz, *Zniewolony umysł*, Kraków 1990, s. 217-218.
- ² Jan Błoński, *Poeci i inni*, Warszawa 1970, s.119.
- ³ Tadeusz Kwiatkowski, *Zaczarowana dorożka*, [w:] Aleksander Maliszewski, *Wspomnienia o Konstantym Ildefonsie Gałczyńskim*, Warszawa 1961, s. 344-346.

KONKURS (WIO)SENNY

Lirael & Tamaryszek

„Błogosławiony, który sen wynalazł, ten płaszcz, który okrywa wszystkie myśli ludzkie, pożywienie, które nam uśmierza głód, wodę, która gasi pragnienie, ogień, który w zimie rozgrzewa, chłód, który łagodzi upał, i na ostatek pieniądz obiegowy, za który wszystko kupić można, wagę i ciężarki, które równoważą pasterza i króla, prostaka i mędrca”.

Miguel de Cervantes, *Don Kichote*

Ma rację stary Miguel: sen dobry na wszystko. Regeneruje (nawet uzdrawia), nadaje kształt tęsknotom i marzeniom, ale i uwalnia lęki i dręczące myśli. Bywa symptomem, którym przemawia podświadomość. Ucieczką od siebie lub powrotem. Wszystkim może być.

Sny literackie utkane są z tej samej materii, co doświadczenia znane nam wszystkim. Z dodatkiem może szczypty kalkulacji, zrodzonej w głowie tego, kto wymyślił i sen, i śniącego, i zamysł, by za pomocą snu zrealizować swoją strategię. Jaką strategię? Każdą, na przykład tę, którą nazywa sparafrazowane powiedzenie: pokaż mi, co śnisz, a powiem ci, kim jesteś.

I tak jak ze snami bywa po przebudzeniu, tak i po przeczytaniu książki: są takie, które ulatniają się natychmiast, że gotowi bylibyśmy przysiąc, że nie śniło się nic, a są i takie, które

odciskają w pamięci nieusuwalny stempel. Kto czytał *Zbrodnię i karę*, ten podrzuci przykład snu Raskolnikowa (powracającego po latach we śnie Nietzschego) o katowanym koniu. Zanim bohater odwiedził starą lichwiarkę i przypieczętował swój los uderzeniem siekiery, śnił mu się obraz z dzieciństwa. Jego płacz na widok zmaltretowanego konia okładanego ramami przez bezdusznego Mikołkę.

Miłośnik prozy Schulza powie, że sen się w śnie przegląda i że nie zawsze wiemy, co jest marzeniem sennym, co jeszcze jawą. Gdy bohater *Sklepów cynamonowych*, wysłany przez ojca po zapomniany portfel, opuści teatralną widownię i znajdzie się na ulicach nocnego miasta, to co mu się śni? Czy to, że ojciec go wysłał, czy to, że zabłądził wśród znanych miejsc (bo ulice odkryły swoje podszewki), czy to, że znalazł te nęcące, magiczne, symboliczne sklepy pachnące cynamonem?

Proponujemy zabawę. Konkurs, tropiący sny postaci literackich. Zadanie konkursowe polega na tym, żeby na podstawie onirycznych wizji rozpoznać, do kogo sen przynależy. Poprawna odpowiedź to trzy punkty (po jednym za każdą informację: rozpoznanie bohatera, tytułu i autora) zwielokrotnione liczbą przykładów (12).

OTO SNY DO ROZSZYFROWANIA:

1. Mężczyzna o dużych czerwonych dłoniach, z kartami ułożonymi w wachlarz.

Postać wyłania się z dymu, odziana w zasmoloną koszulę, w drugiej ręce trzyma jedną szczególną kartę. Osoba śniąca czuje się osaczona: „Ależ to straszny człowiek, papo!”.

2. Bramy Jerozolimy i pustynia, po której idzie dwóch chłopców.

Sen ściśle związany jest z kruczatą dziecięcą. Jeden chłopiec przewraca się i nie może iść dalej, drugi jest niewidomy, idzie po omacku.

3. Oglądanie kropek na biedronkach.

To pierwszy sen z dzieciństwa, który zapamiętała Nancy. Był upalny dzień. Razem z Judy Thorne znajdowały się na ganku, łapały biedronki i liczyły na nich kropki. Podobno ich liczba oznacza wiek owada. Nancy opowiedziała swój sen matce, która z kolei zrelacjonowała go przy śniadaniu ojcu.

4. Kot siedzący śniącemu na głowie.

To sen Joe`go: zwierzątko siedzi mu na głowie, on się dusi. Kiedy się obudził, okazało się, że to prawda: kot Huple`a smacznie sobie spał na jego twarzy.

5. Własne życie jako krajobraz w letni wieczór po deszczu.

Tytuł tej powieści to kombinacja kilku cyfr, które okazały się PIN-em do serc czytelników na całym świecie. Spokojny i piękny sen bohatera bardzo różni się od rzeczywistości, z którą musi się na co dzień mierzyć.

6. Sto tysięcy rubli, tytuł książęcy oraz order.

Sen demaskujący bohatera. Wiemy, co lubi, a co go przeraża. Idealna symetria. Śpiący omal nie połknął muchy.

7. Całowanie i przytulanie ukochanego w saniach na blyszczącym śniegu przy księżycu.

Imię śniącej wywołuje owocowe skojarzenia. Jeden z bohaterów powieści charakteryzuje ją tak: „była utrzymanka starego kupczyka i wyuzdanego chama burmistrza Samsonowa”.

8. Kupowanie sukienki dla córki z motywem *Narodzin Wenus Botticellego*.

Są we troje w galerii handlowej i wybierają dla Aleksy sukienkę. Ta z obrazem Botticellego wydaje się idealna: „miała w sobie coś z jej ducha, jakąś jej esencję, którą rozpoznawali, ale o której zdążyli zapomnieć, jakby była wyraźnie widoczna przy jej urodzeniu, ale z biegiem lat zatarli ją, rozmyli”. I wtedy się orientują, że zapomnieli o córce, zgubili ją – na szczęście we śnie, ale i jawa zdaje się potwierdzać te przecucia. Tak bardzo zajęci są sobą. Tym, że on porzucił pracę i zajął się domem i tym, że ona rozpoczęła karierę.



Felice Casorati, *Śniąc o granatach*

9. Koncert Brahmsa.

Sen, urojenie, iluzja, która zdarza się w taką noc, gdy świat (liście, deszcz, strumień księżycowego światła) wydaje się współbrzmieć z jej grą na skrzypcach. „Brahms wie wszystko. Trzeba umieć odczuć wszystko. A potem móc wszystko zagrać”. Ale ona, zraniona, nie umie uwolnić uczuć. Nie może więc być naprawdę wielką artystką, gdy złudzenie zniknie.

10. Wysoka czarna wieża, wznosząca się wśród śniegów w ciemnym lesie, wokół której krążą kruki.

Prowincja angielska i trzy zaprzyjaźnione kobiety. Dla zażegnania niepokoju małych dziewczynek opowiadają im historię chłopca, w której Wuj Oberon, sprawdza jego sny. Chłopiec wyklada sny na stół, wuj ogląda i wpada w zdumienie: „Małutki człowieku, nie bałeś się, śniąc ten okropny sen?”. Chłopiec nie bał się niczego.

11. Nieżyjący ojciec, wręczający bohaterowi zwitek pergaminu, na którym coś istotnego było napisane, ale on nie może tego odczytać.

Sen jest głosem z przeszłości, ale wpływa na przyszłość bohatera, który spróbuje (daremnie) odnaleźć swoją tożsamość, wracając do korzeni, do tradycji odnalezionych w sztetlu.

12. Światła, rozjarzone ślepią, skradające się cienie, głosy dzikich zwierząt i krzyki torturowanych.

Kto odgadnie bez podpowiedzi, ten mistrz. Można jednak skorzystać ze wskazówek, które poniżej.

To oniryczne wizje służącego głównego bohatera powieści. Zaskakuje poetyckie wizjonerstwo – wszak śniący to uosobienie zdrowego rozsądku.



PROSIMY

o nadsyłanie odpowiedzi do dnia **15 lipca 2012 roku** na adres konkursy@archipelag-magazyn.pl

Zwycięży osoba, która poda najwięcej prawidłowych odpowiedzi. W przypadku takiej samej liczby punktów decyduje kolejność zgłoszeń. Zwycięzca wybiera nagrodę spośród następujących tytułów: *Złoty rydwan* Salwy Bakr, *Smak dżemu i masła orzechowego* Lauren Liebenberg i *Namiot Fatimy* Miral at-Tahawi, ufundowane przez Smak Słowa.

Odpowiedzi i komentarz do konkursu pojawią się na naszym blogu (wkrótce ruszy!) tuż po terminie nadsyłania odpowiedzi.

ALCHEMIA POEZJI SUFICKIEJ

Alchemia Miłości jest przepięknym podarunkiem zarówno dla tych, którzy rozsmakowali się już w sufizmie, jak i dla tych, którzy pragną dopiero rozpocząć swą przygodę z mistycznym światem poezji sufickiej. Książka zachwyci jednych i drugich nie tylko swym bogatym wnętrzem, lecz także olśni dopieszczonym w każdym calu, pięknym wydaniem.

Karolina Kunda-Kuwieckij

Bogactwo świata islamu jest niezgłębione. Sufizm jest jednym z jego najbardziej mistycznych nurtów, bardzo kuszących w swej symbolice i znaczeniu. *Alchemia Miłości* stanowi zbiór poezji sufickiej ponad siedemdziesięciu różnych poetów tworzących na przestrzeni XI-XX wieku. Polskim czytelnikom i miłośnikom poezji perskiej z pewnością nieobce jest nazwisko Rumiego, naj słynniejszego mistyka sufickiego, założyciela zakonu Wirujących Derwiszy. Poezja Rumiego występuje w *Alchemii* na równi z innymi wielkimi muzułmańskimi mistrzami słowa. Głębię i niejednoznaczność ich słów napotkać można w każdym utworze, wybór wierszy jest bowiem doskonały.

Dokładne analizowanie poszczególnych utworów sufich zamieszczonych w książce nie jest tak istotne, jak poddanie się ich rytmowi i zapomnieniu. Pomimo że wiersze perskich mistrzów przepelnione są bogatą symboliką mistycyzmu islamskiego, nawet nieznający dokładnie ich znaczeń, nieporuszający się zbyt pewnie w świecie poezji i sufizmu, powinni odnaleźć niezwykle spokojny i intuicyjny przekaz sufich. Ich czułość i łagodność prowadzą do wejrzenia we własne ja, inspirują do odbycia rozmowy z samym sobą, do poszukiwania Boga. Zachęcają do pokory i skromności, wzywają do zachowania trzeźwości w upojeniu. Sufi nawołują do wyzbycia się wszelkich pragnień, jednocześnie ich słowa uzależniają od siebie i raz zasmakowane każą poszukiwać duszy świata we wszystkich miejscach.

Alchemia miłości nie tylko rozpieszcza czytelnika bogatym wyborem poezji sufickiej. Książka stanowi też prawdziwą kopalnię wiedzy na temat sufickiego mistycyzmu muzułmańskiego. Na końcu zbioru znajduje się czytelny „słownik terminów”, dzięki któremu



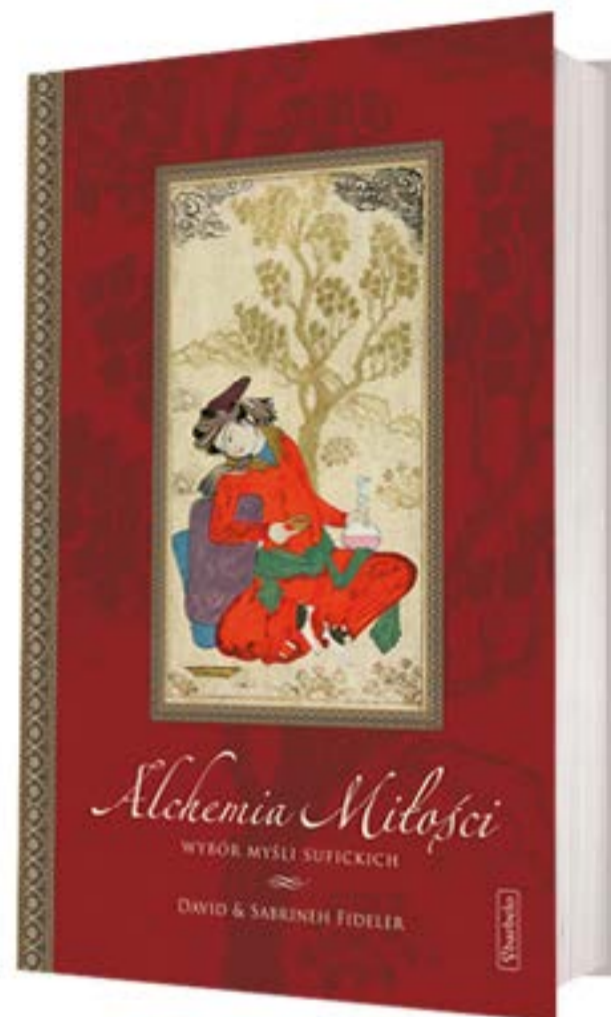
Sol et Luna na spotkaniu promującym publikację książki
Fot. Karolina Kunda-Kuwieckij





Założyciele wydawnictwa Barbelo na spotkaniu promującym publikację książki

Fot. Karolina Kunda-Kuwieckij



mniej pewnie poruszający się w zawłościach poetyckich metafor będą mieli możliwość uzupełnienia wiedzy i zrozumienia symboliki sufizmu. Wydawcy wzbogacili *Alchemię* dwoma dodatkami specjalnymi, aneksami na temat przekładu poezji perskiej oraz form jej samej. Aneksy pozwalają lepiej zrozumieć specyfikę poezji perskiej i trudności, jakie nastęrcza jej przekład. Podstawową niedogodnością w tłumaczeniu poezji sufickiej jest zachowanie jej poetyckości i – jak dodaje autorka aneksu – „lirycznego wrażenia rytmu działającego jak spoiwo”. Znając te ograniczenia, tłumaczenie *Alchemii* wprawia w zachwyt. Wystarczy bowiem krótka chwila z książką, by owo „liryczne wrażenie rytmu” rozbrzmiewało w naszych uszach i pozwoliło przenieść się do dalekiej, mistycznej Persji.

Wydanie *Alchemii Miłości* zostało zainaugurowane w warszawskiej księgarni literackiej Czuły Barbarzyńca. Spotkanie poprowadzili Daria Paulina Domachowska-Gałkowska i jej mąż Błażej Gałkowski – pomysłodawcy Wydawnictwa Barbelo i *Alchemii Miłości*. Podczas spotkania przeczytali kilka wierszy z tomu, opowiedzieli o idei wydawnictwa, najbliższych planach wydawniczych i cie-

kawostkach związanych z procesem tłumaczenia poezji sufickiej. Spotkanie wprowadzające w kuszący świat sufizmu i pierwszej publikacji Wydawnictwa Barbelo uzupełnił kameralny koncert Sol et Luna, w wykonaniu Saby i Mieczysława Litwińskich. Brzmienie perskich instrumentów i przepiękne głosy duetu Sol et Luna nadały całemu spotkaniu czarujący i mistyczny charakter.

Założyciele wydawnictwa Barbelo, za sprawą którego *Alchemia Miłości* trafiła do rąk czytelników na początku kwietnia, przyznają, że miłość do książek zaszczepili w nich rodzice i dziś bez książek żyć nie potrafią. Wrażenie, jakoby *Alchemia* zrodziła się właśnie z tej miłości, jest niezaprzeczalne. I tak jak nazwa wydawnictwa – Barbelo – oznacza pierwszą emanację Boga w gnostyckiej kosmogonii, tak *Alchemia Miłości* stanowi pierwszą prawdziwie suficką perłę na polskim rynku wydawniczym. A podążając za słowami Hafeza: „Gdy odnajdziesz Alchemię Miłości, wówczas wszystko przemieni się w złoto”.

Magazyn „Archipelag” objął patronat nad *Alchemią Miłości*.

David i Sabineh Fideler, *Alchemia Miłości. Wybór myśli sufickich*, Wydawnictwo Barbelo, 2012



MURAKAMIEGO PRZYGODA Z GRECJĄ

*Zaproszony przez dalekie bębny
Wyruszyłem w podróż
Owinąłem się w starą pelerynę
Zostawiłem wszystko za sobą.*
(stara turecka pieśń)

Paulina Yamashita

Haruki Murakami cieszy się wielką popularnością zarówno w Polsce jak i za granicą jako autor bestsellerowych powieści oraz zbiorów opowiadań. Czytelnicy bardzo dobrze oswojeni są z bohaterami literackimi i światami przedstawionymi w jego dziełach. Niewielu jednak wie (przeważnie oprócz japońskich odbiorców jego prozy), że Murakami jest autorem wielu poczytnych zbiorów esejów, jakby intymnych dzienników. Są to krótkie historie na tematy codzienne, życiowe (jak np. *Murakami Asahidō*). Bywają poświęcone też kwestiom, na których pisarz dobrze się zna: muzyce (*Potoreito in Jazu 1,2*), tłumaczeniach (np. *Honyaku Yawa*) czy choćby bieganiu (znane polskim czytelnikom: *O czym mówię, kiedy mówię o bieganiu*). Obok tych ciekawych zbiorów równie mocno uwagę przyciągają dzienniki z podróży Murakamiego, którym w szczególności poświęcony jest ten artykuł. „Travel writing”, czyli pisanie o podróżach, jest obecnie jednym z najpopularniejszych gatunków piśmienniczych w Japonii. Philip Gabriel, znany tłumacz Murakamiego na język angielski, pisze, że w ciągu

dekady lat 90. książki podróżnicze Murakamiego były bez wątpienia wśród tych najbardziej popularnych i znanych przykładów „travel writing” w Japonii. Dotąd wydano przynajmniej sześć takich dzienników, m. in. *Tōi Taiko* (*Dalekie bębny*, 1990), *Uten Enten* (*Deszczowe dni, Pałace słońce*, 1990), *Henkyō – Kinkyō* (*Dalekie i bliskie granice*, 1998), *Shidonii!* (*Sydney!*, 2001). W tekście będzie mowa o tych, które dotyczą się głównie Grecji, czyli pierwszych dwóch.

Murakami długo marzył o wyprawie do Grecji i żeby się do niej solidnie przygotować, przez rok uczył się języka nowogreckiego. Wcześniej, na studiach z teatrologii na Uniwersytecie w Tokio, obeznał się dobrze także z teatrem greckim. „Pewnego ranka obudziłem się i wyteżyłem słuch. Dobiegł mnie z daleka odgłos bębna. Był to odgłos z dalekiego miejsca (...) Bardzo niewielki. Kiedy go słuchałem, zachciało mi się wyruszyć w podróż”. Tą podróżą okazał się długi pobyt pisarza w Grecji i we Włoszech.

Tōi Taiko

Lata 80. to okres wielu przeprowadzek państwa Murakamich. Zmęczony, wręcz wyczerpany pisarz wyjechał wraz z żoną Yōko z Japonii w 1986 r., by z daleka od rozgłosu i szumu wokół siebie skupić się na swojej twórczości za granicą.

Tōi Taiko to gruby zbiór zapisków, jakby wspomnień z trzyletniego (1986–1989) pobytu pisarza w Europie, głównie Południowej (Grecja i Włochy). Dziennik ten jest napisany lekkim, przystępnym językiem w luźnej i humorystycznej formie. Dodatkowo okraszony wieloma dowcipnymi komentarzami i zabawnymi anegdotami. Zapiski, jakie prowadził Murakami podczas podróży, a które następnie zebrał w książkę, pozwalają poznać go od strony prywatnej. Dowiadujemy się, na co zwraca uwagę w swoich szkicach (jak je nazywa), co – z perspektywy obcokrajowca – myśli o napotkanych ludziach i ich zwyczajach, jak wygląda jego dzień jako pisarza na greckiej wyspie. A wszystko to opisane w sposób nieco zdystansowany i chwilami krytyczny, ale zawsze zachowany w przyjacielskim tonie w stosunku do czytelników. Bynajmniej nie są to historie opowiedziane z perspektywy obcego przybysza, który dziwi się niespotykanym zwyczajom ludzi z innych krajów. Murakami jest nie tyle turystą, co „chwilowym mieszkańcem”.

Za swoją „bazę wypadową” państwo Murakami obrali sobie Rzym. Przemawia za tym wyborem pragnienie mieszkania w Europie Południowej (zależało im na ciepłym

klimacie, który nie odbiegałby za bardzo od japońskiego). A po drugie – mają tam wiernego przyjaciela, na którym mogli polegać. Pisarz nie przewidział tylko, że w hałaśliwej stolicy Włoch nie będzie umiał się skupić.

Jednak zanim państwo Murakami osiedlili się w Rzymie przebywali przez jakiś czas na dwóch greckich wyspach – Spetses i Mykonos. Mykonos to nieduża wyspa słynąca z bujnego życia nocnego i legendarnych plaż, a także miejsce wspomnień pisarza związanych z powieścią *Norwegian Wood*, ponieważ to tam zaczął ją pisać. Murakami odwiedził tę wyspę po dwudziestu pięciu latach, by z sentymentem odkryć, co uległo zmianie, a co zachowało się niezmiennie. Zauważył, iż oprócz tego, że drachmę zastąpiło euro i gdzieś pojawiły się kawiarenki internetowe oraz kawiarnie z sieci Starbucks, to miasto zachowało stare budownictwo. Spetses zaś to wyspa prawie całkowicie przylegająca do Półwyspu Peloponez, tak, że „można by przy odrobinie wysiłku pokonać odległość przepływając ją”. Nietypowa wśród innych wysp greckich szczyt się bujną zielenią, z czego większość stanowią lasy sosnowe – objaśnia czytelnikowi pisarz.

Mała Wenecja w Mykonos
Fot. Wikimedia Commons



Powyższe opisy wysp pochodzą z magazynu japońskiej firmy przewozowej JAL „Agora”, w której (w kwietniu 2011 r.) Murakami zamieścił artykuł pt. *Dwie wyspy Grecji*. We wstępie opowiada w nim tak: „Dwadzieścia pięć lat temu mieszkałem na wyspach greckich: na Spetses i na Mykonos. Mówię mieszkałem, choć to było niewiele około 3 miesięcy. Jednak wówczas dla mnie było to dość pamiętne doświadczenie. Codziennie prowadziłem zapiski i zawarłem je w dzienniku z podróży *Tōi Taiko*. (...) Wtedy byłem młodym pisarzem w połowie mych lat 30. Skończyłem właśnie *Koniec świata* i *Hard-boiled Worderland* (1985) i zabrałem się za kolejną powieść *Norwegian Wood* (1987)”.

Praca Murakamiego za granicą

„Przed ukończeniem czterdziestu lat, chcę napisać dwie powieści. Nie tylko chcę, ja miałem potrzebę, by je napisać” – zwierza się Murakami zaraz na początku *Tōi Taiko*. Dodaje też: „Pędząc takie samotnicze życie w obcym kraju (choć ostatecznie tego pragnęliśmy), mogłem tylko w ciszy pisać powieści”.

Haruki Murakami to pisarz, który lubi tworzyć swe dzieła w różnych częściach świata. Dla przykładu: *Tańcz, tańcz, tańcz* (1988) pisane było w Rzymie i częściowo

w Londynie, pierwsza połowa *Kroniki Ptaka Nakręcacza* (1995) w Princeton, a druga w Cambridge, bestseller, jakim niewątpliwie jest *Norwegian Wood*, Murakami pisał na kilku greckich wyspach, począwszy od Mykonos, a ukończywszy ją w Rzymie. Pisze o niej tak: „Wówczas chciałem napisać tę powieść. Nic nie mogłem na to poradzić. Moje ciało było niecierpliwe, pragnęło słów, aż wysychało”. Każde z tych miejsc, jak mówi w jednym z wywiadów, jest złączone z dziełem, które tam tworzył. „Kiedy o nich myślę [o powieściach], przypominają mi się widoki miejsc, w których je pisałem” – wyznaje.

Kolejną powieścią, której pisaniu oddał się całkowicie podczas pobytu w Europie w 1988 r. było *Tańcz, tańcz,*



Kreta, plaża Preveli
Fot. Wikimedia Commons



Haruki Murakami
Fot. pitheatre.com



tańcz: „Tę powieść mogłem napisać gładko i przyjemnie od początku do końca. *Norwegian Wood* to dla mnie nowy rodzaj dzieła i pisząc je, myślałem: Jak ta powieść zostanie odebrana? Ale przy *Tańcz, tańcz, tańcz* było inaczej – pisałem tak, jak chciałem, z łatwością. Wszystkie zdania zawierają mój własny styl, a bohaterowie są podobni do tych w *Słuchaj pieśni wiatru* (1979), *Pinball* 1987 (1980), *Przygodzie z owcą* (1982). Dlatego cieszyłem się i czułem, jakbym wrócił na swoje podwórko. Ja rzadko czuję taką szczerą radość [płynącą] z pisania”. I podsumowuje: „Jednak te dwie powieści są najważniejszą pracą, jaką wykonałem w ciągu mojego trzy-letniego życia za granicą”.

Murakami nie rezygnował przy tym z tłumaczeń, które były dla niego swoistą terapią i wytchnieniem pomiędzy pisaniem kolejnych swych powieści. W 1987 r. oddał do druku *The Great Dethrifle* C.D.B. Bryana oraz *Koniec Świata* Paula Theroux. W roku kolejnym natomiast skończył tłumaczyć *The Nuclear Age* Tima O'Briena.

Na wyspach greckich

Haruki Murakami łącznie przebywał w Grecji prawie rok i poświęcił dużo czasu na podróże. Pomijając wypadki do Europy Zachodniej czy do Włoch, postanowił zwiedzić niektóre miasta greckie, ale przede wszystkim pociągały go pobliskie wyspy. Trzeba wspomnieć, że choć pisarz często wspomina historię danego miejsca, to nie interesują go zabytki i nie ciekawi Grecja starożytna. Za to z pasją opisuje przyrodę, pogodę i klimat odwiedzanych terenów, jak również osoby, które spotykał; zwraca uwagę na ich wygląd, strój i zachowanie nieraz w sposób zabawny i humorystyczny.

W 1987 r. odwiedził m. in. takie miasta jak Saloniki i Patras (drugie i trzecie co do wielkości miasta Grecji), Kavala (tutaj przybył św. Paweł w 49 r.) i Ateny, a z wysp wybrał Kretę – największą wyspę Grecji i jedną z kolebek greckiej cywilizacji. „Gdy po jakimś czasie znowu przeczytałem *Greka Zorbę* Kazantzakisa zapragnąłem pojechać na Kretę. Jak wiecie akcja powieści dzieje się na Krecie, a i sam Kazantzakis urodził się na niej. Z tego powodu opisał klimat i ludzi tej wyspy z wielce głęboką miłością (czasami skrzywiona zamieniała się jednak w nienawiść). Z Mykonos na Kretę samolotem jest blisko, więc pomyśleliśmy, że tam polecimy”. W tym samym roku, na innej wyspie, Lesbos, Murakami odwiedził galerię greckiego malarza Theofilosa.



Uliczka na Mykonos
Fot. Wikimedia Commons 

W 1989 r. Murakami wybrał się z żoną na Rodos, gdzie wynajęli samochód (niewiele wcześniej pisarz zrobił prawo jazdy) i okrążyli wyspę. „Rodos – to miejsce, które obfituje w wyjątkowo dużo wody i zieleni w porównaniu z innymi wyspami greckimi” – zapisał w dzienniku. Przy okazji państwo Murakami pojechali też na wyspę Haruki na Archipelagu Dodekanez: „Postanawiamy jechać na wyspę Haruki. Gdyby na Morzu Egejskim była mała wyspa nosząca twoje imię, to ty też chciałbyś chyba raz w życiu na nią pojechać” – przekonuje. Nie ominęli wyspy Karpathos – to długi pas lądu położony między Kretą a Rodos. Pojechali stamtąd do Olympos, największej atrakcji wyspy i prawdopodobnie najpiękniejszej greckiej wsi, gdzie mieszkańcy nadal ubierają się w tradycyjne stroje.

Ponieważ Murakami mieszkał na wyspach (głównie na Mykonos i na Spetses) w zimnych miesiącach, a podróżował często w zimie czy na jesieni (np. na Lesbos) nazywał siebie i żonę „off-season travelers” i zauważał, jakie są uroki wysp greckich poza sezonem. „Nie ma nic do roboty, to nasz nieodłączny los jako turystów poza sezonem. Na jesieni i w zimie Grecja jest uroczym miejscem. Niebywale mało [tu] turystów, ludzie są mili, a ceny niskie. Hotele są puste i gdzie się nie pójdzie jest cicho. Można się wyluzować. Jednak nie ma nic do roboty. Gdyby to było lato, można by rzeczywiście wiele robić. Tylko przez samo pływanie w morzu, gapienie się na dziewczyny, opalanie się, picie piwa i jedzenie sałatki greckiej miesiąc

zleciałby nie wiadomo kiedy. Nie przesadzam. Naprawdę nie ma kiedy myśleć. (...) A tak, poza sezonem musimy się nagłówkować, gdzie powinniśmy następnie iść i co robić”. Należy wspomnieć, że poza sezonem większość restauracji czy kawiarni na wyspach jest zamknięta, a zimą dokuczają zimno. Są problemy ze środkami transportu. Ostatecznie małżeństwo Murakamich było stałym bywalcem lokalnych kin – to dla nich jedna z łatwo dostępnych rozrywek za granicą, a także forma zabicia wolnego czasu.

Jogging i udział w maratonie

Murakami być może nie mógłby utrzymać tak dobrego tempa pisania bez ruchu, jaki daje mu jogging. W myśl: „Im lepiej dbasz o zdrowie, tym łatwiej wydobędziesz to, co niezdrowe” biegając codziennie od blisko trzydziestu już lat pokonał wiele kilometrów. Murakami zaczął biegać niedługo po tym jak został pełnoetatowym pisarzem. Jak mówi, zawsze lubił biegać, a narzucenie sobie codziennego reżimu było też dla niego szansą na rzucenie palenia i przejście na zdrowy tryb życia, tak ważny w tym zawodzie.

W dzienniku nie omieszkuję wspomnieć o trudnościach jakie napotykał podczas uprawiania joggingu na co dzień przede wszystkim w Grecji. „Mieszkałem dość długo w Europie Południowej i dosyć uciążliwą rzeczą były [pewne] trudności w uprawianiu codziennego joggingu. W ogóle nie ma tam zwyczaju takiego jak jogging. Nie spotyka się też biegających ludzi. W mieście biegają jedynie kieszonkowcy (naprawdę są tacy ludzie), lub podróżujący z plecakami spieszący się na autobus, który kursuje zaledwie dwa razy dziennie. Dlatego kiedy sobie beztrudnie biegnę ulicą wszyscy bardzo dziwnie się na mnie patrzą. Są nawet tacy, co przystają, otwierając szeroko usta. Ta tendencja wzrasta im bardziej się zapuszczę na wieś”.

W jednym z wywiadów na pytanie, gdzie jest jego najulubieńsze miejsce do biegania, pisarz odpowiada, że właśnie Grecja. „Przypominają mi się [czasy], kiedy mieszkałem na małej wyspie greckiej. Ponieważ byłem tam jedynym joggerem, zawsze ktoś za mną wołał pytając: dlaczego biegniesz? – czy to aby nie jest niezdrowe? Albo: może zatrzymasz się na kieliszek ouzo? To było dość zabawne”. W *Tōi Taiko* przytacza taką oto inną,

podobną rozmowę: „Ej, dlaczego biegniesz tą drogą? – pyta mężczyzna, który pełni rolę przedstawiciela. – Dlatego, że lubię biegać – odpowiadam. Tak czy inaczej ciągle i ciągle pytają mnie o to samo, więc zapamiętałem po grecku to zdanie. – To znaczy – kontynuuje mężczyzna głaszcząc brodę na policzku – że nie biegniesz, bo masz coś do załatwienia? – Nie mam nic do załatwienia. Wtedy troje z nich patrzy po sobie i przez jakiś czas debatuje nad tym, co powiedziałem”.

Pisarz wspomina też o innej trudności: „Drugą kwestią problemową biegania w Europie Południowej są psy. Z jakiegoś powodu jest dużo bezpańskich. Co więcej, tak jak ludzie, nie nawykli do biegaczy, więc kiedy biegnę, myślą sobie pewnie, że jestem jakiś podejrzany i mnie gonią”.

Przygoda Murakamiego z maratonami zaś zaczęła się po ukończeniu przez niego powieści *Przygoda z Owcą*. Jednym z pierwszych maratonów, jakie przebiegł, i to samotnie, był maraton ateński (1983 r.). Wówczas w lipcu pisarz nie zdawał sobie sprawy z upału, jaki panuje w Grecji. „Po raz pierwszy w życiu przebiegłem czterdzieści dwa kilometry właśnie tą trasą. Sześć lat temu sam pobiegłem w przeciwnym kierunku – z Aten do Maratonu. Zanim nasilił



Karpathos
Fot. Wikimedia Commons

się ruch drogowy, musiałem opuścić Ateny. W pełni lata, w takim gorącu, że świadomość odpływa, wybiegłem z nich o piątej rano i ledwo dysząc dotarłem do Maratonu. Od tego czasu minęło sześć lat. Tym razem w blasku



jesiennego słońca pobiegłem z Maratonu do Aten. W porównaniu do trasy z Aten do Maratonu, tu jest częściej pod górkę”.

Uten, Enten. W Republice Mnichów

Wróćmy do podróży Murakamiego po Grecji. Ich opis nie byłoby pełen bez wspomnienia o Athosie, a dokładniej o Autonomicznej Republice Góry Athos, o której pisze w *Uten, Enten*. „Odkąd pierwszy raz przeczytałem o Athos w książce, chciałem tam pojechać. Chciałem na własne oczy zobaczyć, jacy ludzie tam żyją i jak przeżywają swoje życie” – pisze w dzienniku pisarz, który do Athos przybył razem z redaktorem i fotografem (z którym następnie pojechał do Turcji).

W *Uten, Enten* Murakami porusza tematy historyczne, przytacza różne legendy, ale przede wszystkim dostarcza podstawowych informacji o półwyspie i panujących na nim zwyczajach. Odbываяc tę trudną pielgrzymkę odkrył, że na tej ziemi religia żyje dosłownie. „Jest kilka rzeczy, który musimy wiedzieć przed podróżą na Athos” – wprowadza czytelnika w rozdziale zatytułowanym *Jakim Światem jest Athos*. „Najbardziej podstawową z nich jest

to, że Półwysep Athos to zupełnie inny świat. Funkcjonuje na zupełnie innych zasadach niż nasz. Ta zasada to, innymi słowy, greckie prawosławie. To święta ziemia greckiego Kościoła prawosławnego. Ludzie przybywają tu, aby zbliżyć się do Boga”.

Pisarz zapisał między innymi taką oto rozmowę z jednym z mnichów prawosławnych dotyczącą wiary: „Kiedy mnie zobaczył, zapytał: Skąd przybyłeś? Z Japonii – odpowiadam. – Jesteś prawosławny? – Nie, nie jestem. Następnie pyta, jakiego jestem wyznania. Nie ma wyjścia, więc mówię, że buddystą. Gdybym powiedział, że niewierzący, to wydaliliby mnie z półwyspu. – W Japonii jest kościół prawosławny? – pyta. Kiedy odpowiadam, że jest (w Kanda, w Tokio, znajduje się cerkiew prawosławna zw. Nikorai-dō), obdarzył mnie promiennym uśmiechem. Może pomyślał, że jest jeszcze nadzieje dla takiego kraju jak Japonia”.

Bazą Athosu jest małe miasteczko Ouranopolis (co znaczy „miasto niebiańskie”), gdzie rozpoczynała się i kończyła każda podróż. Stąd panowie wyruszyli w głąb Republiki Mnichów, nazwanej tak z powodu jej mieszkańców

(około dwóch tysięcy mnichów prawosławnych żyjących w dwudziestu monasterach). Kobiety nie mogą wjechać na półwysep, ani tym bardziej tam zamieszkać. Obcokrajowcy zaś mogą przebywać maksymalnie trzy noce i cztery dni oraz posiadać specjalną wizę.

Już na początku pielgrzymki pisarza zachwycała przyroda: „Co za piękne morze. Opuszczając port w Ouranopolis, posuwamy się do przodu i wkraczamy w zupełnie nowe terytorium. Przez dłuższy czas, bez znużenia wpatrywałem się w morze opierając się o balustradę. W Grecji jest wiele pięknych mórz, ale o ile pamiętam nigdzie nie widziałem podobnie pięknego jak morze w Athos. (...) Piękno tego morza to inny rodzaj piękna”.

Z Ouranopolis wszyscy troje popłynęli drogą morską do Dafni, głównego portu Republiki. A dalej z Dafni do Karié – stolicy Athosu. Tutaj dostali specjalne pozwolenie na pielgrzymkę po monasterach, w których mogli też zatrzymać się na noc. Murakami chwilami skarżył się na trud wędrowania, na brak dostatecznych środków lokomocji czy choćby jedzenie klasztorne. Wspominał między innymi, z czego składa się za każdym razem takie tradycyjne powitanie przybyszów w monasterach: jest to kubek wody, filiżanka mocnej kawy po grecku, kieliszek ouzo – greckiej wódki i dwa kawałki lukumi – rodzaj twardej galaretki posypanej cukrem pudrem, za którą pisarz jednak nie przepadał.

Ta półtoramiesięczna wędrówka (w czasie, gdy Murakami mieszkał w Europie) zmęczyła go fizycznie, ale odprężyła psychicznie. Szczególnie takie wytchnienie potrzebne


było mu zaraz po tym jak *Norwegian Wood* stała się bestsellerem, a on postawiony został w centrum zainteresowania, którego, jak przyznaje często, nie lubi.

„Człowiek potrzebuje miejsca do którego mógłby należeć. Mniej lub bardziej” (*Kronika Ptaka Nakręcacza*)

W postłowie do *Tōi Taiko* Murakami tak podsumowuje swoje plany dotyczące osiedlenia się: „Tak naprawdę to chcieliśmy się osiedlić, ale jak pisałem już w dzienniku, nie mogliśmy znaleźć dobrego domu. Ostatecznie wędrowaliśmy to tu, to tam po Europie Południowej nosząc ze sobą word processor i magnetofon. Byliśmy w różnych miejscach, spotkaliśmy różnych ludzi i wiele ciekawych rzeczy się wydarzyło. Były wzruszenia. Dużo się też nauczyliśmy. Ale szczerze mówiąc, trochę się też zmęczyliśmy takim nieregularnym życiem. Nie mieliśmy znajomości i nie należeliśmy do żadnej organizacji. Samotne życie w obcym kraju jest bardziej męczące niż to sobie wyobrażaliśmy”.

Choć z początku potencjalnym miejscem zamieszkania wydała się Murakamiemu Grecja lub Turcja, przeniósł się ostatecznie do Ameryki. Od 1991 do 1995 roku mieszkał w USA, gdzie pełnił rolę m. in. wykładowcy na Uniwersytecie w Princeton. „Zaledwie po roku mieszkania w Japonii, po tym jak wróciliśmy z Europy (...) przenieśliśmy się do Ameryki. Teraz, gdy piszę to postłowie mieszkamy tu już dwa lata. Kiedy czytam na nowo tę książkę myślę sobie znowu, że życie w Europie, a życie w Ameryce różni się zupełnie. (...) Myślę, że życie w Europie jest o wiele ciekawsze”.

Obecnie pisarz mieszka w mieście kurortowym Oiso, w Kanagawie niedaleko Tokio. Sam narzuca sobie reżim icodziennie, jak tysiące zwykłych pracowników firm japońskich, dojeżdża do Tokio, by pracować. Jednak choć życie ma już ustabilizowane zdarza mu się usłyszeć odgłos bębnow, tak jak kiedy kończył pisać *Tōi Taiko*. „Nawet teraz słyszę czasami głos dalekich bębnow. W ciche popołudnie, gdy wyteżę słuch, czuję ich odgłos w uszach. Mam wielką ochotę znów wyruszyć w podróż”. Ale zaraz poprawia się, pisząc, że przecież w swojej pracy, w wyobraźni może docierać do wielu miejsc, niekoniecznie fizycznie.

 Stara bizantyjska wieża w Ouranapolis na wyspie Athos
Fot. Wikimedia Commons



WĄTKI GRECKIE W DZIEŁACH MURAKAMIEGO

Murakami zostawił ślad swojej obecności w Grecji w wielu swoich powieściach. Przykładowo akcja w *Sputniku Sweetheart* (1999) dzieje się częściowo na jednej z greckich wysp, gdzie podczas wakacji piękna Miu odrzuca zaloty Sumire, początkującej pisarki. W zbiorze opowieści pt. *Ślepa wierzba i śpiąca kobieta* (2006) w opowiadaniu *Koty ludojady* kochankowie także uciekają na grecką wyspę, gdzie wychodzi na jaw ich pozamałżeńska przygoda. W *Takushii ni notta hito* (*Człowiek w taksówce*, 1984) rzecz dzieje się częściowo w Atenach.

Fabula powieści takich jak *Kafka nad morzem* (2002), pokazuje jak bardzo Murakami lubi sięgać do greckiej mitologii. Ta prawdopodobnie najbardziej skomplikowana powieść pisarza, nazywana jest współczesną grecką tragedią. W jednym z wywiadów sam Murakami mówi: „Chłopiec [imieniem] Kafka jest przeklęty przez swojego ojca na sposób Edypa: zabijesz mnie, swego ojca i będziesz kochał się ze swoją matką. Ucieka od ojca i swego przekleństwa do odległego miejsca. Jednak doświadcza bardzo dziwnego świata; rzeczy nierealistycznych, jakby ze snu”. Także *Kronika Ptaka Nakręcacza* (1995) wielu przywołuje na myśl mit o Orfeuszu i Eurydyce, gdzie Orfeusz schodzi do Hadesu, by uratować swą ukochaną (Toru i Kumiko).

JEDEN DZIEŃ Z ŻYCIA PISARZA NA WYSPIE SPETSES, (FRAGMENTY)

Tak wygląda życie pisarza na greckiej wyspie poza sezonem turystycznym:

„Wstaję o siódmej rano. Żonie ciężko jest wstać, więc sam zawsze przygotowuję sobie śniadanie. (...) Kiedy zjem, idę biegać. Najkrócej biegam czterdzieści minut, a najdłużej około stu. Kiedy wracam, biorę prysznic i zabieram się do pracy. Podczas tej podróży mam zamiar przetłumaczyć dwie powieści, prowadzić dzienniki z podróży (to, co teraz piszę), i napisać nową powieść. Dlatego wcale nie mam wiele wolnego czasu. Przez jakiś czas piszę powieść. Kiedy mnie znuży [pisanie], przechodzę do tłumaczenia. Jeśli znudzę się tłumaczeniem, znów piszę powieść. (...) Do jedenastej pracuję, a potem idziemy [z żoną] na zakupy do miasta. Do centrum piechotą schodzi nam dziesięć minut wzdłuż brzegu morza. (...) Kiedy jest ciepło, siedzimy w kawiarni w porcie i popijając kawę czytam gazetę „Herald Tribune”. (...) Po powrocie do domu jemy lunch. (...) Kolacja jest zazwyczaj o osiemnastej i przeważnie gotuje żona. (...) Gdy skończymy jeść kolację, na zewnątrz jest już ciemno. Czytam wtedy książkę w salonie słuchając muzyki, a żona pisze dziennik, listy do przyjaciół czy prowadzi rachunki (...) Nie dzwoni telefon. Nie ma deadline’u. Nie ma telewizora. Nic nie ma. (...) Cisza jest niezwykle przyjemna. Opróżniam butelkę wina, a gdy wypijam haustem szklanek whisky, robię się nieco senny. Na zegarze dochodzi godzina dziesiąta. Zасыpiam sobie miło, tak jak jestem. To był zajęty dzień, a jakbym zupełnie nic nie zrobił”.

Ciekawostki

PORTRET GREKA

W czasie swego pobytu Murakami obserwował Greków i nieraz wchodził z nimi w kontakt. W ten sposób wyrobił sobie o nich opinię. „Z moich obserwacji wynika, że Grecy to typ ludzi, którzy relatywnie łatwo popadają w chaos. Mają chęci, by coś dobrze wykonać, ale jeśli sytuacja trochę się skomplikuje, to wszystko wymyka im się spod kontroli i robi się zamieszanie. Albo zaczynają się złościć, albo popadają w depresję. Pod tym względem różnią się zupełnie od Włochów. Włosi od początku nie bardzo chcą coś dobrze zrobić, więc jeśli coś pójdzie nie tak, nie tracą kontroli nad sobą. Który sposób komu się bardziej podoba, to już kwestia gustu”. I w innym miejscu: „Grecy to naprawdę poważni ludzie. Szczególnie inteligenci zawsze o czymś poważnie myślą. Kiedy myślą za dużo, mają tendencję do stopniowego zanurzania się w mroczny świat. Choć Grecy czują się dumni za zbudowania tak świetlanej historii, za każdym razem gdy myślą o rzeczywistych problemach swego kraju, popadają w melancholię. (...) Grek Zorba na pierwszy rzut oka żył beztrosko, ale też miał swoją filozofię”.

Tłumaczenie cytatów i tytułów dokonane zostały przez autorkę artykułu.

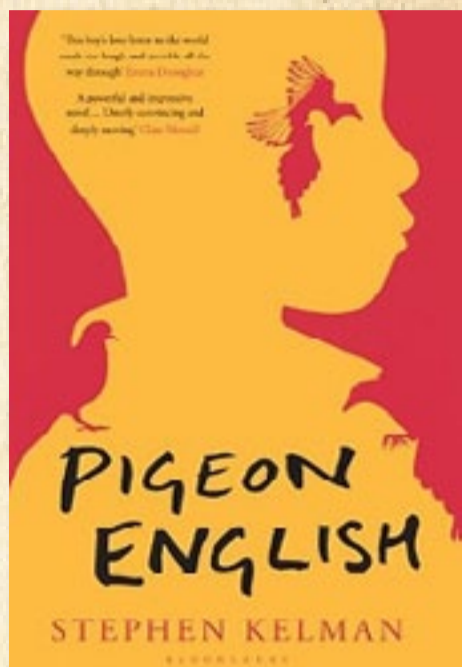
NIEWYDANE W POLSCE



WIELKA BRYTANIA

Stephen Kelman,
Pigeon English
[powieść]
Wyd. Bloomsbury, 2011

Renata Długołęcka



„Gołębie jako jedne z nielicznych istot żywych odniosły niebywały sukces w przystosowaniu się do życia w symbiozie z człowiekiem. Ich obecność stała się na tyle normalna i doskonała, że ludzie przestali je zauważać. Ich egzystencja w XXI wieku stanowi nierozdzielalną całość z egzystencją ludzi. To ludzie powinni uczyć się od ptaków łatwości w przyswajaniu nowych obyczajów” – mówił Stephen Kelman podczas Festiwalu Książki w Edynburgu w sierpniu 2011 roku.

Autor urodził się w Luton, które ponad sto lat temu służyło z produkcji kapeluszy. Dziś kojarzone jest z lotniskiem i osiedlami, zamieszkanymi przez ogromną liczbę emigrantów szukających lepszego życia i przybywających do miasta od lat 70. Miasto nie różniło się zbyt wiele od południowych dzielnic Londynu, gdzie autor umiejscowił akcję swej debiutanckiej powieści. Mieszkania kwaterunkowe, mające być formą pomocy rządu Wielkiej Brytanii dla emigrantów przybywających falami do Zjednoczonego Królestwa, stały się jednocześnie ich przekleństwem, z którego nie mogli znaleźć drogi wyjścia. Kilkunastopiętrowe molochy, w których stłoczeni przybysze, między innymi z Bangladeszu, Jamajki czy krajów Afryki Zachodniej, musieli egzystować na kilkunastu metrach kwadratowych, często w kilka osób w wielopokoleniowych rodzinach, stawały się jednocześnie ich więzieniem, z którego droga „na zewnątrz” prowadziła najczęściej, aczkolwiek nie zawsze, przez przemoc i przestępczość.

W 2007 roku liczba czarnoskórych mieszkańców Londynu wynosiła około 803 tys. osób, czyli 10,6 % ogółu spo-

łeczeństwa. 5,5% to emigranci z Afryki, których przedstawicielem był Damida Taylor, zamordowany w 2000 roku w jednej z londyńskich dzielnic. Śmierć chłopca stała się przyczynkiem do napisania przez Kelmana *Pigeon English*.

Jedenastoletni Ghanijczyk – Harrison Opoku – przybywa do Londynu z matką i starszą siostrą, zostawiając w ojczyźnie ojca, którego nie było stać na kupno biletu do Wielkiej Brytanii. Wydając oszczędności życia, matka wraz z dwójką dzieci przylatuje do nowego kraju, aby zapewnić dzieciakom edukację i lepsze życie. Wszyscy żyją nadzieją, że rozłąka nie potrwa długo, co często w takich sytuacjach bywa złudzeniem. Harri, najszybszy jedenastolatek w dzielnicy, staje się świadkiem morderstwa chłopca z sąsiedztwa, którego sprawcami są członkowie lokalnego gangu. I to wydarzenie stanowi punkt wyjścia dla całej książki.

Książka jest po części powieścią detektywistyczną napisaną z punktu widzenia dorastającego w nowych warunkach chłopaka, a częściowo wnikliwą obserwacją społeczeństwa emigrantów zamkniętych w osiedlach kwaterunkowych. Narastająca frustracja dojrzewających ludzi, niemożność samorealizacji i poczucie wyobcowania prowadzą do przemocy nie tylko w domach rodzinnych, ale także na ulicy. Przynależność do gangów daje poczucie złudnego bezpieczeństwa, jednocześnie zamykając drogę ku edukacji i osiągnięciu postawionych przed sobą celów. Język ulicy, którym posługują się bohaterowie książki, jest zbliżony do tego, którym posługiwał się Kelman w dzieciństwie, dorastając na ulicach Luton. Dojrzewający Opoku niebezpiecznie balansuje w swych białych butach marki Adidas pomiędzy „normalnością” podawaną mu przez matkę i brutalnością ulicy, którą każdego dnia serwują mu koledzy w szkole. I tylko od niego oraz od zbiegu okoliczności i poszczególnych wydarzeń zależy, jakie życie wybierze.

Powieść, poza niezaprzeczalnymi pesymistycznymi akcentami, przepełniona jest humorem i ciętymi ripostami bohaterów. Bez ich obecności *Pigeon English* nie byłaby pełną książką, w której brutalna rzeczywistość przetykana jest jaskrawymi momentami życia. Dwupoziomowa narracja z punktu widzenia chłopca i z punktu widzenia gołębia nie jest może najbardziej udanym zabiegiem literackim, ale o wartości tej książki świadczy chociażby to, że przetłumaczono ją na 21 języków, dwunastu wydawców w Wielkiej Brytanii biło się o prawa do jej wydania, a BBC podjęło się próby adaptacji powieści na potrzeby telewizji. Stephen Kelman jest zaś doskonałym przykładem na to, że ze stanowiska menedżera w supermarkecie i obywatela, dorastającego w dzielnicy emigrantów, można stać się jednym z najpoczytniejszych pisarzy w Zjednoczonym Królestwie. ■



N I E M C Y

Eugen Ruge
*In Zeiten des abnehmenden
Lichts*
[powieść obyczajowa]
Rowohlt Verlag 2011

Anna Bittner

W 2011 roku Eugen Ruge został laureatem najbardziej prestiżowej niemieckiej nagrody literackiej Deutscher Buchpreis, ponadto *In Zeiten des abnehmenden Lichts* uhonorowano uprzednio dwiema innymi nagrodami i ogłoszono *Budenbrookami* NRD. W tej powieści Ruge opowiada historię czterech pokoleń i jednocześnie szkicuje obraz stopniowego upadku NRD oraz ideologii socjalistycznej. Tak, jak rozpada się państwo wschodniemieckie, tak podupada rodzina Powileit-Umnitzer, której losy niewątpliwie mają wiele punktów stykowych z życiorysem autora.

Ruge skupia swoją akcję wokół wydarzeń mających miejsce 1 października 1989 roku. To dziewięćdziesiąte urodziny seniora rodu, które są pretekstem do ukazania losów rodziny z wielu perspektyw. Ten dzień spina całą akcję powieści niczym kłama, a każda z najważniejszych postaci opisuje go z własnego punktu widzenia. Dzień jest niezwykle ważny dla bohaterów – jubilat Wilhelm i jego żona Charlotte byli bowiem gorliwymi komunistami. Po wojnie wrócili z emigracji w Meksyku, by pomóc budować nową ojczyznę. Dzięki politycznej emigracji oraz współpracy z tamtejszymi organami socjalistycznymi stali się protegowanymi systemu i otrzymują wysokie stanowiska w nowym państwie. Ich synowie Kurt i Werner spędzili wojnę w Rosji, gdzie byli szykanowani za ostrą krytykę paktu Stalina z Hitlerem. Werner zginął, a Kurt został zesłany do gułagu. Do NRD powrócił ze swoją rosyjską żoną Iriną. Po powrocie do kraju zrobił karierę naukowca, dostosowując się do systemu, ale nie wspierając go aktywnie.

Ukochany wnuk Wilhelma i syn Kurta – Alexander, zwany Saszą, od najmłodszych lat nie podziela poglądów dziadków i rodziców. Akurat w dzień urodzin seniora rodu dzwoni z obozu dla uchodźców w RFN, dokąd uciekł przez Węgry. Najmłodszy członek rodzi-

ny, nieślubny syn Saszy – Markus – zupełnie nie interesuje się polityką. O wiele bardziej fascynujące jest dla niego śledzenie życia gadów.

Relacje gości Wilhelma przeplatają się z rozdziałami ukazującymi wydarzenia rodzinne od lat pięćdziesiątych po wrzesień 2011 roku. Tutaj głównym bohaterem jest Alexander, który w pierwszym rozdziale troszczy się o zdziecinniałego, chorego na demencję ojca i usiłuje mu opowiedzieć o swojej śmiertelnej chorobie. Diagnoza jest dla niego impulsem do podróży do Meksyku, gdzie porusza się po tropach babki, szukając odłamków przeszłości. Tej, która odpłynęła wraz ze swoją świetnością.

Zmiany polityczne wprawdzie odgrywają w powieści ogromną rolę i wydają się współgrać z losem rodziny, jednak nie dominują w fabule. To raczej stosunki międzyludzkie stoją w centrum uwagi autora. Dzięki zmiennej perspektywie autor rewiduje opinię czytelnika o każdym z bohaterów. Stosując zabieg ukazania dnia urodzin Wilhelma oczyma tylu różnych osób, uwypukla łatwość pochopnej oceny, niezrozumienie, całkiem różne spojrzenia na daną sytuację oraz to, jak bardzo mogą się różnić własna i obca ocena jednej osoby.

Osoby rodziny wydaje się tworzyć wkoło jej męskich członków, ale to kobiety są zdecydowanie aktywniejsze. To one nie uciekają przed podejmowaniem decyzji, przed konfrontacją i trzeźwą oceną wydarzeń. Ich dominująca rola i pozorna tylko drugoplanowość uwypukla słabości mężczyzn.

Ruge zachwyca czytelnika stylem. Zdumiewa dopasowaniem języka do każdej z postaci. Krótkie, surowe wręcz zdania, przeplatają się z rozbudowanymi wspomnieniami. To język jest drogowskazem czytelnika, pozwala mu zachować orientację w skokach w czasie.

Powieść Ruge nie jest łatwą lekturą, ale za to lekturą bardzo zadowalającą. Autor balansuje między powieścią rodzinną, społeczną i historyczną, co bywa interpretowane jako jej słabość, ale co z drugiej strony pozwala czytelnikowi poznać pełen obraz czasów minionego państwa. ■

**NI EWYDANE
W POLSCE**



H I S Z P A N I A

Antonio Orejudo

Un momento de descanso

(*Chwila odpoczynku*)

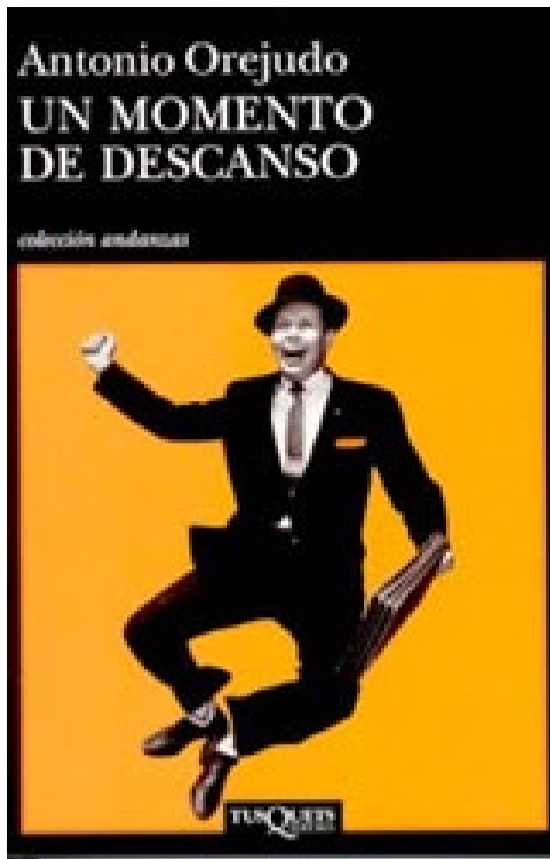
[powieść]

Wyd. Tusquets Editores,

Barcelona 2011

Asia Ya

„Czy to prawda, że...” – tak zaczyna się bodajże ulubione pytanie czytelników na spotkaniach autorskich. Niby powszechnie wiadomo, że w beletrystyce poruszamy się po fikcyjnych obszarach, ale mimo to dociekaniom, co pisarz wymyślił, a co „z życia wzięte”, nie ma końca. Antonio Orejudo, wykładowca literatury hiszpańskojęzycznej w Hiszpanii i USA, doskonale zdaje sobie sprawę, że od tych skłonności nie są wolni nawet zawodowi krytycy. *Un momento de descanso* to żart na takie odbieranie literatury. Konsternację budzi już sam fakt, że jeden z dwóch bohaterów powieści, a zarazem narrator, nosi imię i nazwisko autora oraz jest pisarzem. Orejudo dowcipkuje w wywiadach, że akurat takie nazwisko miał na podorędziu, ale wydaje się to raczej dobrze przemyślanym zabiegiem, który paradoksalnie zmusza do ciągłego rozróżniania autor – literacka postać. O wiele gorzej wyszedł na tym wieloletni przyjaciel pisarza, Rafael Reig (również uznany pisarz i wykładowca), któremu czytelnicy przypisali rolę Arturo Cifuentesa, przyjaciela Orejudo – tego powieściowego. Zniecierpliwiony tłumaczeniem się, stanowczo oznajmił w jednym ze swoich felietonów: „Cifuentes to nie ja!”. W istocie, któż chciałby nim być? Ten wykładowca literatury na wydziale *Spanish* podrzędnego amerykańskiego uniwersytetu, fatalny mąż i bezradny ojciec to mężczyzna w rozkwicie kryzysu raczej niż wieku. Neurotyczny, obsesyjnie szukający potwierdzenia własnej wartości – często w wyimaginowanych, absurdalnych sytuacjach („Nie umiem rozpalać ogniska, nie umiem skubać ptactwa, oprawiać królika czy naostrzyć noża”) budzi raczej politowanie niż podziw. Jako intelektualista zna doskonale teorie na wszystko, np. na to, jak nie wpaść w sidła marketingowców. Na syna patrzy poprzez pryzmat psychoanalizy („W głębi serca pragniesz, żebym się za ciebie wstydził. (...) Ale ja się za ciebie nie wstydę, Edgar (...) Będziesz musiał po-



szukać sobie innego motywu, żeby zniechęcić swojego ojca i być nieszczęśliwym”). Na gruncie zawodowym jest ignorowany do tego stopnia, że nawet na koktajlu wydanym przez wydział na jego cześć, nikt nie zwraca na niego uwagi. Chyba więc nie powinien dziwić fakt, że czytając o nim, miałam przed oczyma Woody Allena z hiszpańskim akcentem.

Zanim jednak czytelnik bez zastrzeżeń uwierzy w powyższą wersję i zapała sympatią do bezradnego profesora, powinien wziąć pod uwagę... no właśnie, że jest to JEGO wersja, którą Arturo Cifuentes sam opowiada przyjacielowi po latach. Ma przy tym do niego delikatną prośbę, a wzbudzenie litości bez wątpienia zachęciłoby do wyciągnięcia pomocnej dłoni. Musi go przekonać, że jest niewinną ofiarą amerykańskiej poprawności politycznej i hiszpańskiego systemu wyższej edukacji, że jest „okropnie ironicznym, acz eleganckim nihilistą”, a nie bezwzględny karierowiczem.

Sam autor, zdaje się, bez skrupułów wykorzystuje okazję i maluje światki uniwersytecki w groteskowych barwach. Jedna z koleżanek Cifuentesa analizuje wyłącznie dedykacje, odrzucając stanowczo ideę czytania utworów, inna kolekcjonuje zdjęcia genitaliów sławnych pisarzy. Czasami rubasznie, kiedy indziej finezyjnie, kpi z uznanych autorytetów. Narrator odmawia pójścia do restauracji haute cuisine Bartleby, której nazwa nawiązuje do książki Enrique Vila Matas, kultowego w kręgach intelektualnych. W zamian za to wybiera zwykłą karczmę na ulicy Desengaño (pol.: *rozczarowanie*, autentyczna ulica w Madrycie).

Powieść jest labiryntem subiektywnych relacji, przez który czytelnika prowadzi narrator, który sam nie jest wiarygodny. Po serii testów farmakologicznych, którym się poddawał, aby dorobić do skromnego stypendium, cierpi na urojenia, chociaż jemu wydaje się, że posiada nadzwyczajną moc czytania w ludzkich myślach. Każde zdarzenie może być poddane w wątpliwość, a autor zdaje się bawić z czytelnikiem w kotka i myszkę. Zabawa to chyba dobry klucz do odczytania powieści. W końcu to *Chwila odpoczynku*. Na pytanie: „Dlaczego taki tytuł?” autor odpowiada tak prosto, że aż przewrotnie: „Bo byłem bardzo zmęczony”. ■

**NEWYDANE
W POLSCE**



J A P O N I A

Tetsuo Miura

Shinobugawa (Przeklęta krew)

[powieść autobiograficzna]

Wyd. Shinchōsha, 1961

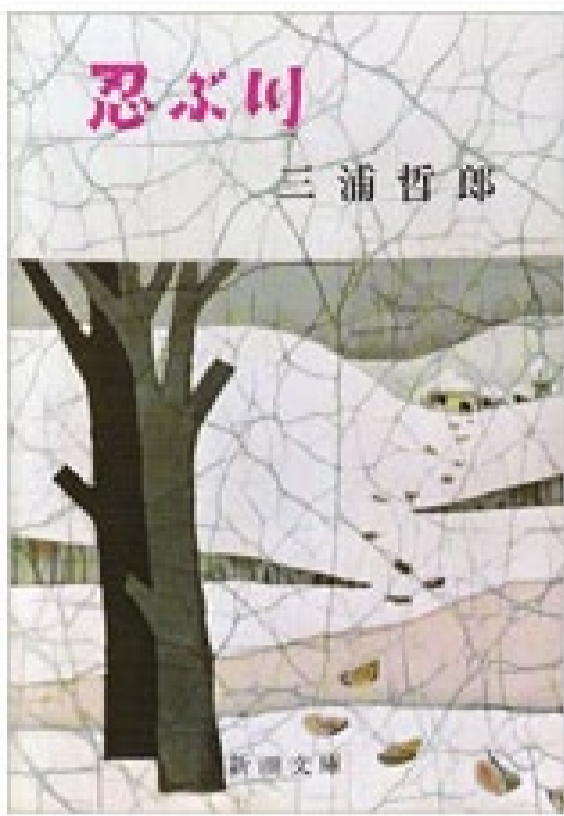
Paulina Yamashita

Tetsuo Miura znany był głównie jako autor krótkich form literackich.

Przed osiągnięciem pełnoletniości (czyli wieku 20 lat w Japonii) doświadczył szeregu traumatycznych wydarzeń, w tym samobójczej śmierci swoich sióstr oraz zaginięcia dwojga starszych braci. Nic dziwnego, że te szokujące zdarzenia zaważyły na jego życiu i odbiły się znaczącym piętnem na jego prozie. Miura poprzez pisanie próbował zmierzyć się z problemem więzów krwi, łączących go z utraconym rodzeństwem. Ten temat podejmuje właśnie w autobiograficznej powieści *Shinobugawa (Przeklęta krew)*, która doczekała się ekranizacji filmowej i telewizyjnej, zagranicznych tłumaczeń (niestety nie polskiego), a autorowi przyniosła nagrodę Akutagawy w 1961 roku.

Shinobugawa to prosta historia o miłości, w której Miura nie boi się poruszyć takich tematów jak odpowiedzialność, więzy rodzinne, śmierć (w tym śmierć samobójcza), hańba czy wstyd. Zawarta jest w niej historia o rodzinie zhańbionej, za której losy odpowiada dalej narrator, jako jedyny pozostający przy życiu zdrowy syn rodziny (ma jeszcze jedną lekko upośledzoną, prawie niewidomą, starszą siostrę). Nad losem rodziny góruje widmo „przeklętej krwi”, do której autor powraca w każdej niemal części. „Poczułem wielką odrazę do siebie, kiedy uzmysłowiłem sobie, że moje życie będzie nieustanną walką przeciwko mojej własnej krwi” – wyznaje z żalem główny bohater. Na początku swojego małżeństwa boi się on posiadania dziecka, ponieważ nie chce przekazać mu owej przeklętej krwi. W pewnym sensie po raz pierwszy odczuwa ulgę, gdy ze starości umiera jego ojciec i może oznajmić otoczeniu, że „ojciec umarł śmiercią naturalną”.

Narratora nieustannie prześladowuje problem samobójstwa, o którego istnieniu (poprzez śmierć swoich



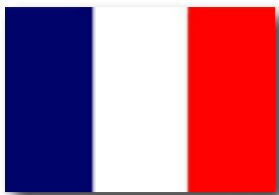
sióstr) wiedział już jako dziecko: „Kiedy miałem około dziesięciu lat, myślałem, że umieranie znaczy popełnienie samobójstwa”. Kiedy wybuchła II wojna światowa sam zapragnął umrzeć taką śmiercią, celowo wystawiając się na działanie wroga. Odkrywa wówczas, że samobójstwo nie musi być czymś wstydliwym, ale może stać się czynem chwalebnym. Był to bowiem czas, kiedy w Japonii śmierć samobójczą gloryfikowano, a kamikaze wykorzystywano do ataków wroga.

Miura lubił osadzać swe dzieła na faktach. *Shinobugawa* jest, zdaniem wielu krytyków, jego najlepiej napisaną powieścią. Należy ona do gatunku *shishōsetsu*, czyli „powieści o sobie”, która ma długą tradycję w japońskiej literaturze wyznaniowej i cechuje się tym, że jej wydarzenia pokrywają się z tymi z życia pisarza,

a narracja prowadzona jest z perspektywy pierwszoosobowej.

Na tę powieść składa się sześć samodzielnych historii połączonych ze sobą głównym wątkiem miłości i małżeństwa dwojga bohaterów. On – bezimienny narrator, student uniwersytetu wiecie dość ponure życie. Po części jest to spowodowane obawą, iż jego krew może być przeklęta. Obawa, która przeradza się w przekonanie, napełnia smutkiem całą jego egzystencję dopóki nie spotka i nie pokocha Shino – kelnerki pracującej w japońskiej restauracji „Shinobugawa” w Tokio. Dzięki sile miłości odwzajemnionej udaje im się razem pokonać lęki i założyć szczęśliwą rodzinę. Z krótkich, powiązanych ze sobą tą samą narracją opowiadań (ale niemających chronologicznej spójności) dowiadujemy się, jak wygląda życie tych dwojga bohaterów w powojennej Japonii. Jesteśmy świadkami ich ślubu, podróży poślubnej, urodzenia pierwszego dziecka, czy też prób pisarskich głównego bohatera.

Shinobugawa zaraz po wydaniu sprzedała się w ponad milionowym nakładzie i ogłoszona została jedną z najpiękniejszych historii miłosnych we współczesnej literaturze japońskiej. W japońskich recenzjach tej powieści podkreśla się przede wszystkim piękno języka, jakim posługuje się Shino – to kobiecy język elegancji i epoki, która bezpowrotnie minęła. Ta utrzymana w melancholijnym tonie powieść napisana jest przystępnym językiem w formie wyznania głównego bohatera, co sprawia, że czyta się ją niezwykle lekko i szybko. ■



F R A N C J A

Véronique Ovaldé

Ce que je sais de Vera Candida

(To, co wiem o Verze Candidzie

/Czego dowiedziałem się

od Very Candidy)

[powieść]

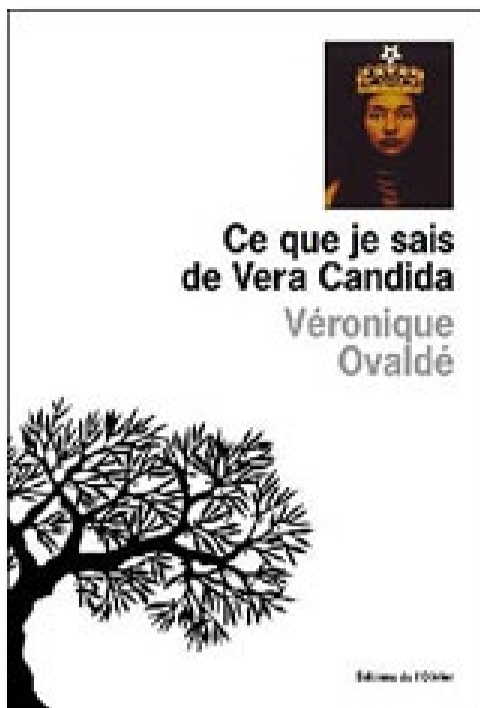
Wyd. Editions de l'Olivier, 2009

Czara

Jest coś pociągającego w tropikach. To dziwna mieszanka intensywności i lekkości zarazem. Może właśnie dlatego francuska pisarka Véronique Ovaldé bohaterów swojej powieści umiejscowiła na wymyślonej tropikalnej wysepce. Bo właśnie taki klimat, duszny i jednocześnie ożywczy, można znaleźć w *Ce que je sais de Vera Candida*.

Vera Candida, dziewczyna o niezwyklej urodzie, jest postacią centralną tej historii, co sugeruje już tytuł powieści. Ale uwaga, tytuł jest ambiwalentny i można go tłumaczyć na dwa sposoby: *To, co wiem o Verze Candidzie* lub *Czego dowiedziałem się od Very Candidy*.

Pójdźmy pierwszym tropem. To, co wiemy o Verze na początku, to to, że wkrótce umrze. I że przed śmiercią wraca na swoją rodzinną wysepkę Vatapunę, gdzie panuje wilgoć i duchota, by odnaleźć swoją babkę – Rosę Bustamente. Ale zaraz robimy skok w czasie, by dowiedzieć się o Verze Candidzie więcej. Jej historia zaczyna się bowiem nie tyle od jej urodzin, ile od urodzin jej babki. Rosa Bustamente, najładniejsza dziewczyna na wyspie, trudniła się najstarszym zawodem świata, zanim przeszła na swoistą emeryturę, by zacząć żyć z połowu i sprzedaży latających ryb. Jednak nad nią i jej małą chatką na plaży zawisnął cień. Jeronimo, bogacz, budujący sobie na wzgórzu buduje sobie piękną willę, chce się pozbyć Rosy, której niechlujny domek psuje mu widok na ocean. Zamiast tego zwabi ją do swojej willi i zrobi z niej na jakiś czas swoją kochankę. Rosa, choć wydawałoby się silna i niezależna, podda się bezwolnie. W tych dość nietypowych okolicznościach Rosa urodzi Violette, swoją niezbyt rozgarniętą córkę o lekkich obyczajach. Dziewczyna jeszcze nie zdąży wydorosnąć, kiedy wyda na świat małą Verę. Vera Candida, która pod opiekuńczymi skrzydłami babki zapomniała o smutnym dzieciństwie przy boku matki, wkrótce niestety też spotka podstarzałego już Jeronimo... I również ona urodzi dziewczynkę...



Tak rysuje się ta saga trzech kobiet, które szukają wolności, ale w każdym pokoleniu wpadają w te same pułapki. Do czasu... Bowiem Vera Candida ucieknie z wyspy. Stanie na własne nogi i swoją córkę wychowa już gdzieś indziej i inaczej. Uda się jej wyrwać z tego ciężącego nad kobietami w jej rodzinie fatum, klątwy, czy też może po prostu – powtarzalnego wzorca zachowania. A potem na swojej drodze spotka dziennikarza idealistę, którego roli w swoim życiu długo nie będzie mogła zrozumieć.

Autorka opowiedziała tę baśniową historię w delikatny, melodyjny sposób. Stworzyła niezwykle atmosferę – oniryczną, zarazem duszną i niepokojącą, ale niepozbawioną świeżego powiewu i słodyczy. Znalazła odpowiedni język, poetycki

i sugestywny. Nakreśliła kilka interesujących portretów kobiecych, lżejszą lub mocniejszą kreską; kobiet silnych i słabych, mądrych i głupiutkich, biernych i wyrrywających się z marazmu. Trafnie opisała proces dojrzewania do miłości, by na końcu spaść powieść kłamrą – Vera, która wraca do rodzinnej wioski i stawia czoła, temu co straciła (Rosa Bustamente już nie żyje) i temu, z czego się wyzwoliła.

Wydana w 2009 roku *Ce que je sais de Vera Candida* jest siódmą powieścią w dorobku Véronique Ovaldé, pisarki docenianej we Francji i tłumaczonej na liczne języki obce. I jak na razie pozostaje najważniejszą, będąc ciepło przyjętą zarówno przez krytykę, jak i czytelników. A choć imiona bohaterów, a może nawet grubszy zarys historii, brzmią jakby prosto z wenezuelskiej telenoweli, muszę przyznać, że i mnie lektura tej książki oczarowała. Jak egzotyczna podróż – do wymyślonej przez pisarkę krainy, ale też podróż w głąb ludzkiej, czy może raczej kobiecej duszy.

Bo też, wracając do drugiego tropu, na który może naprowadzić tytuł, czego się dowiedziałam od Very Candidy? Może tego, że aby zrozumieć swoją własną historię, trzeba się cofnąć wstecz. Zobaczyć, co dostajemy w spadku, jak emocje i najważniejsze momenty w życiu naszych babek i matek wpływają na nas dzisiaj. I sprawdzić, czy nie żyjemy przypadkiem na dusznej, przeklętej wyspie, z której jednak można się wyrwać, żeby móc zacząć oddychać pełną piersią i otworzyć się na coś nowego. ■



WSPÓŁCZESNA LITERATURA PAKISTAŃSKA

RELACJA Z III EDYCJI PAKISTAŃSKIEGO FESTIWALU LITERATURY KARACHI LITERATURE FESTIVAL.

Tekst i fotografie Asia Kusy

Tegoroczny Karachi Literature Festival gościł 150 pisarzy, krytyków literackich i intelektualistów z Pakistanu, Indii oraz szeroko pojętego Zachodu, a także tłumy publiczności. Szacuje się, że ok. piętnaście tysięcy osób odwiedziło festiwal, chcąc spotkać gwiazdy pakistańskiej sceny literackiej i posłuchać dysput intelektualistów. Dla wielu była to też okazja, by nawiązać nowe znajomości (miałam wrażenie, że niektórzy traktowali festiwal jak czasem traktowane są w Pakistanie wesela – jako okazję do wymiany wizytówek i znajomych nazwisk) albo po prostu spędzić popołudnie z rodziną, ponieważ częścią festiwalu był specjalny program dla dzieci.

Czy piętnaście tysięcy to dużo? W kontekście dwudziestomilionowego miasta – garstka. Natomiast z perspektywy uczestnika festiwalu – barwny tłum, który szczerze wypełnił hotelowe sale, hale i ogrody świadczył o dużym zainteresowaniu literaturą (zdecydowanie większym niż w poprzednim roku, kiedy na festiwalu pojawiło się ok. dziesięć tysięcy osób).

Czytanie jest dziś zajęciem elit, powiedział Mohammed Hanif w czasie promocji swojej najnowszej powieści *Our Lady of Alice Bhatti*. Wielu z tych, którzy brali udział w festiwalu, lubi określać siebie mianem „elity”. Są czasem z przekąsem nazywani w Pakistanie *burger class*. Posługują się doskonale językiem angielskim. Zdobyli wykształcenie na zachodnich uczelniach (co wiąże się bezpośrednio z ich możliwościami finansowymi). Jeśli mieszkają w Karaczi, to najczęściej w uznawanych za symbole statusu dzielnicach Clifton i Defense.

Festiwalowe gwiazdy

Wiele gwiazd festiwalu przyjechało z Indii. Wielkim powodzeniem cieszyło się spotkanie z Vikramem Sethem – autorem m. in. powieści *The Suitable Boy* (polskie tłumaczenie: *Pretendent do ręki*, tł. Anna Jeleniewska) o Indiach lat 50. Szczelnie wypełnili salę balową czytelnicy Shobhyy De, która zaczynała karierę jako modelka. Jest autorką siedemnastu książek, w Polsce wydano jej *Bollywoodzkie noce*. Aż cztery jej powieści są lekturą obowiązkową na Uniwersytecie Londyńskim. Często włącza się też frag-

menty jej prozy do kursów literatury porównawczej w Indiach. Napisano na jej temat ponad sto prac naukowych, a w Indiach ukazało się opracowanie jej prozy, pt. *The Fiction of Shobhaa De* (czterdzieści esejów). De pisze scenariusze do seriali, prowadzi prestiżowy talk show, publikuje w najważniejszych indyjskich czasopiśmie, jest uznaną komentatorką w sprawach społecznych, prowadzi bardzo popularny blog, jest obecna na Twitterze i Facebooku,



☝ W programie festiwalu znalazły się także atrakcje dla najmłodszych czytelników

została także okrzyknięta przez indyjskie czasopisma jedną z najbardziej wpływowych i najpiękniejszych kobiet w Indiach.

Inną niekwestionowaną gwiazdą festiwalu był urodzony w Wielkiej Brytanii, a pochodzący z pakistańsko-brytyj-



☞ Marilyn Wyatt

skiej rodziny, Hanif Kureishi. Warto może przypomnieć, że w 2008 r. został uznany przez „The Times” za jednego z pięćdziesięciu najbardziej wpływowych brytyjskich pisarzy od 1945 r. Zasłynął z *Mojej pięknej pralni*, *Intymności* i *Buddy z przedmieścia* – fragmenty tej ostatniej powieści czytał w czasie spotkania z czytelnikami. Opowiedział też m. in. o reakcjach Pakistańczyków na jego twórczość, o zarzutach, że przedstawia ich w złym świetle.

Inne ważne postaci tegorocznego festiwalu to m. in. Waheed Mirza (pochodzący z Kaszmiru pisarz indyjski, obecnie mieszkający w Londynie, autor powieści *The Collaborator*), Mohammed Hanif, Kamila Shamsie, Anatol Lieven, William Dalrymple, Ayesha Siddiqi czy Bina Shah.

Kobiecość

Temat kobiecości został kilkakrotnie podjęty w czasie festiwalu. Podczas sesji zatytułowanej „Women Writing Women” trzy pisarki związane z Pakistanem i ze Stanami Zjednoczonymi – Bina Shah, Muniza Naqvi i Nafisa Haji – opowiadały o swojej twórczości. Podkreślały, że doświadczenie kobiecości bardzo mocno naznacza ich sposób

postrzegania świata. Często jednak to, co piszą kobiety, nie jest postrzegane jako wartościowe. Pisarki wspominały, że mężczyźni mają w literaturze przewagę, bo piszą „o rzeczach poważnych” – polityce, władzy, wojnie, a kobiety piszą o relacjach, uczuciach, i te tematy wciąż są uznawane za lekkie i mało znaczące, po prostu „kobiece”. Może to jakoś wyjaśnia fakt, że pisarki za wszelką cenę nie chciały być postrzegane jako „kobiece”, a szczególnie odżegnywały się od słowa „feminizm”, które w pakistańskim kontekście brzmi chyba wyjątkowo źle. Zastępowały je np. słowem „humanizm” (Bina Shah). Podkreślały, że kobiety w Azji Południowej są bardzo silne, robią mnóstwo wspaniałych rzeczy, ciężko pracują, są aktywne i twórcze, a na Zachodzie są mylnie postrzegane jako słabe i zdominowane przez mężczyzn. Co więcej, zapewniały, że w Pakistanie są znacznie większe problemy niż ucisk kobiet (i to stwierdzenie mnie zdumiało!).

Dwa inne spotkania dotyczyły rzeczywistości, która dla pakistańskich kobiet nie zawsze jest łatwa: zbrodni popełnianych w imię honoru i sytuacji kobiet w obowiązującym prawie.



☞ Nritaal

Promocje książek

Wiele osób zainteresowało spotkanie z Siddharthą Debem, pisarzem i dziennikarzem amerykańskim indyjskiego pochodzenia. Główną postacią jego najnowszej książki *The Beautiful And The Damned: Life In The New India*, wydanej w Indiach przez Viking Penguin, jest indyjski *management guru* Arindam Chaudhuri, którego, jak powiedział Deb, można nazwać symbolem nowej indyjskiej elity: inteligentny, zblazowany, znudzony i bardzo trudno dostępny dla kogoś spoza jego sfery.

Arindam Chaudhuri po ukazaniu się tej książki – opartej na faktach i długich rozmowach z Debem – pozwał do sądu autora, Google India oraz wydawnictwo Viking Penguin i zażądał 500 milionów indyjskich rupii (ok. 10 milionów dolarów) odszkodowania oraz usunięcia z wydania indyjskiego pierwszego rozdziału zatytułowanego *Wielki Gatsby*.

Duże zainteresowanie wzbudziła też praca *The Terror of God: Attar, Job and the Metaphysical Revolt* Navida Kermaniego. Kermani to urodzony w 1967 r. niemiecki pisarz pochodzenia perskiego (irańskiego), członek Niemieckiej Akademii Nauk w Hamburgu, specjalista od islamu. Pi-

sze powieści, prace naukowe i artykuły o islamie, Bliskim Wschodzie i dialogu chrześcijańsko-muzułmańskim, publikuje m. in. w „Die Zeit”, a jego prace wzbudzają w Niemczech wiele emocji. Przyznanie mu literackiej nagrody dialogu międzyreligijnego Wielkiego Księstwa Hesji wzbudziło kontrowersje wśród innych laureatów (przedstawicieli luteranizmu, katolicyzmu i judaizmu). *The Terror of God* odwołuje się do porównawczej historii literatury, a tematem książki jest teodycea w monoteizmie Wschodu i Zachodu – człowiek, który nie negując Boga, nie zgadza się na porządek świata i złorzeczy mu. Kermani korzysta ze źródeł judaistycznych i chrześcijańskich, odwołując się do postaci Hioba, Abrahama, Mojżesza, Jonasza, Eliasza, Jeremiasza i Księgi Psalmów. Przede wszystkim jednak opiera się na dziełach osiemnastowiecznego perskiego poety Faridoddina Attara z Niszapuru, który specjalizował się w historiach łączących muzulmańską pobożność z gniewem na Boga. Kermani zauważył w czasie festiwalowej sesji, że spór z Bogiem był centralnym motywem wielkiej części literatury mistycznej w judaizmie i islamie. Poezja Attara to jeden z najbardziej radykalnych sposobów pytania o Boga i cierpienie. Sesja szybko przerodziła się w żywą rozmowę z publicznością.

W muzulmańskiej literaturze krytyka, w tym krytyka Boga, jest wszechobecna. Ale nie we współczesnej literaturze. A właśnie zadawanie pytań, kwestionowanie „oczywistych prawd”, wzmocniło religie. Obecny sposób myślenia nie jest zgodny z tradycją muzulmańską, która była znacznie bardziej otwarta i skomplikowana, niż to, jak się ją dziś przedstawia.

„Świadkowie i obserwatorzy. Pakistan oczami cudzoziemców”

W czasie tej sesji Pakistańczycy trochę przypominali mi Polaków. Kilka razy przytapałam się na myśli, że to samo albo coś bardzo podobnego, mogłoby zdarzyć się w Polsce. Polaków przecież też bardzo interesuje, co inni o nich myślą, jak ich widzą. Szczególnie ważne jest dla nich zdanie mieszkańców Zachodu. O swoich spostrzeżeniach opowiadali dziennikarze: Anatol Lieven, Declan Walsh, Kishore Bhimani, Hartosh Singh Bal, oraz Stefan Weidner – podróżnik i autor bloga podróżniczego.

Anatol Lieven, zakochany w Pakistanie, został przedstawiony jako ktoś, kto „nie potrzebuje przedstawiania”. Pochodzi z książęcej rosyjskiej rodziny Lievenów. Jest profesorem studiów wojennych z londyńskiego King’s College, autorem ekspertyz z zakresu strategii wojennych USA, terroryzmu, islamu, konfliktów zbrojnych na terenie byłego ZSRR oraz Bliskiego czy raczej Środkowego Wschodu, a szczególnie Pakistanu, Afganistanu i Iranu. Wydał niedawno książkę zatytułowaną *Pakistan. A Hard Country*,

opartą na doświadczeniach, które zebrał w Pakistanie w latach 80. Jednak przez ostatnie lata pracował jako dziennikarz brytyjski na obszarze bliższym Polsce – w krajach byłego ZSRR i Europie Wschodniej. Jest autorem kilku książek o Rosji, Ukrainie, krajach bałtyckich i o konflikcie czeczeńskim.

„Milcząca mniejszość”

Ostatnia sesja festiwalu. Sala Balowa wypełniona po brzegi w czasie innych spotkań, teraz świeciła pustkami. Khaled Ahmed (jeden z najbardziej znanych pakistańskich publicystów) rozpoczął spotkanie od białego pola na pakistańskiej fladze. Zacytował słowa pierwszego premiera Pakistanu, Liaquata Aliego Khana, który powiedział, że symbolizuje ono niemuzułmańskich obywateli tego kraju. Ali Khan mówił te słowa w czasach, gdy Bangladesz był jeszcze częścią Pakistanu. I wtedy to była prawda. Mniejszości niemuzułmańskie stanowiły ok. 25% mieszkańców kraju. Teraz ich liczba zmniejszyła się tak, że na fladze została cienka niteczka. Ahmed dodał,



Hanif Kureishi 

że państwo pakistańskie stara się obecnie wykluczyć coraz więcej swoich obywateli. Wyraźny jest trend do wyłączenia ze wspólnoty muzulmańskiej szyitów i uznania ich za mniejszość. Państwo, które opiera się na ideologii, ma tendencję do wykluczania tych jego członków, którzy z jakichś powodów do ideologii nie pasują.

Intensyfikacja ideologiczna większości prowadzi do intensyfikacji ideologicznej mniejszości, do radykalizacji nastrojów. Widać to wyraźnie w coraz gorszych relacjach sunnicko-szyickich. Ale w najgorszej sytuacji w Pakistanie są obecnie wyznawcy Al Ahmadiyya oraz chrześcijanie. Prawo o bluźnierstwach jest wycelowane właśnie w tę ostatnią grupę.

Khaled Ahmed zwrócił też uwagę na to, że „mniejszość” to kwestia władzy, a nie liczb. W Pakistanie kobiety są również traktowane jak mniejszość, choć faktycznie stanowią niemal połowę jego obywateli (48%). Natomiast elity nie są traktowane jak mniejszość, choć liczbowo nią są.

Językoznawca Tariq Rehman rozwinął wypowiedź o mniejszościowych i większościowych językach, o niskim statusie pendżabskiego, używanego przez niemal połowę mieszkańców Pakistanu i o ciągłej dominacji angielskiego.

Stefan Weidner dodał, że w Pakistanie właściwie to mniejszość mówi, a większość milczy, a metafora udzielenia głosu tym, którzy go nie mają, jest chybiona, bo nie można mówić za kogoś, czy w czyimś imieniu. Można jedynie stworzyć przestrzeń, w której ktoś zostanie zachęcony do mówienia i zabierze głos. Media mogą ją stworzyć, choć w pakistańskich warunkach nie jest to łatwe.

Na koniec zaprotestowała jedna pani z publiczności, krzycząc: „Mówimy o mniejszościach, a nie zaprosiliście ani jednego przedstawiciela mniejszości! Gadacie o mniej-

szościowych językach, zamiast o palących problemach! Sesja jest na samym końcu programu. Dlaczego? Spójrzcie sami, ile osób na nią przyszło! O czym to świadczy? To właśnie świadczy o naszej postawie! To najważniejsza być może sesja całego festiwalu!”.

W odpowiedzi usłyszała, że niestety przedstawiciele mniejszości już boją się zabierać publicznie głos i nie odpowiadają na zaproszenia w takich panelach. Bo mogą za nie przyplącić życiem.

Kontrowersje językowe...

W miejscowej prasie wiele miejsca poświęca się festiwalowym kontrowersjom. Jedną z najczęściej podnoszonych kwestii było to, dlaczego językiem festiwalu był angielski i dlaczego nie było więcej sesji poświęconych literaturze języka urdu. Dla Biny Shah, jednej z festiwalowych gwiazd a zarazem organizaterek, żywe zainteresowanie tym tematem świadczy o pakistańskim kompleksie i strachu, że Pakistańczycy wciąż są poddanymi *British Raj*, skoro decydują się prowadzić festiwal w języku dawnych kolonialnych panów. Jej zdaniem warto uświadomić sobie, że festiwal stara się osiągnąć międzynarodową skalę i zain-



interesować uczestników z innych państw regionu, a także spoza niego, więc ograniczanie się do urdu zadowoliłoby potrzebę podkreślenia pakistańskiej tożsamości, ale zaszkodziłoby pakistańskim próbom dołączenia do światowej wspólnoty literackiej.

Organizatorzy rzeczywiście zadbali o spotkania poświęcone literaturze urdu. Były wśród nich rozmowy z autorami urdujęzycznymi, promocja książki Shaisty Ikramullah *Khoshish e Natamam*, czytanie poezji z Iftikharem Arifem (poetą i krytykiem literackim, który w ubiegłym roku wydał listy Feza) i Kishwarem Naheedem, panel o Saadacie Hasanie Manto i o klasyku pakistańskiej satyry Ibn-e-Safim (autorze bardzo poczytnej serii o Imranie), trzygodzinna wieczorna *mushaira* (pojedynek poetycki) z czterdziestoma uczestnikami. Pierwszego dnia zorganizowano też sesję o klasykach literatury urdujęzycznej, kierowaną przez Intezara Hussaina, o historii Pakistanu, o języku urdu jako narzędziu nauczania i rozmowę o literaturze urdu. Mohammed Hanif prowadził też spotkanie o językach regionalnych, w trakcie którego czytano piękną poezję w językach sindhi, paszto i seraiiki. Jak na dwudniowy festiwal, urdu było więc sporo.

... i nie tylko

W festiwalowym folderze czytamy, że festiwal jest „otwarty dla wszystkich i bezpłatny”. To rzeczywiście ogromne atuty. Jednak w prasie i mediach elektronicznych można

znaleźć sporo krytycznych głosów na temat jego lokalizacji. Hotel Carlton nie jest dostępny przeciętnemu mieszkańcowi Karaczi, bo transport publiczny (autobusy i riksze) nie dociera w te rejony ze względów bezpieczeństwa. A więc mogli tu dotrzeć tylko zamożniejsi. Organizatorzy bronią się mówiąc, że Carlton sprawdził się w poprzednich edycjach, jeśli chodzi o budżet i warunki. Festiwal wciąż nie jest duży i trudno byłoby poradzić sobie z trzydziestoma czy czterdziestoma tysiącami zwiedzających. Zagraniczni goście czują się znacznie lepiej w cichym zakątku poza miastem. Mogą pójść do pokoju, odetchnąć między sesjami. Carlton zapewnia im prywatność i bezpieczeństwo. Publiczność może swobodnie poruszać się po hotelowych terenach. Zatoka za hotelem, gdzie można pływać na łódkach i migoczący w falach morza księżyc w pełni były „uroczym tłem festiwalu”, jak wyraziła się Bina Shah.

Wspaniale, że taka przestrzeń wymiany myśli została stworzona w Karaczi. Jednak ja również często miałam wrażenie, że znajduję się miejscu odgrodzonym nie tylko fizycznie od tego Karaczi, w którym żyję na co dzień. Można je nazwać oazą, enklawą, czy jedną z wielu „baniek”, które tworzą społeczeństwa.

Maniza Naqvi, Nafisa Haji, Bina Shah 





PŁETWA REKINA I SYCZUAŃSKI PIEPRZ.

Stodko-kwaśny pamiętnik kulinarny z Chin

Klaudyna Hebda

„To, co jemy, jest zasadniczym elementem naszej jaźni i postrzegania samego siebie. Pielęgnowanie na obczyźnie naszych rodzimych tradycji i obyczajów nie jest błahostką, lecz głęboko zakorzenionym sposobem chronienia się przed nieznanym (...). Na nową kuchnię przestawiasz się na własne ryzyko. Jeśli to zrobisz, nieuchronnie naruszyś więzi z własną kulturą i naruszyś poczucie tożsamości. To ryzykowna sprawa. Jest to więc książka o niezwykłościach kuchni chińskiej. To także opowieść o młodej Brytyjce, która wyjechała do Chin i jadła wszystko, niekiedy z zaskakującymi konsekwencjami.” (s. 15-16.)

Owa młoda Brytyjka, Fuchsia Dunlop, zaczęła swoją przygodę z Chinami już w 1992 roku, kiedy jako studentka uzyskała stypendium naukowe w Syczuanie. Z czasem, bardziej niż uniwersyteckie zajęcia, ciekawiły ją specjały lokalnej kuchni – których początkowo kosztowała bez większej przyjemności. Jej codzienne wizyty na bazarach i w lokalnych knajpkach zaowocowały znajomością z Chińczykami, a w końcu, przystąpieniem Fushi (Fu-xia, tak była nazywana przez Chińczyków) do Syczuańskiej Akademii Sztuki Kulinarnej, gdzie zgłębiała tajniki kuchni chińskiej.

Fascynacja chińskim jedzeniem przyczyniła się do zmiany planów życiowych autorki – ze studentki, która nie wiedziała, co zamierza robić w swoim życiu (przyznam, że identyfikuję się z tym rozdziałem jej biografii), zmieniła się w specjalistkę od kuchni chińskiej. Przez kolejne lata podróżowała nieomal po całych Chinach kontynentalnych, jadała zarówno w chatkach wieśniaków, jak i na wystawnych, urzędowych bankietach, pisała felietony kulinarne dla zachodnich gazet oraz publikowała książki kucharskie. Zainteresowanie jedzeniem, znajomość języka oraz arkanów kuchni chińskiej, otworzyły jej wiele drzwi, przez które jako cudzoziemka nie mogłaby przejść. Po kilkunastu latach przyznaje: „sama już nie wiem, czy jestem biała czy żółta”.

Była także świadkiem modernizacji Chin – modernizacji, która nie zawsze podąża w dobrym kierunku. Opisuje małe herbaciarnie, zastępowane przez betonowe bloki (nazywa je architekturą kolonizacyjną Chińczyków Han – wszędzie gdzie się pojawiają, stawiają charakterystyczną, betonową zabudowę), zanieczyszczenie środowiska, pogarszające się bezpieczeństwo żywności (wynikające m.in. z braku regulacji dotyczących zastosowania pestycydów), czy problem namiętnego zjadania zagrożonych gatunków zwierząt (żółwi, węży, orangutanów) przez bogatych Chińczyków z aspiracjami.

Płetwa rekina i syczuański pieprz to podróż w głąb innej kultury, podróż w czasie i przestrzeni. Autorka ze swadą pisze o historii kuchni chińskiej,

zastanawia się, jak wyglądała kuchnia uczonych literatów, co odróżniało kuchnię chińską od kuchni barbarzyńskiej, jak wyglądała kuchnia czasów Mao (zresztą, o tej ostatniej napisała całą książkę kucharską: *Chinese Revolutionary Cookbook*). Dunlop przygląda się współczesnemu jedzeniu i znajduje w nim ślady historii Chin – ślady rewolucji kulturalnej, głodu i racjonowania żywności (stąd między innymi wykorzystywanie nieomal wszelkich jadalnych części zwierząt), ale także chwalebnej wielkości Cesarstwa, ślady czasów, kiedy kuchmistrze zapełniali dwory cesarzy i urzędników i tworzyli surrealistyczne, wyszukane potrawy. Píše także o tym, w jaki sposób jedzenie



wyznacza pochodzenie i status społeczny we współczesnych Chinach – zagląda na stoły klasy średniej, aspirujących biznesmenów, ale także do ubogich chat mniejszości narodowych.

Z książki dowiedzie się między innymi:

- co jadał ostatni cesarz Chin i jego konkubiny?
- dlaczego Chińczycy gardzą serem?
- dlaczego sałatki jedzą tylko barbarzyńcy?
- jak smakuje płetwa rekina i gdzie rośnie najlepszy syczuński pieprz?
- i wiele, wiele więcej.

Zdecydowanie jest to książka o czymś więcej, niż o jedzeniu. Dunlop przeplata osobiste wspomnienia z wiadomościami z dziedziny historii, geografii, socjologii. Jak na pamiętnik przystało, dokumentuje również swoje własne odczucia: pisze w jaki sposób z grzecznej, angielskiej dziewczynki (która jednak od dzieciństwa miała kontakt z różnymi smakami), zmieniła się w pół-Chinkę, płynnie władając językiem mandaryńskim, chińskim taksakiem oraz pałeczkami.

Podsumowując, *Płetwę rekina i syczuński pieprz* polecam każdemu, kto choć trochę interesuje się Dalekim Wschodem. Przyznam, że kuchnia chińska była mi zupełnie obca i kojarzyła się z rzeczami mniej przyjemnymi: podejrzanymi bazarami, glutaminianem sodu, chińskimi zupkami, fast foodami i małutkimi, chińskimi restauracjami, którym nie do końca można ufać. Po lekturze książki okazało się, że większość tych skojarzeń była słuszna: tak, Chińczycy zjedzą wszystko co się rusza, tak, nie przejmują się raczej humanitarnym ubojem, tak, z lubością stosują glutaminian sodu, tak, standardy żywności chińskiej nie są zbyt wysokie, nie, psina nie jest mięsem codziennym (co zresztą wiedziałam już wcześniej, warto jednak zaznaczyć, że w kulturze chińskiej nie ma rozróżnienia na zwierzęta domowe oraz przeznaczone do jedzenia). Jest to jednak tylko część bogatej mozaiki: równocześnie kuchnia chińska może zaoferować bogatą mozaikę smaków i faktur (które jednak trzeba oswoić np. stopień gumowatości), smażonych świeżych warzyw czy wyszukane sposoby podawania potraw.

Co więcej, lektura *Płetwy rekina* jest bardzo przyjemna i wciągająca – styl autorki jest lekki i przyjemny w odbiorze. Ważne też, że książkę napisała profesjonalistka, osoba, która rzeczywiście z niejednego pieca chleb (a raczej ryż) jadła. Po lekturze *Płetwy rekina* czuję, że mój kulinarny horyzont znacznie się poszerzył. Wam również gorąco polecam tę książkę.

Fuchsia Dunlop, *Płetwa rekina i syczuński pieprz. Słodko-kwaśny pamiętnik kulinarny z Chin.*

Tłumaczenie: Joanna Hryniewska

Wydawnictwo Świat Książki, Warszawa 2011

352 stron

Cena: 39,90zł.

Krótką uwagę dotyczącą przepisów – *Płetwa rekina i syczuński pieprz* nie jest książką kucharską. Owszem, znajdziemy w niej kilka przepisów – współczesne przepisy na aromatyczny ryż jak i wywodzące się z historii (np. na łapę niedźwiedzia), jednak większość z nich, zwłaszcza w warunkach polskich, jest trudna do odтворzenia. Wino z Shaoxingu, pasta ze sfermentowanej soi czy pikle *yacai* nie należą do składników łatwo dostępnych nad Wisłą.

Przygotowując smażony ryż z Yangzhou starałam się w miarę możliwości zachować oryginalny przepis Fuchsii Dunlop – tam, gdzie stosowałam zamienniki, podaję informacje o oryginalnych składnikach.

SMAŻONY RYŻ Z YANGZHOU

To dość szybka do przygotowania i sycąca potrawa. Składniki wystarczą na dwie duże porcje lub cztery mniejsze.

SKŁADNIKI:

- 200 g ugotowanego ryżu (użyłam ryżu jaśminowego)
- 2 suszone grzyby shiitake, moczone przez 30 minut w gorącej wodzie
- 10 dag surowej polędwiczki wieprzowej*
- kilka krewetek (obrane z pancerzyka)
- mała garść zielonej fasolki szparagowej (w oryginale: – 30 g mrożonego groszku lub soi)
- 30 g pędów bambusa (można kupić np. marynowane w puszcze, są też dostępne marynowane mieszanki warzyw orientalnych – warto szukać w działach z puszkowanymi warzywami lub żywnością orientalną)
- zielone części 3 dymek
- całe jajko
- 2 łyżeczki sherry (w oryginale wina z Shaoxingu)
- sól i pieprz
- 200 ml (niecała szklanka) bulionu z kurczaka
- olej do smażenia (u mnie klarowane masło, w oryginalnym przepisie – 5 łyżek oleju arachidowego)

Dodatkowo ryż przyprawiłam odrobiną sosu Worcestershire (taka namiastka sosu rybnego o korzennym smaku), syczuńskim pieprzem i płatkami chilli.

MOJE UWAGI TECHNICZNE:

Ugotowany ryż powinien być porządnie przestudzony – można go nawet włożyć wcześniej do lodówki. Gdybyśmy zaczęli podsmażać gorący ryż, konsystencja potrawy stanie się papkowata.

* W przepisie wykorzystałam tylko jeden rodzaj mięsa: wieprzowinę. W oryginalnym przepisie autorka proponuje urozmaicenie: po 3 dag (30g) polędwiczek wieprzowych, szynki lub salami oraz gotowanego kurczaka. Myślę, że bez szkody dla smaku, można wykorzystać różne rodzaje mięsa.

Wydaje mi się, że krewetki są tutaj bardzo ważne, dlatego ich nie pomijajcie. Można dodać małe krewetki koktajlowe (dostępne np. na działach rybnych w supermarketach).

Potrava oryginalnie powinna być przygotowywana w woku, ale w warunkach domowych porządnie rozgrzana patelnia z grubym dnem wystarczy.

PRZYGOTOWANIE:

Ryż gotujemy zgodnie z instrukcją producenta. Odsączamy i schładzamy.


Mięso, krewetki i pędy bambusa kroimy w drobną kosteczkę.

Jajko rozbijamy widelcem z solą i pieprzem, szatkujemy zielone części dymki.

W woku mocno rozgrzewamy 2 łyżki oleju do smażenia. Wrzucamy wieprzowinę i krewetki, smażymy krótko na dużym ogniu, aż wieprzowina nabierze różowej barwy. Dodajemy pędy bambusa i smażymy jeszcze przez chwilę. Kiedy wszystko zacznie skwierczeć, wlewamy alkohol, bulion i warzywa. Całość doprowadzamy do wrzenia. Próbuujemy, doprawiamy solą i odkładamy do miseczki.

Wok czyścimy (można opłukać i wysuszyć, można po prostu przetrzeć ręcznikiem papierowym). Wlewamy pozostały olej i mocno rozgrzewamy. Na rozgrzany olej wrzucamy rozbite jajko i szybko mieszamy – aż będzie mieć konsystencję jajecznicę. Do jajka dodajemy ryż i smażymy przez chwilę, mieszając wszystko łyżką, aby się nie przypaliło.



 *Smażony ryż z Yangzhou*

Kiedy ryż stanie się gorący i ładnie zapachnie, dodajemy odłożone składniki wraz z sosem. Porządnie mieszamy, dodajemy dymki i smażymy jeszcze przez minutę.

Próbujemy, doprawiamy solą i pieprzem. Ja całość przyprawiłam jeszcze sosem Worcestershire (który z kuchnią chińską nie ma nic wspólnego, ale ładnie podkreślił smak potrawy), pieprzem sycuańskim i szczyptą płatków chilli.

Podajemy gorące. Smacznego!



KWIATY ORIENTU

- POMOST MIĘDZY POLSKĄ A KOREĄ

z Marzeną Stefańską-Adams rozmawia Luiza Stachura

Czy mogą Państwo powiedzieć kilka słów o sobie – twórcach Kwiatów Orientu?

Wydawnictwo zostało założone w październiku 2007 roku przez dwie absolwentki koreanistyki Uniwersytetu Warszawskiego – Marzenę Stefańską-Adams i Edytę Matejko-Paszkowską. Miłość, pasja i fascynacja literaturą koreańską sprawiła, że postanowiłyśmy założyć jedyne tego rodzaju wydawnictwo w Polsce i promować zupełnie nieznaną literaturę. Pierwszą książkę – *Zaproszenie na kimchi* Leny Świadek – wydałyśmy na początku 2008 roku. Do tej pory ukazało się czternaście tytułów, a lista zapowiedzi ciągle rośnie. W ciągu pięciu lat wydałyśmy więcej książek na rynku polskim niż inne wydawnictwa, łącznie prawie dwadzieścia (odkąd Pol-

ska rozpoczęła współpracę z Koreą Południową). Jako pierwsi na rynku polskim wydaliśmy tłumaczone z języka koreańskiego bajki z Korei i jako pierwsi w historii zaprosiliśmy pisarzy z Korei Południowej.

W centrum zainteresowania Wydawnictwa jest literatura południowokoreańska – dlaczego twórczość literacka tylko z tego rejonu Dalekiego Wschodu, a nie również z Chin, Wietnamu czy Japonii?

Literatura koreańska jest niezwykle ciekawa. Obie zawsze chciałyśmy zajmować się przekładami literatury. Ja – literaturą piękną, a Edyta Matejko-Paszkowska – literaturą dziecięcą. Kilka lat temu nikt nie chciał wydawać literatury koreańskiej. Próbowaliśmy w innych

wydawnictwach, ale zawsze odprawiano nas z kwitkiem. Najlepszym sposobem więc na zrealizowanie marzeń było właśnie własne wydawnictwo. Chcemy zarażać innych naszą pasją.

Co koreańska literatura jest w stanie zaoferować polskiemu czytelnikowi?

Mówi się, że Polacy i Koreańczycy są bardzo do siebie podobni. Mamy podobną historię, pewne rzeczy odbieramy w ten sam niemalże sposób. Stąd chyba tak wiele firm koreańskich inwestuje w Polskę – dobrze się czują u nas. Wydaje mi się, że przede wszystkim rosnące zainteresowanie tą literaturą jest spowodowane jej odmiennością. Jest duża grupa Polaków, która, idąc do księgarni, szuka

oraz agencjami, jak np. KL Management. Mamy też stałe kontakty z pisarzami. Celem wydawnictwa jest promowanie tej nieznannej wciąż literatury wśród Polaków. Pięć lat ciężkiej pracy pokazało, że warto było to robić. Sprzedaż nasza ciągle wzrasta, a grono fanów Kwiatów Orientu powiększa się niemal każdego dnia.

Co sprawia największe problemy w tłumaczeniu koreańskich dzieł?

Język koreański jest niezwykle trudny. Onomatopeje, honoryfikacja i powtórzenia to tylko niektóre z problemów, które towarzyszą tłumaczom podczas przekładów. To specyficzny język. W żaden sposób nie jest zbliżony do języków europejskich. Dlatego praca tłumacza literatury koreańskiej jest o wiele trudniejsza niż z innych języków. Dla przykładu podam, że w Korei na kolor biały jest kilkanaście określeń. Czasami nie da się pewnych rzeczy przełożyć. Ciężka, ale niezwykle pasjonująca praca.

W bieżącej ofercie Wydawnictwa znajdują się dzieła współczesne, czy planują Państwo opublikować po polsku także książki należące do klasyki koreańskiej literatury?

Tak, planujemy i to może w przyszłym roku. Problem, z którym obecnie się borykamy, to brak tłumaczy literatury koreańskiej na polski. Jak wcześniej wspomniałam, to ciężka praca, a specjalistów w Polsce mamy niewielu. Przekład klasyki wiąże się z jeszcze trudniejszym wyzwaniem. Choć bardzo chcielibyśmy, to na razie nie mamy po prostu jak mu sprostać.

Czy zamierzają Państwo zaprezentować polskiemu czytelnikowi także inne gatunki literackie: poezję, dramaty, reportaże, eseje itp.?

W naszej ofercie już jest np. literatura dziecięca. Kiedyś na pewno pojawią się i inne gatunki. Ale to wszystko wiąże się z tym, co powiedziałam wcześniej – brak tłumaczy. Może za kilka lat będzie w Polsce więcej specjalistów. Rośnie też pokolenie młodych Koreańczyków żyjących czy nawet urodzonych w Polsce. Szczerze mówiąc, liczę też, że i wśród nich znajdą się pasjonaci literatury koreańskiej.

Czy w Korei popularne są powieści kryminalne? I czy kiedyś w Kwiatkach Orientu ukaże się – jako alternatywna dla skandynawskich książek – koreański kryminał?

Powieści kryminalne są mniej popularne w Korei. Ale jeżeli pojawi się coś ciekawego, co mogłoby konkurować ze skandynawskimi, na pewno się tym zainteresujemy.



Park historyczny Uam w Daejeon
Fot. Wikimedia Commons

tej „innej” literatury. Znudzeni jesteśmy tymi samymi nazwiskami na półkach w księgarniach. Jeżeli nagle pojawi się ktoś taki jak Kim Yong-ha, Shin Kyung-sook czy Oh Jeung-hui od razu wzbudza to ciekawość. A z naszego doświadczenia wynika, że jeśli ktoś zakocha się w jednej książce z Korei jednego autora, to ta miłość jest wielka i bardzo stała. I rośnie apetyt na poznanie innych pisarzy – w ten sposób właśnie grupa naszych fanów powiększa się. Jest nam niezwykle wierna.

Czym kierują się Państwo przy wyborze koreańskich utworów dla polskiego czytelnika?

Obie posiadamy wiedzę na temat kultury, historii, języka i literatury tego kraju. To na pewno pomaga. Znajomość języka daje możliwość selekcjonowania książek, które mogą się spodobać polskiemu czytelnikowi. Dzięki znajomości języka i kultury mogłyśmy rozwinąć doskonałą współpracę z różnymi instytucjami koreańskimi, jak np. Korea Literature Translation Institute

W Polsce dostępnych jest wiele mang, ale na przykład *manhwa* (koreańskie komiksy) już nie – czy planują Państwo rozszerzyć ofertę wydawniczą o komiksy?

Tak i to w bardzo szybkim czasie. Mamy już kilka *manhwa* na oku, którymi jesteśmy bardzo zainteresowani. Myślę, że oferta naszego wydawnictwa wzbogaci się o *manhwa* już wkrótce.

W koreańskiej literaturze, która została opublikowana w Polsce, niezwykle często pojawiają się aluzje do historii Korei, zwłaszcza do stosunków koreańsko-japońskich. Czy to ogólny trend we współczesnej koreańskiej prozie?

Chyba każdy kraj ma jakiegoś sąsiada, z którym w przeszłości łączyły go złe stosunki, wojna czy inne problemy. My, Polacy, też mamy podobną sytuację. To chyba dość naturalne. I nie powiedziałabym, że to jest trend, który dominuje w literaturze koreańskiej. Korea była cały czas – podobnie zresztą jak Polska – pod zaborami: albo z jednej strony, albo z drugiej. Wojna koreańska skończyła się w 1953 roku, a więc to wciąż żywy i aktualny temat. Dużo się o tym mówi.

Jakie są obecnie trendy w literaturze koreańskiej? O czym się pisze? Co się najlepiej sprzedaje?

Dużo się ciągle pisze o wojnie koreańskiej, rodzinie, a ostatnio dość często o problemach młodych Koreańczyków wkraczających w dorosłe życie.

Ostatnim hitem w Korei, i nie tylko, była książka Shin Kyung-sook *Zaopiekuj się moją mamą*. U nas w Polsce również cieszy się ogromnym powodzeniem. To książka o relacjach rodzinnych, ale jej uniwersalność pozwoliła osiągnąć światowy sukces. Niektóre książki w Korei, choć doskonałe, nie osiągają takich sukcesów poza granicami kraju ze względu na zbyt duże przywiązanie do tradycji, kultury itp. Są dla nas często niezrozumiałe.

Równoległe z przekładami literatury pięknej pojawiają się nakładem Kwiatów Orientu publikacje naukowe i popularno-naukowe dotyczące głównie Korei – skąd taki pomysł?

Koreański taniec z mieczami
Fot. Wikimedia Commons 



Liczba Polaków mieszkających w Korei rośnie, a i Polaków zainteresowanych badaniem różnych zjawisk w Korei też. Stąd pomysł, żeby mogli oni przelać swoją wiedzę i doświadczenie na kartki, a my możemy to pokazać czytelnikom. Muszę przyznać, że książki pisane przez Polaków o Korei cieszą się ogromnym zainteresowaniem. A to z kolei przyciąga nowych czytelników samej literaturze koreańskiej. To działa w obie strony.

Jakie są Państwa ulubione koreańskie utwory? Których koreańskich pisarzy cenią Państwo najbardziej i dlaczego?

Na to pytanie nie ma jednej odpowiedzi. Dla mnie – wydawcy – każdy pisarz jest cenny. Osobiście mam swoich ulubionych, ale jako wydawca nie. Do każdej wydanej książki też podchodzę inaczej. Ale każda z całą pewnością jest równie ważna co poprzednia.

W ramach promocji kultury koreańskiej Kwiaty Orientu uczestniczą w wielu wydarzeniach, między innymi spotkali się Państwo ze studentami polonistyki w Korei. Czy Koreańczycy czytają polską literaturę?

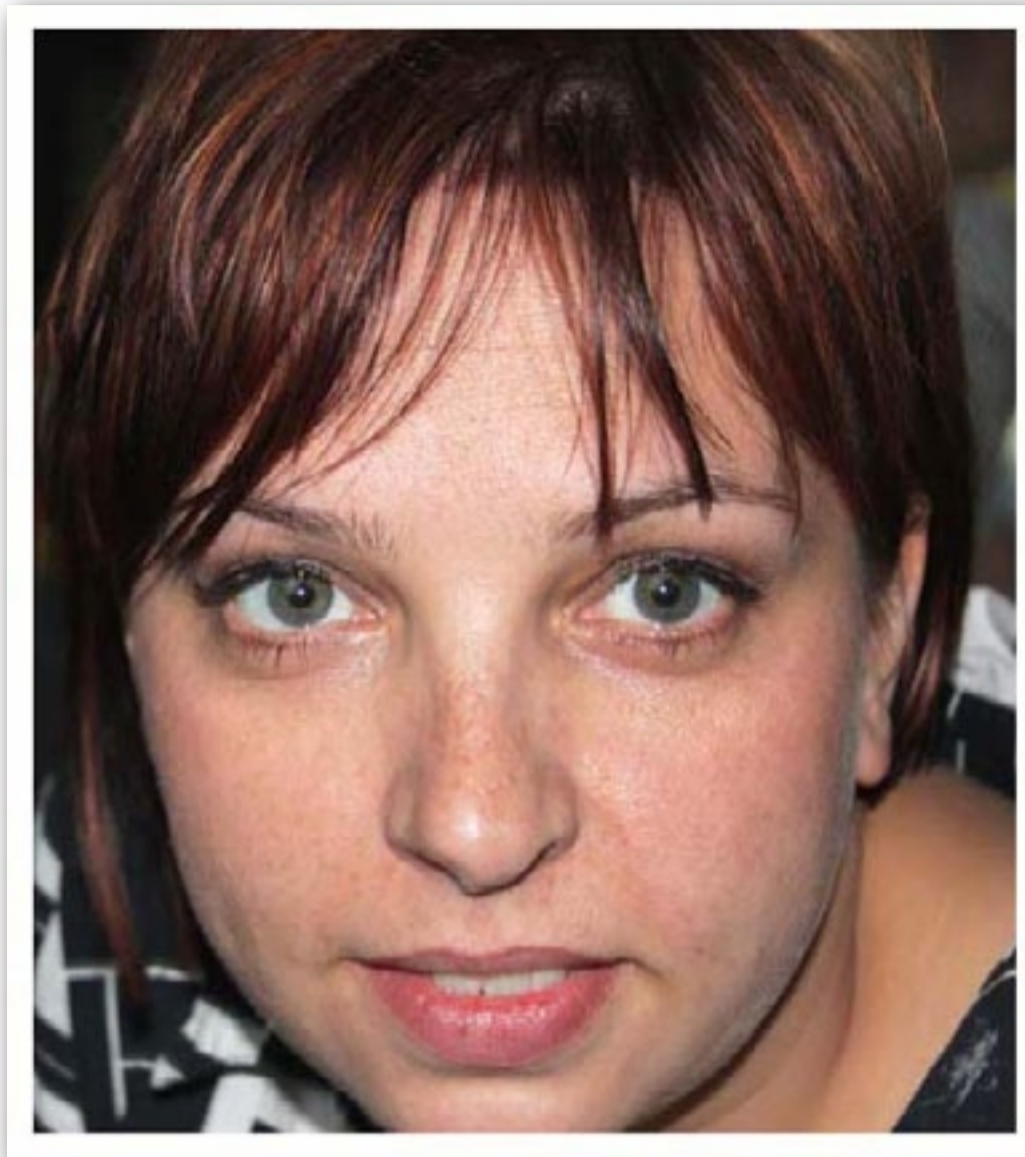
Wydawnictwo Kwiaty Orientu od początku swego istnienia aktywnie uczestniczy w popularyzowaniu kultury i literatury koreańskiej, organizując różnego rodzaju warsztaty i szkolenia – dla dzieci i dorosłych. W naszej ofercie znajdują się szkolenia międzykulturowe, językowe, warsztaty literacko-plastyczne.

Szczególnie wdzięcznym odbiorcą warsztatów są najmłodszy czytelnicy. Oglądamy z nimi i czytamy koreańskie książki obrazkowe. Opowiadamy o technikach wykorzystywanych do ich powstania, o symbolice koreańskiej. Wykonujemy witraże i zakładki do ulubionej książki z motywami z Kraju Spokojnego Poranka. Jednocześnie bawimy się ciekawostkami – dzieci dowiadują się dlaczego w windach koreańskich nie ma cyfry 4 oraz co najchętniej na drugie śniadanie jadają ich koreańscy rówieśnicy. Zdarza się, że gramy w koreańskiego „chińczyka” oraz w „kropki”, a na koniec robimy pamiątkowe zdjęcia w koreańskich strojach ludowych.

Dla starszych dzieci organizujemy bardzo ciekawe warsztaty: „Od tłumacza do wydawcy”. Opowiadamy na nich o różnych technikach translatorskich, o pracy z tekstem, edycji, o tworzeniu książki „od kuchni”, śledzimy jej drogę z biurka pisarza na biurko czytelnika.

Ponadto, w oparciu o najnowszą książkę wydawnictwa Kwiaty Orientu – *O kurze, która opuściła podwórze* Hwang Sun-mi – pokazujemy, jak „żyjąc z marzeniami można wyięknąć, nabrać majestatu i wspaniałości”.

Staramy się zachęcać młodych ludzi do determinacji w dążeniu do wolności, uczyć ich odwagi i godności w byciu innymi, gotowości do wspierania innych. Wspólnie z patronami naszych książek organizujemy także konkursy literackie, w których nagrodami są oczywiście książki.



Marzena Stefańska-Adams 

Koreańczycy czytają dużo i polską literaturę znają dość dobrze. Znani są Szyborska, Miłosz, Sienkiewicz, Reymont. Dużo książek Olgi Tokarczuk zostało przetłumaczonych na koreański.

Pewien znany pisarz Hwang Sok-yong powiedział mi kiedyś, że uwielbia opowiadania Marka Hłaski. Niezwykle się zdziwiłam.

Dziękuję bardzo za rozmowę.



WŚRÓD

KOREAŃSKICH KSIĄŻEK

W Polsce stosunkowo najmniej znana z literatur dalekowschodnich jest koreańska literatura piękna. O ile wczesne publikacje (z lat 50. XX wieku) były doraźnymi przekładami, zazwyczaj z języka rosyjskiego, o tyle od lat 90. XX stulecia do połowy pierwszej dekady XXI wieku na polskim rynku wydawniczym, zwłaszcza za sprawą Akademickiego Wydawnictwa Dialog, ukazało się sporo interesujących tłumaczeń z języka koreańskiego. Zintensyfikowane działania promocyjne literatury pięknej z Kraju Porannej Rosy nastąpiły dopiero w drugiej dekadzie XXI stulecia, za sprawą wydawnictwa Kwiaty Orientu, które całkowicie skupia się na publikacjach ściśle związanych z tym rejonem świata.

Luiza Stachura

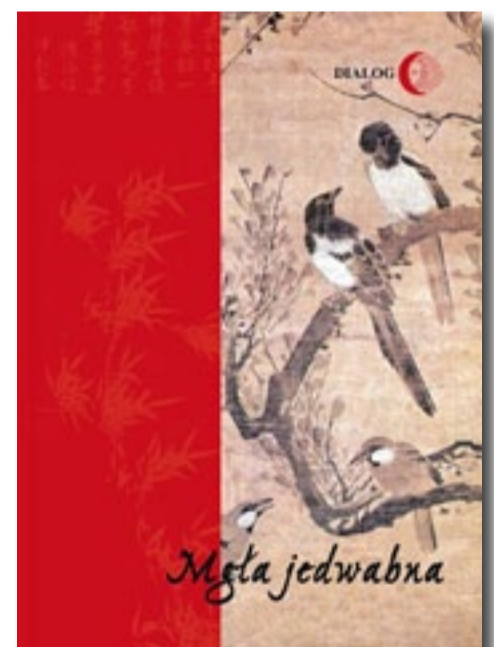
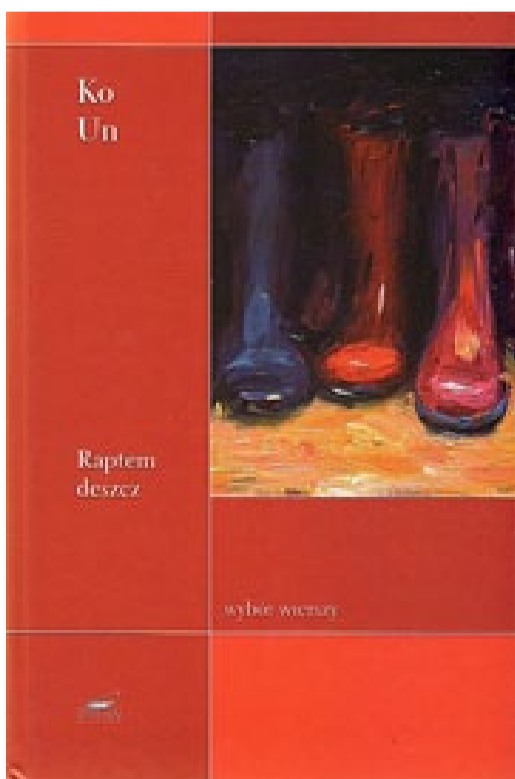
Spośród dotychczas wydanych dzieł warto zwrócić szczególną uwagę na poezję. W 2008 roku wydawnictwo Znak zaprezentowało wybór wierszy Ko Una, *Raptem deszcz* (artykuł o tym tomiku można przeczytać w 2. numerze „Archipelagu”). Koreański poeta w lirycznych obrazkach prowadzi odbiorców w głąb języka poetyckiego, podejmując zagadnienie pustki języka, ale pustki pojmowanej po buddyjsku, czyli swego rodzaju bez-substancjalności, braku stałej i niezmiennej formy. Każdy wiersz

Ko to (poza)językowe ulotne wydarzenie, dotyczące narodzin, wzrostu, życia, przemijania i śmierci. Dlatego też w niektórych utworach słowa poetyckie piętrzą się i rozrastają, nadbudowują kolejne słowne obrazy, niekiedy ocierając się o osobliwe pustosłowie (bowiem pustka jest słowem i słowo jest pustką). Niejednokrotnie wskazuje poeta na momenty zamierania języka, płynnego przejścia w milczenie, przez które

„prześwituje” pustka języka-język pustki.

Znacznie łatwiejsza w recepcji jest poezja zgromadzona w pięknie wydanym zbiorze *Mgła jedwabna* (Wydawnictwo Akademickie Dialog, 2005). Mała antologia poświęcona została twórczości trzech dwudziestowiecznych poetów – Kim Soweolowi, Yun Dong-ju, Seo Jeong-ju. Subtelna twórczość poetycka Kim Soweola przywodzi na myśl szkice piórkiem, akwarelowe obrazy stanu duszy. Utwory Yun Dong-ju są introspektywnymi podrózkami, samotną i pełną wyrzeczeń peregrynacją po przestrzeni. Natomiast w centrum zainteresowania Seo Jeong-ju pozostaje człowiek oraz jego pragnienie połączenia się z naturą.

Wśród opowiadań na uwagę zasługują *Barwy miłości. Antologia współczesnych opowiadań koreańskich* (Wydawnictwo Akademickie Dialog, 1995), prezentujące dwanaście utworów sześciorga pisarzy, których powie-



Oh Jeonghui

PTAK



오정희 새

ści bądź miniantologie krótkich form poetyckich również wydano w Polsce (na przykład Han Mal-suk). Opowiadania zamieszczone w *Barwach miłości* pełne są ukrytych znaczeń; silnie zanurzone zarówno w koreańskiej tradycji, obyczajowości, przesadach, ale i historii, jakkolwiek hermetyczne, otwarte na interpretacje polskiego czytelnika, stanowią ciekawą egzemplifikację dwudziestowiecznej koreańskiej prozy.

Warto sięgnąć także po opowiadania jednego z ciekawszych współczesnych pisarzy – Kim Young-ha. *Wampir i inne opowiadania* (Kwiaty Orientu, 2009) to mikroobrazy rzeczywistości zdominowanej przez postęp techniczny, gdzie lęki człowieka zepchnięte zostały na margines.

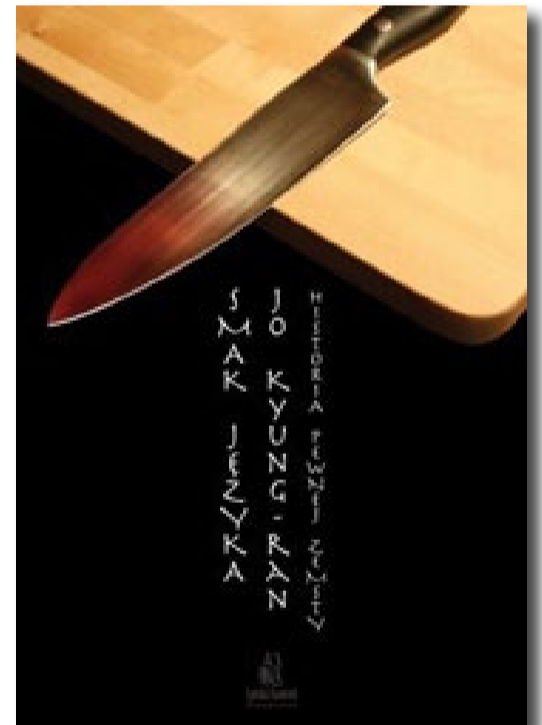
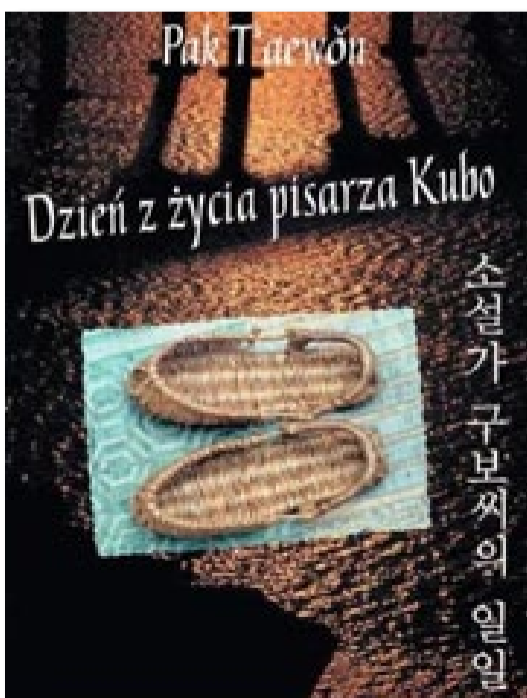
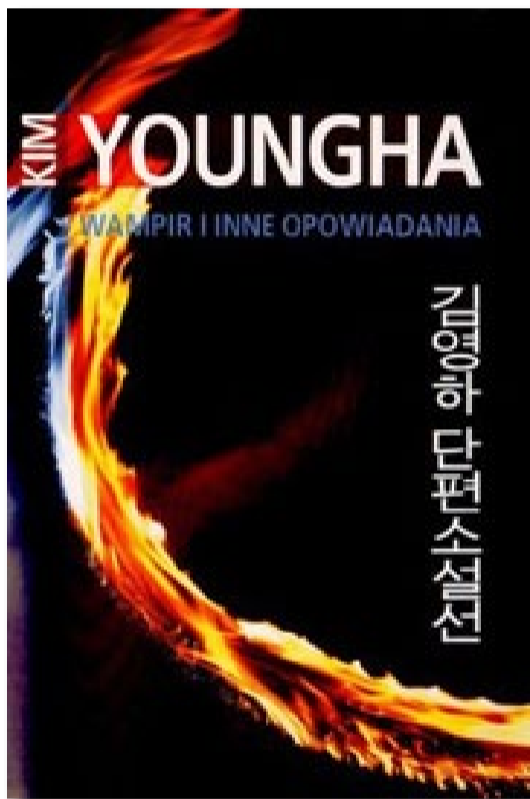
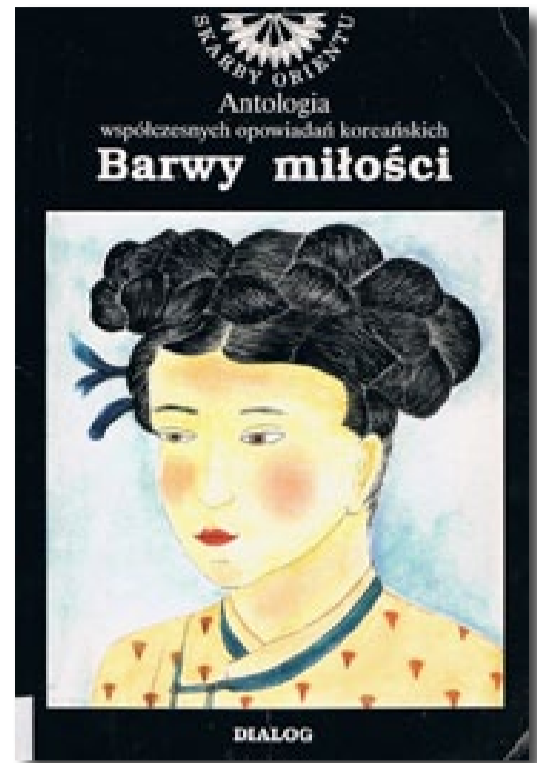
W opowiadaniach Kima jednak margines staje się centrum. Przestrzeń zewnętrzna (jasna, dynamiczna, dążąca do „cybernetycznej” perfekcyjności) skonstrastowana jest z przestrzenią wewnętrzną (najczęściej mrocznym i statycznym introspektywnym światem bohaterów). Nieustanne napięcie między tym, co zewnętrzne, a tym, co wewnątrz, prowadzi do ukonstytuowania niejednoznacznego,

absurdalnego, momentami surrealistycznego (mikro)świata.

Bez wątplenia jedną z najlepszych i najsmakowitszych powieści wydanych w Polsce jest *Smak języka* Jo Kyung-ran (Łyński Kamień, 2009). To historia tyleż o kobiecie porzuconej, ile o człowieku zdradzonym i przez to pozbawionym tożsamości oraz właściwości. Wielkie, wzniosłe uczucie, jakim była i miała być miłość, przyniosło ból, zamiast obiecane szczęście. Zemsta musi być wyrafinowana. Psychodeliczne danie zaprezentowane przez koreańską autorkę pozostawia niezatarty i niezapomniany smak (języka).

Trudny świat dzieci współczesności – opuszczonych i naznaczonych piętnem – prezentuje Oh Jeong-hui w powieści *Ptak* (Kwiaty Orientu, 2010). Permanentna gra pozorów dorosłych przyczynia się do zniszczenia dziecięcej wrażliwości i ufności – dzieci uczą się teatralnych gestów, by tylko przypodobać się dorosłym. Gorzki obraz dzisiejszego świata.

Na koniec o jednej z literackich perełek. *Dzień z życia pisarza Kubo* Pak T'aewõna (Kwiaty Orientu, 2008) to zapis wędrówki młodego człowieka ulicami Seulu (w czasach, gdy Korea była pod okupacją Japonii). Podróż rozpoczyna się o około dwunastej w południe i trwa aż do późnych godziny nocnych. Młody pisarz, z notesem i laską w rękę, spacerując po mieście, spotyka różne osoby: pisarzy, intelektualistów, przyjaciół, znajomych, ludzi prostych, hostessy, dzieci. Wchodzi do kawiarni, jedzie tramwajem, przygląda się przestrzeni, rozmyśla i wspomina spotkanie z dziewczyną, którą niegdyś kochał. Każde spotkanie staje się asumptem do wznowienia rozmyślań nad poszukiwaniem szczęścia i jego istotą. Eteryczna proza.





BIBLIOTEKA TO MÓJ ŚWIAT

Z Katarzyną Hałaburą, londyńską bibliotekarką, znaną wielu czytelnikom z prowadzonego przez nią bloga *Ex libris* (dabarai.blox.pl), rozmawia Kamila Kunda.

Czy zawsze chciałaś pracować wśród książek?

Nie zawsze, ale od mniej więcej końca liceum wiedziałam, co chciałabym robić w życiu. Gdy byłam w przedszkolu miałam inne pomysły na życie: chciałam zostać nauczycielką albo kelnerką. Ale w liceum praca bibliotekarki zaczęła kusić najbardziej. Poszłam na polonistykę, właściwie dlatego, że nic innego ciekawego u nas w Szczecinie nie było, a na polonistyce była specjalizacja bibliotekarska. Nie mogłam wyjechać na studia do innego miasta, więc wybrałam ten kierunek.

Pracowałaś w Polsce w bibliotece?

Tak, przez dwa i pół roku – to była moja jedyna praca w Polsce. Z różnych względów skończyłam studia z opóźnieniem, popychana przez moją mamę i promotorkę, więc wszyscy obronili się we wrześniu, a ja dopiero w styczniu. W lutym zrobiłam sobie miesiąc laby, w marcu zaczęłam roznosić moje CV po różnych bibliotekach. Pierwszego dnia dotarłam do trzech, w tym jednej biblioteki publicznej. Następnego dnia dostałam telefon, że dyrektor chciałby się ze mną zobaczyć. Miesiąc potem miał się zwolnić

etat, więc zaproponowano mi przejęcie go. Podpisałam umowę i to była jedyna praca, jaką miałam w Polsce. Po dwóch i pół latach wyjechałam do Londynu. Przez trzy miesiące pracowałam w sklepie, a potem już konsekwentnie w bibliotece.

A jak długo pracujesz w bibliotece w Anglii?

Od 2005 roku, czyli już siedem lat.

Jakie zmiany widzisz w pracy bibliotekarza w Polsce i Anglii?


To są dwa zupełnie inne światy! Teraz jak przyjeżdżam do Polski i odwiedzam moją koleżankę w bibliotece, zastanawiam się: Matko Boska, jak można tak pracować?! Niektóre kwestie są oczywiście te same, ale większość jest zupełnie inna. Mam to szczęście, że w Londynie zawsze pracowałam w jednej z lepszych gmin: w Wandsworth nie tylko płacą lepiej, ale mają lepiej zorganizowany system niż w niektórych gminach. Ten system różni się w zależności od gminy i budżetu, jaki przeznaczony jest na biblioteki. Na niższych szczeblach tego nie widać, ale na wyższych bardzo. Niedawno Londyn doświadczył cięć budżetowych, w Wandsworth nie były one na szczęście tak odczuwalne jak w innych gminach – gdzie indziej niektórzy stracili pracę, albo ograniczono im etat do połowy etatu, niektóre biblioteki zamknięto, a u nas tylko jedną bibliotekę przekształcono w jakby inne ciało, bo nawet trudno określić, w jaki sposób ona funkcjonuje. Jedną czy dwie osoby wysła-

no u nas na dobrowolne wcześniejsze emerytury, ale nikt nie stracił pracy. Przeszliśmy przez ciężki okres właściwie bezboleśnie.

Różnica między Polską a Anglią jest przede wszystkim w wielkości księgozbioru. Wypowiem się tylko o bibliotekach szczecińskich, nie wiem, jak jest w innych miastach. W Szczecinie mamy biblioteki miejskie, na które składa się 20 czy 30 malutkich filii, porozsiewanych po całym mieście i okolicach. One są niekiedy tak małe, że bywa, że zajmują tylko jeden, niewielki pokój i pracuje tam jedna osoba! Tutaj najmniejsza biblioteka w Wandsworth jest wielkości jednego lub dwóch sporych sklepów. Zawsze jest podział na bibliotekę dziecięcą i dla dorosłych i pracuje w nich o wiele więcej osób niż w bibliotekach szczecińskich. W mojej szczecińskiej filii biblioteki, która należała do największych i którą odwiedzało najwięcej osób, przychodziło 50-70 osób dziennie. Tutaj moją bibliotekę każdego dnia odwiedza minimum 500 osób. Oczywiście nie wszyscy wypożyczają książki: część osób przychodzi skorzystać z komputera, poczytać, popisać, popracować, odrobić lekcje.

To ciekawe co mówisz, bo ja z dzieciństwa i czasów nastoletnich, gdy chętnie korzystałam z biblioteki, w ogóle nie pamiętam miejsc do pracy w bibliotekach...

U nas w Szczecinie też było ich bardzo mało. Mieliśmy coś,

 Regał z książkami sci-fi i w obcych językach w Finsbury Library
Fot. Kamila Kunda



co się szumnie nazywało czytelnią, a co składało się z raptem sześciu stolików. Były dwa (!) komputery. Ale kiedy zaczęłam pracować w bibliotece w Polsce, jeszcze nie była ona skomputeryzowana, dopiero w 2003 czy 2004 skomputeryzowano system – zaczął się program katalogowania retrospekcyjnego i teraz wszystkie biblioteki są skomputeryzowane. Wcześniej, pewnie większość z nas pamięta, były fiszki, kartki, to było piękne! A z drugiej strony – matko, ile czasu się marnowało!

Poza tym zupełnie inaczej traktuje się książki w polskich bibliotekach. Tam książka jest trzymana cały czas, nawet jeżeli nikt jej nie czyta, a egzemplarz niemal się rozlatuje.



Wandsworth Town Library
Fot. Wikimedia Commons



Nawet jeśli książki nikt od lat nie wypożycza, ale jest w jakiś sposób wartościowa, to też się ją trzyma. Największy „chłam” również się zatrzymuje – książki nie wolno się pozbyć! W Anglii jest większy, że tak powiem, przemiał. Książki trzyma się po to, by wychodziły z bibliotek, by ludzie je czytali. Nie znam statystyk polskich, nigdy się tym nie zajmowałam, ale tutaj w Londynie mamy taki system, że książ-

ki muszą mieć pewien procent wypożyczeń, by dowieść, że dział jest dobrze prowadzony, że nie posiadamy zbyt mało lub zbyt dużo pozycji z danej dyscypliny. Ok. 25% księgozbioru powinno być cały czas wypożyczone. Jeżeli ludzie biorą więcej to znaczy, że jest za mało książek z tej dziedziny i trzeba ich dokupić, jeżeli jest mniej – wtedy trzeba część wycofać, bo nie ma na nie zainteresowania.

A jeśli chodzi o różnice w kwestii pracy?

Wszystko jest inne. Stanowiska pracy są zupełnie inne. W Polsce pracowałam jako „bibliotekarka” i było nas pięć w filii – moja szefowa, kierowniczką biblioteki, i cztery inne osoby zatrudnione na cały etat. Kierowniczką chodziła na spotkania do centrali, podporządkowana była pod dział metodyczny i panie metodyczki miały chodzić po filiach i sprawdzać, czy wszystko działa jak należy (w praktyce rzadko się pojawiały). One też odpowiadały za to, które książki wycofać – zawsze spotykałyśmy się z reakcją: „To zostawcie!”. Gdzie to wszystko zostawiać? Dostawałyśmy nowe książki, starych nie ubywało, a biblioteka się nie rozrastała!

Tutaj, gdy brakuje miejsca, robi się obchód – sprawdza się wszystkie książki: co usunąć, co sprzedać, co oddać, by zrobić miejsce na nowe książki. Nie wyrzucamy książek, organizujemy, jak większość bibliotek angielskich, wyprzedaże. Teraz mamy tzw. Dynamic Stock wraz z programem smartsm – to system, który pozwala określić, w jakich filiach jakie książki są chętniej wypożyczane, gdzie chętniej dane książki „chodzą” i by się przydały, więc robimy rotację między poszczególnymi filiami. Poza tym ustawia się określoną liczbę wypożyczeń na książkę, np. 60 wypożyczeń, a potem sprawdza się, czy pozycja jest jeszcze w dobrym stanie – jeżeli nie, system podpowiada, w której filii jest ta sama książka, mająca mniejszą liczbę wypożyczeń. Jeśli tam nie jest chętnie czytana, a u nas znajdują się czytelnicy na nią, wówczas pozbywamy się egzemplarza w złym stanie, a bierzemy ten lepszy z innej filii.

Wszystko jest skomputeryzowane, wszystkie statystyki dostajemy na bieżąco. Co miesiąc dostajemy powiadomienia, np. że w danej filii w danym dziale taki a taki procent książek został wypożyczony. Co miesiąc dostajemy informacje, ile w danej filii było wypożyczających – mamy też porównanie z poprzednimi miesiącami i np. z tym samym miesiącem z poprzedniego roku.

Jak zmieniła się Twoja praca, odkąd zostałam londyńską bibliotekarką?

Biblioteki londyńskie były skomputeryzowane od wielu lat, ale miesiąc przed rozpoczęciem pracy przeze mnie wprowadzono program operacyjny Galaxy. Musiałam się wdobyć w naukę tego programu, do dziś go zresztą stosujemy. Smartsm posiadamy zaś dopiero od roku. Wcześniej szef biblioteki albo sam robił przegląd wszystkich książek w bibliotece albo wyznaczał do tego zadania kogoś. Trzeba było dosłownie wyciągać książki z półki i patrzeć na stempelki, potwornie czasochłonna praca.

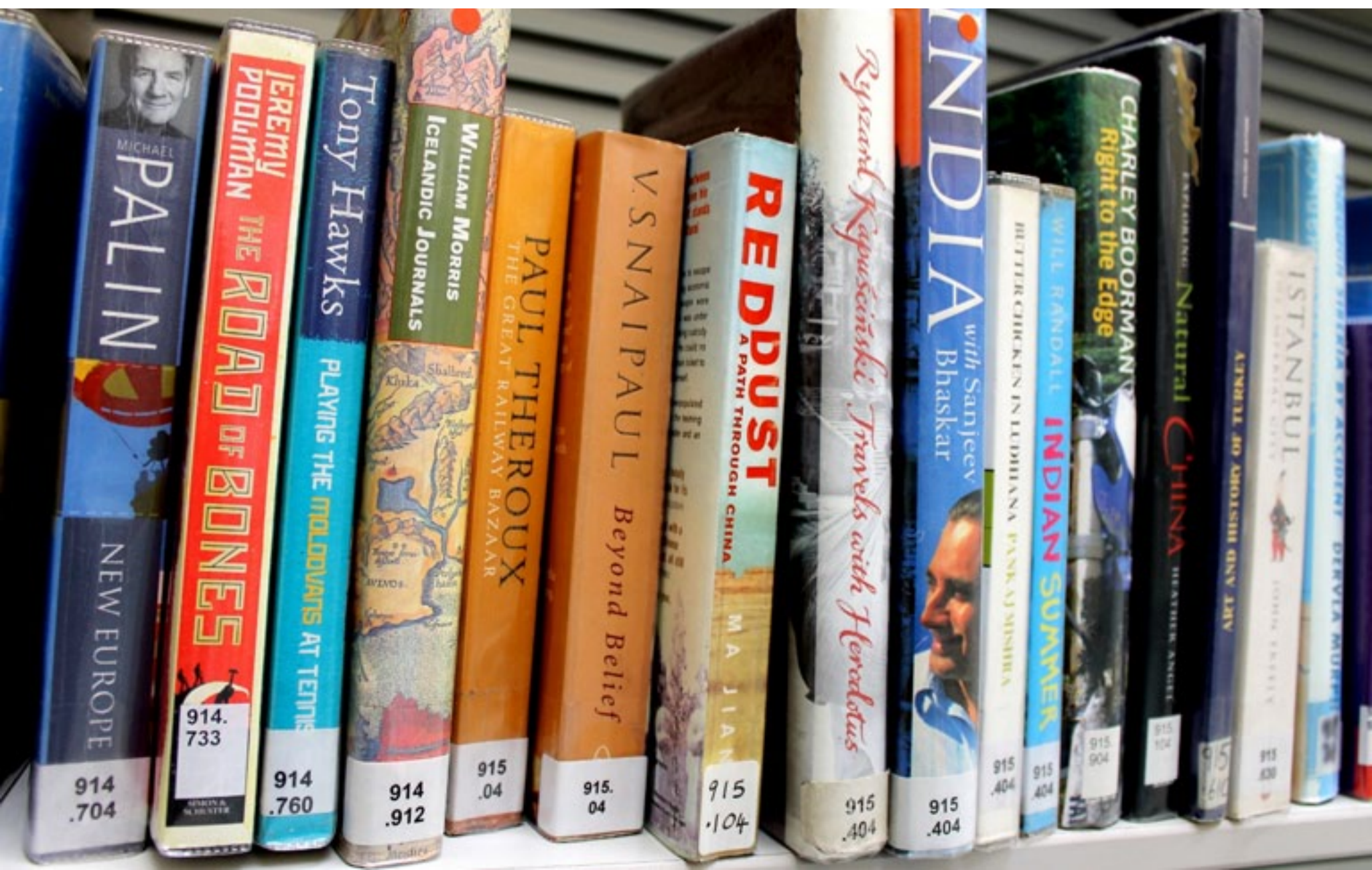
Czy jest coś takiego u Ciebie jak typowy dzień pracy?

Nie! Kiedyś miałam typowe dni, kiedyś pracowałam w jednej filii, teraz w dwóch. Zajmuję się czymś zupełnie innym niż jeszcze rok temu. Rok temu byłam m.in. bibliotekarką dziecięcą – kupowałam książki, oprowadzałam klasy, prowadziłam zajęcia dla dzieci. Raz w tygodniu były (nadal są) tzw. Story Time czy Baby Rhyme Time (dla dzieci w wieku 0-2 lat), czyli czytaliśmy razem książki, bawiliśmy się z dziećmi, śpiewaliśmy wierszyki. Kupowałam też książki dla dorosłych, decydowałam o wycofywaniu starych, organizowałam różne zajęcia, ponieważ przez 9 miesięcy byłam także kierowniczką jednej filii, gdy moja szefowa poszła na długi urlop, a potem przeszła na emeryturę. Dużo było administracji.

Teraz pracuję na jednym stanowisku, ale w dwóch filiach i doskwiera mi nieco nadmiar administracji. Nie stoję już przy „ladzie” tak często jak bym chciała, mam za wysokie stanowisko w hierarchii, by zajmować się takimi sprawami. W angielskich bibliotekach jest jasna ścieżka kariery, obejmująca wiele szczebli. Na samym dole są Library Assistants, zwykli bibliotekarze – którzy asystują wypożyczającym, wypożyczają i przyjmują książki, układają książki na półkach; wyżej są Senior Library Assistants, starsi pomocnicy biblioteczni – oni mają te same obowiązki co ci niżsi statusem bibliotekarze, ale zajmują się też stroną finansową biblioteki, robią codzienne zestawienia i rozliczenia bankowe, bo przecież przez biblioteki przewija się codziennie dużo pieniędzy. W typowej bibliotece jest jeszcze bibliotekarz dziecięcy, który jest też zastępcą kierownika oraz oczywiście kierownik. W większej filii jest jeszcze Principal Librarian (dawniej to był Branch Librarian, czyli kierownik filii, ale zmieniono nazwę, bo niektórzy zarządzają dwiema filiami jednocześnie). Jeszcze wyżej jest Deputy Librarian – to jest mój tytuł; potem Senior Librarian – taka osoba zarządza specjalnymi programami, np. rozwojem czytelnictwa w bibliotece, prowadzi grupy czytelnicze i różne projekty edukacyjne. W praktyce podział obowiązków jest jeszcze dość płynny, zmiany nastąpiły niedawno i różnie te obowiązki są dzielone.



Książki w Finsbury Library
Fot. Kamila Kunda



W jaki sposób Twoje biblioteki zachęcają dzieci, młodzież i dorosłych do czytania?

W tych filiach, w których pracuję (ale podobnie jest w innych) mamy trzy dyskusyjne kluby książkowe w jednej i dwa w drugiej, które cieszą się dużym zainteresowaniem. Jeden klub jest dla starszych czytelników, w wieku emerytalnym, dwa ogólne dla wszystkich (jeden organizowany jest w soboty) i jeden dla nastolatków. Każdy klub prowadzi inna osoba. Ten dla nastolatków jest naprawdę oblegany. Prowadzi go idealna do tego osoba, która sama jest młoda i bardzo to lubi, poza tym czyta podobne książki co ta młodzież, z którą się spotyka, co szczególnie ważne, bo najtrudniej jest zainteresować czytaniem nastolatków.

Kto decyduje, jakie książki będą omawiane?

Przed wszystkim sami czytelnicy. W końcu to jest najważniejsze, to oni mają chcieć przeczytać daną książkę. Gdyby kto inny decydował o lekturach, oni przestaliby przychodzić. Bibliotekarz może co najwyżej coś podsunąć, zasugerować. Czasem podpowiadamy, jeśli uważamy, że książka się spodoba. Ale to zależy od prowadzącego, niektórzy nie lubią się wtrącać w decyzje czytelników. Są jednak charyzmatyczne osoby, np. nasza bibliotekarka dziecięca, która od lat poleca dzieciom dobre książki i ma renomę osoby, która zna się świetnie na literaturze dziecięcej, więc jej zdanie się liczy. Niektórzy bibliotekarze zajmują się tylko organizowaniem spotkań, czasem prowadzą dyskusję, ale nie są tak naprawdę jej członkami.

Jakie zajęcia oferujecie dorosłym?

Poza klubami książkowymi prowadzimy kursy komputerowe, przede wszystkim podstawowe, dla ludzi, którzy nigdy z komputerami nie mieli do czynienia, choć są filie, które prowadzą też zaawansowane zajęcia.

Uważamy, że najważniejsze jest zwabienie czytelnika do biblioteki. Jak już znajdzie się tam, to może coś przy okazji wypożyczyć.

Organizujemy różne odczyty, spotkania z autorami, ale to zależy od konkretnej filii, bo to w ich gestii leży wymyślanie imprez. W Putney dzieje się dużo, to jest świetna filia, która usytuowana jest w centrum społeczności, można powiedzieć, że w centrum miasta. Gorzej mają filie położone na uboczu, wśród bloków mieszkalnych i w niezbyt ciekawych okolicach. Oczywiście trzeba wspomnieć o wydarzeniach, które mają miejsce we wszystkich bibliotekach w kraju, jak np. Black History Month – celebrowanie wpływu afrykańskiej diaspory na kulturę brytyjską i upamiętnienie ważnych postaci i wydarzeń dla afrykańskich miesz-

kańców Wielkiej Brytanii. Z tej okazji wszystkie biblioteki urządzają mnóstwo imprez: spotkania, quizy, wystawy itp. Pomaga, jeśli biblioteka ma dodatkową salę, więc zakres wydarzeń uwarunkowany jest też dostępnym miejscem. Zawsze dużo jest wystaw i imprez okolicznościowych, np. z okazji Narodowego Dnia Bibliotek 4 lutego, w tym roku z okazji dwusetnej rocznicy urodzin Dickensa: odczyty pracowników naukowych – specjalistów od autora (na cztery różne tematy), wystawy, ekspozycje książek itp.

Czy biblioteki współpracują ze sobą?

To zależy. Moja gmina należy do tzw. London Libraries Consortium. Polega to na tym, że różne gminy (w tej chwili 15) współpracują ze sobą, mają wspólny katalog i moż-

na wypożyczać książki na tę samą kartę biblioteczną we wszystkich bibliotekach w tych gminach, czyli w sumie ma się do dyspozycji kilkadziesiąt bibliotek. Z jednej strony jest to wspaniałe, ale z drugiej... nie wiem, czy powinnam o tym wspominać, ale nie-

które gminy, które dysponują mniejszym budżetem potrafią „zerować” na tych z większym budżetem. Plusem jest fakt, że możemy wspólnie kupować książki u jednego dostawcy, który oferuje nam ogromne zniżki.

Jaki budżet Twoja biblioteka przeznacza miesięcznie na książki?

To jest trudne do określenia, bo on się ciągle zmienia. Moje biblioteki mają zdrowy budżet – jako jedne z niewielu bibliotek w Anglii w mojej gminie mamy nie tylko centralny budżet, ale każda filia ma dodatkowo własny.

Jak często kupujecie książki? Kto decyduje o zakupach?

Cały czas! Zakupy robi się niemal codziennie, z reguły raz w tygodniu przychodzi kilka pudeł. W tej chwili wciąż zmienia się system zakupów. Budżetem centralnym dysponuje jedna osoba – ona kupuje książki do wszystkich filii, np. nowości, a także powieści kryminalne i podróżnicze. Uznano, że te książki i tak wszyscy kupią te same, więc łatwiej, by jedna osoba się tym zajmowała. Oprócz tego każda filia dla dorosłych i osobno dla dzieci ma swój budżet.

Z jakimi problemami borykają się londyńskie biblioteki?

Największym są cięcia budżetowe w ostatnich latach, spowodowane kryzysem ekonomicznym. Jest mniej książek i mniej pracowników, a więcej obowiązków. Obserwuje się spadek wypożyczeń i spadek liczby odwiedzających. Niektóre biblioteki musiały ograniczyć godziny otwarcia – woleliśmy zrobić to niż zwolnić ludzi.

*Jakich wypożyczających lubisz?
TAKICH, Z KTÓRYMI MOŻNA
DŁUGO O KSIĄŻKACH ROZMAWIAĆ
i którym można dużo książek wcisnąć.*

Pamiętam, że parę miesięcy temu brałam udział w ankiecie na temat pomysłów na zaoszczędzenie pieniędzy w dziesięciu bibliotekach w gminie, w której mieszkam. Dostałam jasne pomysły: zamknięcie jednej biblioteki, ograniczenie godzin otwarcia, zwolnienie pracowników, zatrudnienie wolontariuszy itp. wraz z dokładnymi danymi, ile pieniędzy która opcja pozwoli zaoszczędzić; musiałam wyrazić własne zdanie, jak moim zdaniem biblioteki powinny zaoszczędzić. Niedawno dostałam wyniki tej ankiety, podjęto kroki zgodnie z decyzjami użytkowników. Podoba mi się, że zdanie samych użytkowników bibliotek jest tak brane pod uwagę.

Owszem, my też przeprowadzaliśmy takie badania, ale tak naprawdę to radni gminy decydują ostatecznie, jakie kroki podjąć, by zaoszczędzić po przedstawieniu im planu oszczędności, sporządzonego przez kierowników bibliotek gminnych. To są bardzo polityczne decyzje...

To co jednak najbardziej stresuje to ciągłe zmiany, jakie zachodzą w systemie pracy. Wciąż podejmowane są nowe działania, restrukturyzacje, outsourcing – robimy przetarg na zewnętrzne prowadzenie biblioteki (zarządzanie stroną budżetową, utrzymanie stanu budynku, księgowość itp.). To wszystko dość męczy, niektórzy ludzie się boją zmian...

Co jest najprzyjemniejszym elementem Twojej pracy? I tym najmniej przyjemnym?

Najprzyjemniejsza jest praca w otoczeniu książek i kontakt z ludźmi, którzy przychodzą je wypożyczać. Fakt, że mogę rozmawiać o książkach, że mam je wokół siebie, że je ciągle kupuję, że wybieram je dla bibliotek, że polecam wypożyczającym dobre pozycje. Ogromną satysfakcję sprawia mi, gdy ktoś przychodzi i mówi: „Boże, ta książka, którą mi poleciłaś – fan-tas-ty-czna!” A ja wtedy zacieram ręce. Uwielbiam to! Podobnie było, gdy pracowałam z dziećmi. Przychodziło takie dziecko

i mówiło: „Jaka fajna była ta książka, którą mi poleciłaś! Masz więcej takich?”. Pamiętam, że rozdawałam wtedy całą klasykę, której nikt z początku nie czytał, a potem przychodziły dziewczynki zauroczone *Anią z Zielonego Wzgórza*, *Polyanną*, *Czarodziejskim ogrodem*, *Małą księżniczką* – Puffin miał takie ładne wydania tej serii. To jest strasznie przyjemne. Uwielbiam moją pracę, uwielbiam pracować z książkami i zawsze jest wielka radość, jeśli



Whitechapel Public Library
Fot. Wikimedia Commons

komuś coś wyszukasz, doradzisz dobrze, albo ktoś wyjdzie z dziesięcioma książkami, bo mu coś poradziłaś. Czasem przychodzi taka zagubiona, nieśmiała osóbka i rozgląda się spłoszona. Wtedy podchodzę i pytam, czy w czymś pomóc i zaczyna się lawina pytań: co lubisz czytać, co ostatnio czytałaś, czego nie lubisz itp. I zaraz rośnie stosik na stoliku: „To jest dobre, to jest dobre, to czytałam – świetne, to czytała moja mama i chwaliła sobie, tej książki nie czytałam, ale słyszałam, że znakomita. Nie musisz wszystkich brać, ale przyjrzyj sobie. Więcej? Tu jest cała seria, jakby ci się jedna spodobała, to zawsze jest więcej”.

Najmniej przyjemnym elementem jest to, że mam coraz mniej czasu na taką właśnie interakcję z czytelnikami. Moja praca polega w dużej mierze na zarządzaniu, administracji, biurokracji. Z reguły przynajmniej dwa razy dziennie „wyjdę do ludzi”. Cieszy mnie, że zostałam wybrana do komisji zajmującej się programami promującymi czytelnictwo – dokładnie nie wiem jeszcze, na czym to będzie polegać, ale już się cieszę. Narzekam na biurokrację, ale prawda jest taka, że kocham swoją pracę i nie zamieniłabym jej na inną.

Jakich wypożyczających najbardziej lubisz?

Takich, z którymi można długo o książkach rozmawiać, takich, którym można dużo książek wcisnąć, takich, którzy będą zainteresowani tym, co ja mam do powiedzenia na temat książek i takich, którzy dadzą się do pewnych pozycji przekonać. Nie lubię – nie to, żebym się spotykała z czymś takim – typów, którzy na wstępie mówią: „Ja tylko czytam to i nic więcej” i są zamknięci na wszystko inne. Lubię takich otwartych, pytających mnie: „Co ty czytałaś ostatnio?”.

Często się tacy zdarzają?

Czasami. Trzeba taką osobę wypatrzyć, zagadać ją, no i trzeba mieć czas, by poświęcić jej dużo czasu, to nie może być pogawędka w biegu. W starej filii, w której pracowałam, miałam takich zaprzyjaźnionych wręcz czytelników, którzy przychodzili regularnie, np. raz w tygodniu i rozmawiałam z nimi tak zwyczajnie o książkach, o tym, co czytali. Robiłam im listy tytułów, które polecam, zamawiałam je dla nich, zbierałam także od nich polecanki i dzięki nim sama poznałam wielu dobrych autorów.

Lubię też, jak ludzie zadają mi trudne pytania, jak stawiają wyzwania, np. nie pamiętają tytułu, ani autora, ale mniej więcej treść, a ja akurat wiem, co to za książka! Bardzo to lubię.

Spotkałaś się z jakimiś dziwakami czy bardzo nieprzyjemnymi typami?

Oj tak, nieprzyjemni zawsze się trafiają. Bywają ludzie, którzy traktują bibliotekarza fatalnie, ale to nie jest takie częste. Niektórzy buntują się przeciwko opłatom za przetrzymanie książki... Co do anegdotek, to bardzo lubię opowiadać taką: Przyszła pewna kobieta do biblioteki i mówi: „Nie wiem, czy mi pani pomoże, ale szukam takiej książki. Nie pamiętam tytułu ani autora. Była o córce rabina, która miała różne przygody – ciążę, narkotyki, a potem się nawróciła, wyszła za rabina i została sama ortodoksyjną Żydówką”. Cud sprawił, że miesiąc wcześniej przyjechałam tę książkę do biblioteki i musiałam sobie tylko przypomnieć tytuł. Znalazłam jej tę książkę, *Rabbi's Daughter*. Nie pamiętam autorki, ale

pamiętam okładkę. Pracując w bibliotece zresztą kojarzę mnóstwo okładek książek, których ani autorów ani tytułów nie pamiętam, ale pamiętam okładki.

Panuje powszechna opinia, że bibliotekarze są mólami książkowymi. Czy znasz też takich, którzy nie czytają?

Niestety znam. Muszę przyznać, że są to głównie mężczyźni. Większość jednak osób, z którymi pracowałam, lubi czytać. Mogą nie mieć tego samego gustu literackiego, co ja, mogą nie czytać tak straszliwie dużo jak ja, ale czytają i dysponują wiedzą o książkach. Bardzo mnie denerwuje, gdy spotyka się osoby w bibliotekach czy księgarniach, które ewidentnie nie mają pojęcia o książkach, nie są na bieżąco z nowościami. Ale to rzadkość. Ci bibliotekarze, którzy nie czytają, znają się za to trochę na filmach czy muzyce, a to też ważne, bo przecież mamy też płyty CD i filmy na DVD i trzeba też mieć kogoś, kto będzie mógł je polecić odwiedzającym. Właściwie doświadczenie podpowiada, jakie książki spodobają się danej osobie, nie trzeba wcale samemu dużo czytać.

Na koniec mam pytanie odnośnie Twojego gustu czytelniczego: jakie są Twoje upodobania literackie?

Czytam bardzo dużo, szybko i dość nieuważnie. Czytam bardzo różne rzeczy i upodobania mi się zmieniają. Był taki czas, że czytałam prawie tylko fantasy i science-fiction. Potem czytałam głównie romanse. Teraz odchodzę od tego zupełnie i staram się czytać bardziej różnorodną literaturę. Lubię wszystko: dobre powieści, dobre romanse z sensem, powieści kryminalne. Odkąd prowadzę bloga, zauważyłam, że zwracam większą uwagę na tekst, ale i tak odnoszę wrażenie, że czasem książki wchłaniam i szybko je „wydalam”, by zrobić miejsce na następne. Ale są takie książki, które tylko tak można czytać... Odkąd jednak zaczęłam też czytać blogi książkowe, to zdałam sobie sprawę, że jest tyyyyyle ciekawych książek i nie można się ograniczać do jednego gatunku czy klimatu. Zimą miałam nastrój na same „ogrzewające” książki, ale to trwało krótko. Bardzo lubię sagi wielopokoleniowe, lubię książki z tajemnicą, coś w stylu Kate Morton (tam jest tajemnica sprzed trzech pokoleń), ciągnie mnie do domów i ogrodów. Uwielbiam kryminały! Ale też nie mogę ich czytać bez przerwy, bo to nudne, muszę przeplatać czym innym. Niespecjalnie lubię amerykańskie kryminały, wolę angielskie i skandynawskie. Czytałam też chińskie, z serii napisanej przez Qiu Zhaolonga – podobało mi się w jego powieściach, że było tam mało kryminału, a dużo tła społecznego.

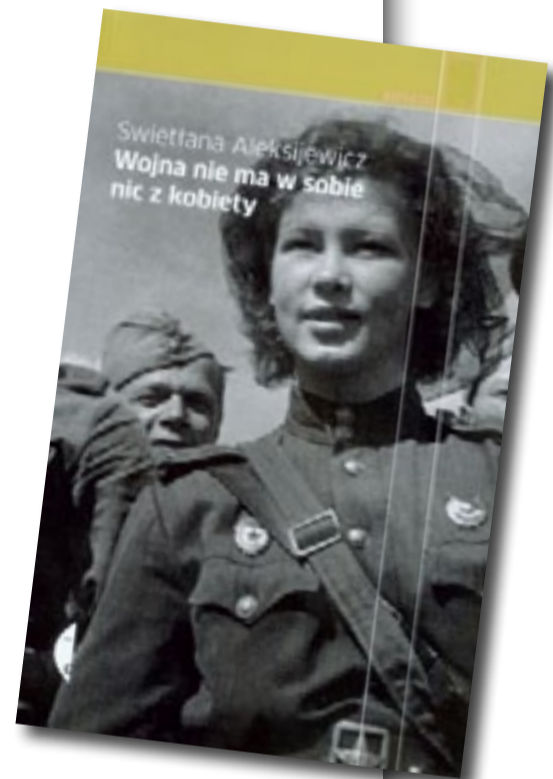
Życzę Ci jak najwięcej ciekawych książek i spotkań z czytelnikami i jak najmniej uciążliwej biurokracji i dziękuję bardzo za rozmowę.

NAGRODY LITERACKIE NA PRZEŁOMIE ZIMY I WIOSNY

Justyna Kowalczyk, Karolina Kunda-Kuwieckij

NAGRODA LITERACKA EUROPY ŚRODKOWEJ – ANGELUS

Nagroda Literacka Angelus przyznawana jest raz w roku pisarzom pochodzącym z Europy Środkowej, którzy w swoich książkach poruszają tematy ważne dla współczesnego człowieka oraz przekazują wiedzę o innych kulturach. W 2011 roku laureatką nagrody została Swietłana Aleksijewicz za książkę *Wojna nie ma w sobie nic z kobiety*. W zeszłym roku pisarka została wyróżniona za tę książkę Nagrodą im. Ryszarda Kapuścińskiego w kategorii Najlepszy Reportaż Literacki. Aleksijewicz pochodzi z Białorusi, jest dziennikarką, a także autorką licznych sztuk teatralnych oraz filmów. Wymieniana jest również wśród osób nominowanych do Nagrody Nobla w dziedzinie literatury. Pisarka słynie z niepowtarzalnego stylu, określanego mianem „opowieści głosów” a jej książki zostały dotychczas przetłumaczone na dwadzieścia dwa języki. *Wojna nie ma w sobie nic z kobiety* przedstawia historie kobiet, które brały udział w II wojnie światowej, walcząc przeciw hitlerowskiemu Niemcom. Autorka pokazuje wojnę oczami kobiet, które poświęciły swoje życie wojnie, były gotowe zarówno zabijać jak i ginąć. W sześcioletniej historii Nagrody Angelus po raz pierwszy laureatką tego wyróżnienia została kobieta.



FAULKNER AWARD FOR FICTION

Nagroda Faulknera przyznawana jest najlepszej amerykańskiej prozatorskiej książce opublikowanej w danym roku kalendarzowym. Patronem nagrody jest pisarz amerykański, noblista William Faulkner. W tym roku laureatką została Julie Otsuka za książkę *The Buddha in the Attic*. Julie Otsuka studiowała sztukę i przez wiele lat zajmowała się malarstwem. Wyróżniona Nagrodą Faulknera książka *The Buddha in the Attic* jest jej drugą publikacją. Książka opowiada o grupie kobiet pochodzących z Japonii, określanych jako „panny młode z obrazka”, które przybywają do Ameryki na początku XX wieku. Po przybyciu na miejsce zostają żonami mężczyzn, których znają jedynie z fotografii. Julie Otsuka stworzyła przepiękną opowieść o tożsamości i lojalności, pytając jednocześnie o to, co znaczy być Amerykaninem w czasach tak wielkiej niepewności.



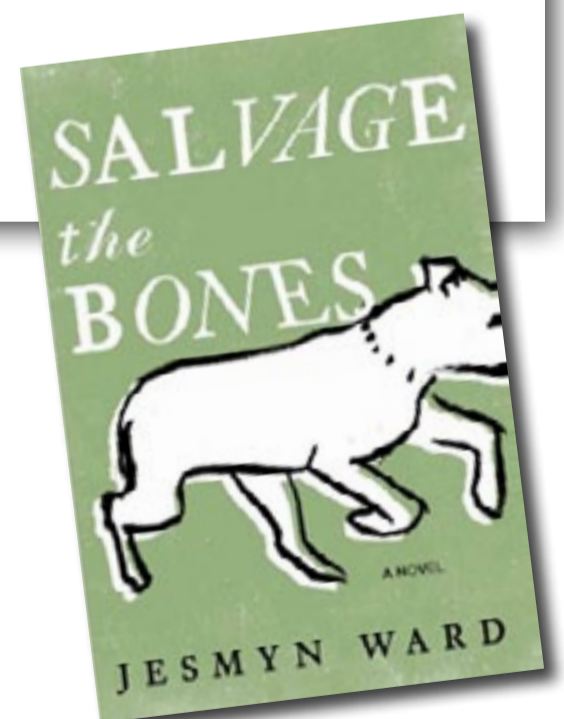
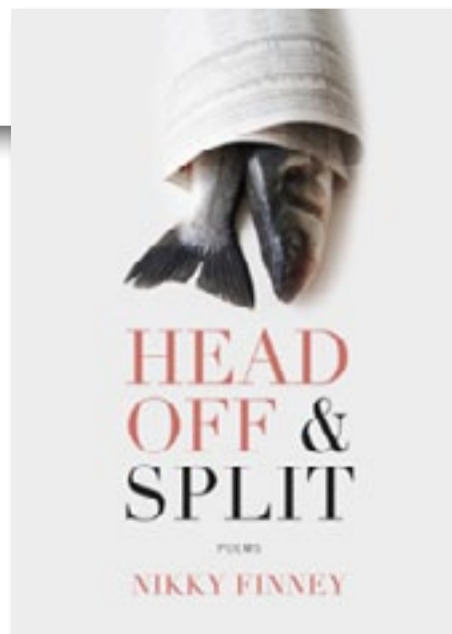
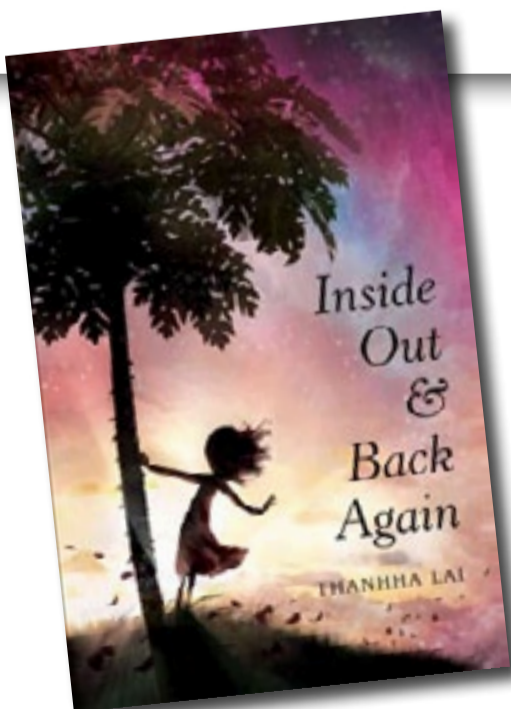
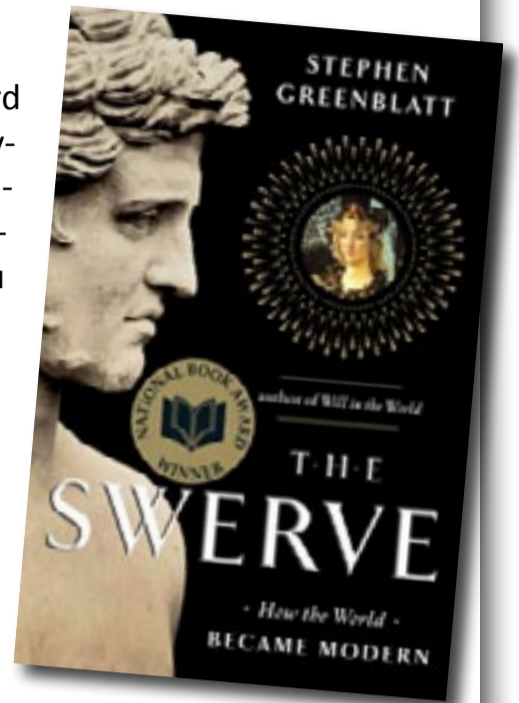
THE NATIONAL BOOK AWARD

W 2011 roku laureatką nagrody w kategorii Literatura Piękna została Jesmyn Ward za książkę *Salvage the Bones*. Jesmyn Ward jest amerykańską pisarką, obecnie wykładowcą na Uniwersytecie w południowej Alabamie. *Salvage the Bones* jest jej drugą powieścią. Książka opowiada historię rodzinnej miłości oraz społecznej wspólnoty, swoim zasięgiem obejmując dziesięć lat poprzedzających nadejście Huraganu Katrina, dzień samego zdarzenia, a także dzień po przejściu huraganu nad Stanami Zjednoczonymi.

W kategorii Literatura Faktu zwycięzcą został Stephen Greenblatt za książkę *The Swerve: How the World Became Modern*. Stephen Greenblatt jest amerykańskim krytykiem oraz teoretykiem literatury, a także najwybitniejszym, zaraz obok Harolda Blooma, amerykańskim interpretatorem twórczości Szekspira. W najnowszej książce Stephen Greenblatt przedstawił historię manuskryptu, poematu Lukrecjusza *O naturze wszechrzeczy*, który zaniedbany przez tysiące lat, zmienił bieg ludzkości i wpłynął na świat, jaki obecnie znamy.

W kategorii Poezja nagroda powędrowała w ręce Nikky Finney za tomik *Head Off & Split*. Nikky Finney to amerykańska poetka, obecnie prowadząca zajęcia na Uniwersytecie w Kentucky. Twórczość Finney charakteryzuje zaangażowanie w sprawy społeczne, dążenie do sprawiedliwości społecznej a także chęć zachowania spuścizny kulturowej. Wiersze znajdujące się w *Head Off & Split* nawiązują do symbolicznych wydarzeń z życia Afroamerykanów, od walki o równe prawa aktywistki Parks, po działania byłej sekretarz stanu Condolezzy Rice.

W kategorii Literatura Młodzieżowa zwyciężczynią została Thanhha Lai za książkę *Inside Out and Back Again*. Thanhha Lai jest debiutantką w dziedzinie książek dla dzieci i młodzieży. Nagrodzona *Inside Out and Back Again* oparta jest na faktach z życia samej autorki. Zawarta w niej historia pokazuje pierwszy rok życia w Stanach Zjednoczonych Thanhhi Lai, kiedy jako dziesięcioletnia dziewczynka w chwili przybycia do kraju, nie знаła języka angielskiego i nie potrafiła w nim rozmawiać.



INTERNATIONAL PRIZE FOR ARABIC FICTION

International Prize for Arabic Fiction (IPAF) jest coroczną nagrodą literacką realizowaną dzięki wsparciu Fundacji Booker Prize z Londynu oraz finansowaną przez niezależną Emirates Foundation z Abu Dhabi. Nagroda przyznawana jest od 2007 roku i służy odznaczeniu najwybitniejszych pisarzy arabskich oraz zachęceniu szerszego grona czytelników do sięgania po wciąż niedocenianą literaturę z krajów arabskich. Tegorocznym laureatem International Prize for Arabic Fiction został Libańczyk Rabee Jaber z książką *The Druze of Belgrade*. Książka Jabera jest powieścią historyczną, a jej bohaterem jest mężczyzna, którego życie zostaje wywrócone do góry nogami poprzez okrutne zrządzenie losu. Powieść rozpoczyna się w Bejrucie w 1860 roku, tuż po zakończeniu wojny domowej na Górze Liban.



Hanna Yacoub, chrześcijański sprzedawca jaj, posiada fałszywą tożsamość wojownika ze społeczności Druzów, która zmusiła go do życia na wygnaniu wraz z grupą innych wojowników druzyjskich. *The Druze of Belgrade* ma charakter dwunastoletniej kroniki pozbawionej wolności mężczyzny i niewypowiedzianych cierpień doświadczanych przez niego w Belgradzie oraz innych czę-

ściach Bałkanów. Jury doceniło powieść za przejmujący portret kruchej kondycji ludzkiej w odniesieniu do minionej historii, a także wyróżniło Jabera za jego talent do prowadzenia niezwykle poruszającej i czułej narracji.

PASZPORT „POLITYKI” KATEGORIA LITERATURA

Paszport Polityki, nagroda przyznawana przez tygodnik „Polityka”, wręczana jest od 1993 roku w sześciu kategoriach: Literatura, Film, Teatr, Muzyka poważna, Plastyka i Estrada, a od roku 2002 również w kategorii Kreator kultury za osiągnięcia w dziedzinie kultury. W kategorii Literatura w 2011 roku Paszportem Polityki uhonorowano Mikołaja Łozińskiego za książkę *Książka*. Mikołaj Łoziński jest polskim pisarzem i fotografikiem, ma na swoim koncie kilka wystaw, a także publikacje krótkich opowiadań. Nagrodzona *Książka* porusza temat rodziny, opowiadając o niej poprzez przedmioty codziennego użytku. Historia łączy w sobie wątki biograficzne samego autora, jak i elementy literackiej fikcji, co tłumaczy sam autor: „*Książka* nie jest dosłowną historią mojej rodziny. Ale jest nią inspirowana. Myślę, że każdy już na starcie przychodzi na świat z bagażem doświadczeń rodziców i dziadków. A potem z czasem dochodzą jeszcze jego własne przeżycia. I robi się coraz ciężiej. Dlatego postanowiłem zajrzeć do tych bagaży – zobaczyć, co jest w środku i czy jest coś, czego mogę się pozbyć, żeby było mi lżej iść dalej”. Książka Mikołaja Łozińskiego została doceniona także za oryginalną formę, w jakiej opowiedziana jest cała historia.



MAN ASIAN LITERARY PRIZE

Man Asian Literary Prize jest najważniejszą nagrodą przyznawaną od 2007 roku pisarzom azjatyckim za powieść napisaną w języku angielskim bądź przetłumaczoną na ten język. Nagroda przyznawana jest przez Man Group plc, koncern świadczący usługi w zakresie zarządzania inwestycjami – ten sam, który funduje Nagrodę Man Booker Prize. W tym roku po raz pierwszy nagrodę wręczono kobiecie i po raz pierwszy uhonorowano pisarza koreańskiego. Wyróżnienie otrzymała Shin Kyung-sook za powieść *Please Look After Mom*, która w Polsce ukazała się pod tytułem *Zaopiekuj się moją mamą*. Shin Kyung-sook mieszka w Korei Południowej i na swoim koncie ma już wiele literackich wyróżnień. Nagrodzona w tym roku książka to poruszająca i uniwersalna historia o rodzinie; o tym co tak naprawdę wiemy, a także czego zwykle nie wiemy o swoich bliskich. Historia opowiedziana została z perspektywy córki, syna, męża i samej matki, która pewnego dnia znika na stacji metra. Tłem rozgrywających się wydarzeń są przemiany społeczne i gospodarcze jakie zaszły w Korei Południowej w ciągu ostatnich kilkunastu lat.



RYSZARD KAPUŚCIŃSKI

– DUCHOWYM PATRONEM WARSZAWSKICH TARGÓW KSIĄŻKI

Tegoroczne Warszawskie Targi Książki były o tyle bardziej wyjątkowe od zeszłorocznych, że ich program wzbogacono szeregiem spotkań z wybitnymi finalistami Nagrody im. Ryszarda Kapuścińskiego za reportaż literacki. To już trzecia edycja Nagrody, a jej laureatem został w tym roku Liao Yiwu, autor książki *Prowadzący umarłych. Opowieści prawdziwe. Chiny z perspektywy nizin społecznych*.

Karolina Kunda-Kuwieckij

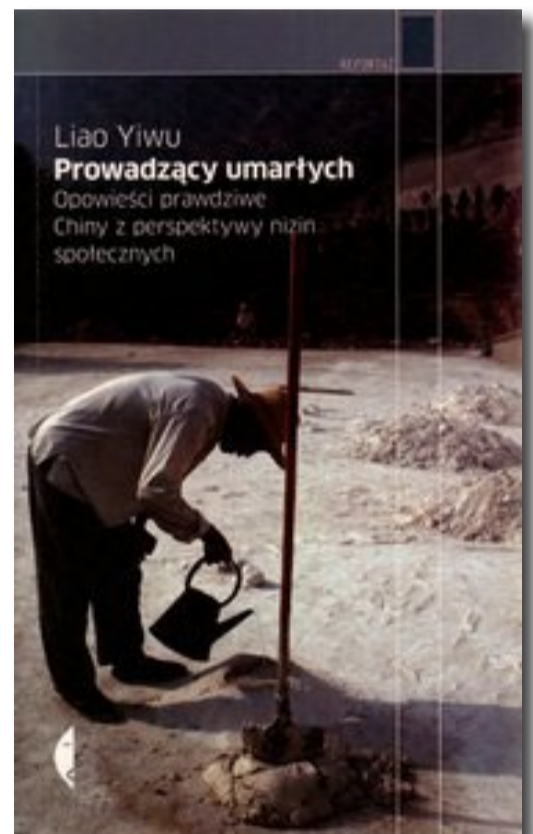
Jak co roku w Warszawskich Targach Książki wzięło udział kilkuset wystawców z Polski i innych krajów, między innymi: Australii, Armenii, Azerbejdżanu, Belgii, Chin, Czech, Francji, Hiszpanii, Indii, Izraela, Niemiec, Norwegii, Rumunii, Rosji, Szwecji, Turcji, Ukrainy i Wielkiej Brytanii. Nie zabrakło także pisarzy, w tym roku Targi odwiedziło 432 autorów z całego świata, promujących swoje książki i uczestniczących w spotkaniach i dyskusjach panelowych. Byli wśród nich m. in.: Cathy Cassidy, brytyjska autorka bestsellerowych książek dla dzieci i młodzieży, Salmuz Kamuran, jedna z najpoczytniejszych współczesnych pisarek tureckich, Jean-Pierre Verheggen, prozaik, poeta i humorysta belgijski oraz Tomas Venclova, litewski poeta, eseista, publicysta, badacz i tłumacz literatury pięknej.

Targom towarzyszyło dziewięć różnych wystaw, m. in. poświęcona szwedzkiemu nobliście Tomasowi Tranströmerowi, wystawa prac poświęconych Astrid Lindgren, wystawa książek i ilustracji Tabu w sztuce dla dzieci, XXIII Biennale Ilustracji Bratysława – Międzynarodowy przegląd autorskich ilustracji książek dla dzieci i młodzieży, wystawę poświęcona Januszowi Korczakowi Teatrowi Lalka, wystawa jubileuszowa Wydawnictwa Muchomor i ilustracji dziecięcych organizowana przez Duże Ka czy wystawa kreacji inspirowanych książką, związana z projektem „Moda na czytanie”.

Tegoroczne Warszawskie Targi Książki zbiegły się z przyznaniem Nagrody im. Ryszarda Kapuścińskiego za reportaż literacki. Targi zaszczylicili swoją obecnością nominowani do Nagrody: Francisco Goldman, Liao Yiwu, Raja Shehadeh, Filip Springer i Colin Thubron. Z okazji finału Nagrody, na Targach Książki zorganizowano Dzień Reportażu, w ramach którego można było wziąć udział w wielu dyskusjach i debatach. Dyskusje

dotyczyły zarówno dorobku reporterskiego samego Kapuścińskiego, jak i istoty reportażu w ogóle, jego granic i przyszłości. Doskonałym pomysłem i zasłużonym zainteresowaniem cieszyły się osobne spotkania z finalistami Nagrody i debaty z autorami na tematy powiązane z ich reportażami literackimi.

Nagrodę im. Ryszarda Kapuścińskiego przyznano chińskiemu poecie, prozaikowi i dziennikarzowi, Liao Yiwu za książkę *Prowadzący umarłych. Opowieści prawdziwe. Chiny z perspektywy nizin społecznych* oraz tłumaczenie z języka angielskiego, Agnieszce Pokojskiej. Nagrodzona książka jest zapisem 24 rozmów Yiwu z ludźmi wykluczonymi, z tytułowych *nizin społecznych*. Autor przeprowadził wywiady m. in. z handlarzem ludźmi, kierownikiem szaletu, ulicznym śpiewakiem, trędowatym, wyznawczynią Falun Gong czy zawodowym żałobnikiem. Z uwagi na panujący w Chinach reżim, cenzurę i brak wolności słowa, *Prowadzący umarłych*, tak jak i dwie inne książki Yiwu, są w ojczyźnie autora zakazane, a sam autor zmuszony uciekł z Chin pod koniec 2011 roku z uwagi na prześladowanie polityczne.



ROZWIĄZANIA KONKURSÓW:

Quiz 7:

Egzemplarze *Ludzkiej miłości* Makine'a powędrowały do Kamili Hankus i Katarzyny Jagosz.

Odpowiedzi:

- A. 1. Hezjod, 2. Wittgenstein
- B. 1. Tadeusz Boy-Żeleński, 2c
- C. 1. Tomasz Mann (*Czarodziejska góra*), 2d
- D. 1. Landru (*Henri Désiré Landru*), 2a
- E. 1. Instytut Mikołowski, 2b
- F. 1. *Dzieci północy* Salmana Rushdiego, 2d
- G. 1. *Żywot kobiety swawolnej*, 2b

Karnak:

Egzemplarze *Karnaku* Mahfuzy zostały wysłane do Marty Cudnoch i Macieja Święchowicza.

Poprawna odpowiedź: Rok 1974.

Konkurs z Lekturami Reportera:

Jeden egzemplarz *Każdy zrobił, co trzeba* został wysłany do Katarzyny Kucharczyk.

Wyliczanka filmowa:

Egzemplarz *Między sztuką a pięknem* Baumana został wysłany do Aleksandry Paprotny.

Odpowiedzi:

Johnny Depp
Roman Polański
Oslo, 31 sierpnia
Stephena Kinga
Vladimir Nabokov
Vincenta van Gogha
William S. Burroughsa
Julie Delpy
8 kobiet



WWW.ARCHPELAG-MAGAZYN.PL

